



Jonathan Carroll



Zakochany duch

Tytuł oryginału: The Ghost in Love

1.

Duch zakochał się w kobiecie nazwiskiem German Landis. Gdyby ciągle miał serce, zatrzepotałoby w nim na sam dźwięk tego niebywałego, dziwnego imienia. Przychodziła za niespełna godzinę, toteż spieszył się, aby zdążyć ze wszystkim na czas. Był bardzo dobrym kucharzem– czasem wręcz znakomitym. Gdyby poświęcił temu więcej czasu, bardziej zagłębił się w temat gotowania po mistrzowsku.

Z dużego legowiska w kącie kuchni przyglądał mu się zaciekawiony mieszanec o czarnej i nakrapianej jak owsianka sierści– patrzył, jak zjawa przygotowuje śniadanie. German Landis przychodziła tu dziś wyłącznie dla tego kundla. Wabił się Pilot, na cześć psa przewodnika z jej ulubionego wiersza.

Nagle duch coś wyczuł, bo zatrzymał się i wlepił spojrzenie w psa.

– Co znowu?– spytał opryskliwie. Pilot pokręcił głową. – Nic. Patrzyłem tylko, jak pracujesz.–

– Kłamczuch. I jeszcze coś. Wiem, co sobie myślałeś: że skoro to robię, to jestem idiotą.

Pies odwrócił się zawstydzony i zaczął nerwowo obgryzać tylną łapę.

– Przestań, popatrz na mnie. Uważasz, że zwariowałem, tak?

Pilot nie odpowiedział, nadal obgryzał łapę.

– No więc?

– Tak, myślę, że zwariowałeś. Ale myślę też, że to bardzo miłe szkoda tylko, że ona nie widzi, ile dla niej robisz.

Zjawa wzruszyła ramionami i wolno nabrała powietrza.

– Gotowanie mi pomaga. Jestem mniej sfrustrowany, kiedy mogę się na czymś skupić.

– Rozumiem.

– Nie rozumiesz. Niby jak? Jesteś tylko psem.

Pies przewrócił oczami.

– Kretyn.

– Czworonóg.

Łączyła ich wzajemna życzliwość. Językiem psim– tak jak islandzkim czy fińskim– posługuje się niewielu użytkowników. Rozumieją go jedynie psy i umarli. Kiedy Pilot chciał z kimś porozmawiać, miał do wyboru albo szybką pogawędkę z jakimś spotkanym na ulicy psem, którego trzy razy dziennie prowadzono na spacer, albo rozmowę z duchem, który– z przyczyn naturalnych– wiedział o Pilocie więcej niż jakikolwiek pies. Duchy zmarłych ludzi nadzwyczaj rzadko nawiedzają świat żywych, więc i zjawia cieszyła się z towarzystwa Pilota.

– Już dawno miałem cię spytać: skąd się wzięło twoje nazwisko?

Pochłonięty przyrządzaniem śniadania kucharz puścił pytanie psa mimo uszu. Ilekroć potrzebował jakiegoś składnika, zamykał oczy i wyciągał przed siebie pustą rękę. Po chwili na jego dłoni materializował się pożądaný składnik: leśnozielona limonka, kopczyk czerwonego kajeńskiego pieprzu, szczególnie rzadki szafran ze Sri Lanki. Pilot przyglądał mu się z uwagą: ta niesamowita sztuczka nigdy go nie nudziła.

– A gdybyś wyobraził sobie słonia? Pojawiłby się na twojej ręce?

Duch uśmiechnął się, szatkując cebulę ruchami, za którymi nie nadażało ludzkie oko.

– Jeślibym miał dość dużą rękę, to tak.

– I żeby stworzyć tego słonia ,musisz go sobie wyobrazić?

– Oo, to nie takie proste. Gdy człowiek umiera, uczy się go, na czym polega prawdziwa struktura rzeczywistości. Poznaje nie tylko to, jak wygląda i czuje, ale też istotę tego, czym naprawdę jest. Dzięki tej wiedzy można tworzyć różne rzeczy.

Pilot się zastanowił.

– Więc czemu po prostu jej nie odtworzysz? Nie musiałbyś się tak o nią martwić. Miałbyś ją tutaj, dla siebie.

Duch spojrział na psa, jakby ten przed chwilą głośno beknął.

– Kiedy umrzesz, sam zrozumiesz, jak niemądra jest twoja rada.

Piętnaście przecznic dalej ulicą szła kobieta niosąca w ręku dużą literę D .Gdybyście ją ujrzeli w czasopiśmie albo w telewizyjnej reklamie, pewnie byście się uśmiechnęli i uznali to za zmyślny obrazek. Kobieta była dość ładna, choć nie wyróżniała się niczym szczególnym. Rysy jej twarzy układały się w harmonijną całość, może z wyjątkiem nosa, który był trochę za mały. Zdawała sobie z tego sprawę i często dotykała go nieśmiało, kiedy czuła na sobie czyjś wzrok. Większość ludzi zapamiętywała jednak nie jej nos, tylko wzrost. Mająca niemal sześć stóp wzrostu kobieta niosła dużą, niebieską literę D.

Miała na sobie nowiuteńkie džinsy, szarą sportową bluzę z napisem „St. Olaf College” na piersi i wytarte buty turystyczne, które czyniły ją jeszcze wyższą. O ile nos i nazwisko czasem ją peszyły, o tyle wzrost nigdy. W jej rodzinie, i ze strony ojca, i matki, wszyscy byli wysocy. Wychowała się pośród jasnowłosych wielkoludów. Mieszkańcy Minnesoty na Środkowym Zachodzie pochłaniali trzy obfite posiłki dziennie. Mężczyźni nosili buty w rozmiarze 13 albo 14, a kobiety niewiele im ustępowały.

Wszystkie dzieci miały nietypowe imiona. Rodzice czytali Pismo Święte, niemiecką klasykę i szwedzkie baśnie, skąd czerpali pomysły, jak nazwać swoje dzieci. Jej bratu dali na imię Enosz, jej German a siostrę nazwali Pernilla. Przy pierwszej okazji Enosz przemianował się na Guya i nie reagował na nic innego. Wstąpił do punkowej kapeli o nazwie EutaNazja; jego rodzice przyjęli to z osłupieniem i rozczarowaniem.

German Landis była nauczycielką– prowadziła zajęcia plastyczne z dwunasto– i trzynastolatkami. Litera D, którą niosła, wiązała się z najbliższą szkolną pracą. Dzieciaki lubiły panią Landis, bo czuły, że są lubiane. Od razu wyczuwały jej sympatię, gdy tylko weszły do klasy. Na jednej ze ścian w jej mieszkaniu wisiała duża tablica pokryta polaroidowymi zdjęciami, na których German uwieczniła prace swoich uczniów. Wieczorami lubiła przeglądać albumy poświęcone sztuce. Nazajutrz jeden z takich tomów łądował z hukiem na biurku przed jakimś uczniem, a German Landis wskazywała mu ilustracje, które powinien obejrzeć.

Zakochiwała się łatwo, równie łatwo jednak zrywała znajomość, jeśli związek się psuł. Niektórzy mężczyźni uznawali to za dowód jej emocjonalnego chłodu, ale się mylili. German Landis po prostu nie rozumiała ludzi, którzy zwieszali nos na kwintę. Życie jest zbyt frapujące, aby wybierać cierpienie. Chociaż ubóstwiała brata, była zdania, że Guy marnuje życie, pisząc piosenki o syfie, kile i mogile. W odpowiedzi Guy narysował obrazek pokazujący jej płytę nagrobną według jego projektu: widniało tam wielkie żółte uśmiechnięte słońce i napis „Lubię moją śmierć!”

Ani on, ani ona nie przeczuwali, że gdy po latach przyjdzie na nią pora, German Landis rzeczywiście polubi swoją śmierć. Wejdzie w nią tak samo, jak przedtem wchodziła do nowych szkół, zawodów, etapów życia–

na pełnej szybkości, z rozbudzonymi nadziejami i sercem pełnym rozsądnego optymizmu; wierzyła, że tam gdzie jest, bogowie są z gruntu życzliwi.

Przełożyła ciężką metalową literę do drugiej ręki i skrzywiła się na myśl o tym co ją czeka. Ostatnio ilekroć szła do Bena, by wziąć Pilota na spacer, prawie zawsze dochodziło między nimi do takich czy innych utarczek. Kłócili się o rzeczy ważne i nieważne. Czasem te nieporozumienia wynikały z różnicy zdań; zwykle brały się stąd, że znaleźli się w tym samym pokoju. Wkrótce po tym, jak się poznali, obejrzeli film z Carym Grantem pod tytułem *Naga prawda* – o dwojgu ludziach, którzy opiekują się na zmianę psem, i w końcu miłość łączy ich na nowo. Film im się nie spodobał, ale tkwił teraz wewnątrz ich czaszek jak samoprzylepna różowa karteczka, ponieważ ich historia była podobna.

Kiedyś byli w sobie zakochani, z wzajemnością i pasją. Nie jest łatwo uwolnić się od wszystkich nitek prawdziwej miłości, gdy raz się przez nią przejdzie jak przez pajęczą sieć.

Teraz kontaktowali się z sobą tylko ze względu na psa. Uważali Pilota za adoptowane dziecko i zarazem przyjaciela. Ben podarował go jej na trzeciej randce. Pojechał do miejskiego schroniska, dla zwierząt i poprosił o psa, który przebywał tam dłużej niż inne. Opiekun uwierzył mu dopiero za trzecim razem. To German wpadła na ten pomysł, pierwszy z wielu, które trąciły czułą strunę w sercu Benjamin Goulda. Parę dni wcześniej powiedziała, że zamierza kupić bezpańskiego psa. Chciała jechać do schroniska i zrobić coś, czego się nie robi: kupić psa, który siedział tam najdłużej.

– A jak będzie miał wszy?– zapytał pół żartem, pół serio.– Paskudny charakter i dziwaczne choroby?

Uśmiechnęła się i wzruszyła jednym ramieniem.– To go wezmę do weterynarza. Wszy i choroby nie są mi straszne. Chcę, żeby miał coś z życia, zanim umrze.

– A jak ci się trafi dzikus, który będzie gryzł ludzi?– pytał Ben, ale robił to bez większego przekonania. Dał się nawrócić.

W schronisku zaprowadzono go do psa, który przebywał tam od tak dawna, że zwano go Matuzalem. Nawet nie podniósł łba z podłogi, gdy nieznajomy zatrzymał się przed jego klatką i patrzył. Ben zobaczył psa pozbawionego jakichkolwiek cech szczególnych. Nie miał czułych oczu o tęsknym spojrzeniu. Ani zaraźliwego entuzjazmu małego szczeniaka. Nie znał żadnych sztuczek. No i z pewnością nie grzeszył urodą. Opiekunowie wiedzieli o nim tylko tyle, że to mieszaniec, cichy, spokojny i udomowiony. Nic dziwnego, że potencjalni klienci rezygnowali z niego. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że ten kundel to skończony patałach.

Ben miał mało pieniędzy, lecz kupił tego patałacha. Trzeba było wywabić psa z klatki i skłonić go, pierwszy raz od miesiąca, do wyjścia na ulicę. Nie wyglądał na uszczęśliwionego. Ben nie domyślał się, że wszedł w posiadanie sceptyka i fatalisty, który nie wierzył, iż za dobro odpłaca się dobrem. W chwili adopcji Matuzalem był niemal w średnim wieku. Jego dotychczasowe życie było trudne, ale nie okropne. Miał trzech różnych panów, o których zdążył zapomnieć. Bywał bity i kopany. Pewnego razu wpadł pod ciężarówkę. Przeżył– kulał potem przez kilka tygodni, ale przeżył. Schwytyany przez hycła, poczuł ulgę. Tułał się po ulicy już od trzech miesięcy. Doświadczenie nauczyło go nie ufać ludziom zanadto, ale

doskwierały mu głód i zimno; wiedział, że ludzie mogą to zmienić. Nie wiedział jednak, że gdyby trafił do niewłaściwego schroniska, zostałby wkrótce zabity.

Poszcęściło mu się. W gruncie rzeczy los uśmiechnął się do niego w dniu, kiedy dostał się do tego schroniska. Utrzymywało się ono wyłącznie z funduszy pewnego zamożnego, bezdzietnego małżeństwa, które kochało zwierzęta najbardziej na świecie i często odwiedzało to miejsce. Żadne zbłąkane zwierzę nie zostało tu nigdy uśpione. Klatki były ciepłe i wysprzątane. Jedzenia pod dostatkiem. Dawano nawet skórzane gryzaki, które Matuzalem ignorował, bo napawały go obrzydzeniem.

Przez następne trzy miesiące jadł, spał i się gapił. Był to milowy krok w jego karierze, który uchronił go od przeraźliwie mroźnej, śnieżnej zimy panującej na zewnątrz. Nie wiedział, gdzie jest, ale dopóki miał święty spokój i pełny żołądek, ten dom był całkiem znośny. Urok psiego żywota polega między innymi na tym, że psy nie znają pojęcia „przyszłości”. Wszystko dzieje się w tej chwili, a jeśli ta chwila oznacza ciepły kąć i pełną miskę, to życie jest dobre.

Kim jest ten człowiek, który go ciągnie na smyczy? Dokąd idą? Pokonali już kilka przecznic, przedzierając się przez zacinający śniegiem wiatr. Matuzalem był w takim wieku, że mróz przeszywał mu kości i stawy. W ciepłym schronisku, które zostawili za sobą, pies mógł wychodzić, kiedy tylko chciał, ale w taką pogodę rzadko to robił.

– Zaraz będziemy na miejscu – rzekł przyjaźnie mężczyzna.

Psy nie rozumieją jednak ludzkiej mowy, więc biedne zwierzę wiedziało tylko tyle, że jest mu zimno, że się zgubiło i że życie znów stało się ciężkie.

Byli dwie przecznice od budynku German Landis, kiedy to się stało. Ben rozejrzał się na boki i zszedł z chodnika na jezdnię. Poślizgnął się na śniegu i stracił równowagę. Przewracając się na plecy, zamachał rękoma. Przestraszony nagłym ruchem Matuzalem skoczył w bok i szarpnął za smycz. Mężczyzna próbował odzyskać równowagę i utrzymać psa, aby ten nie wyprysnął na ulicę i nie wpadł pod samochód. W rezultacie Ben rymnął plecami na chodnik z dużo większym impetem, niż gdyby tylko poślizgnął się i upadł. Jego głowa rąbnęła głucho w kamienny krawężnik, raz, a potem drugi.

Musiał stracić przytomność, bo gdy się ocknął, leżał na plecach i patrzył w zaniepokojone twarze czworga ludzi. Jeden z nich, policjant, trzymał w ręku smycz.

- Otworzył oczy!
- Nic mu nie jest.
- Nie ruszajcie go. Zaczekajcie, aż przyjedzie ambulans.

Stojąca w śniegu po drugiej stronie ulicy zjawa obserwowała tę scenę z całkowitą konsternacją. Sekundę później zasyczała i zamigotała jak zdezelowany telewizor, po czym rozplynęła się w powietrzu. Widział ją tylko Matuzalem, ale ponieważ duchy nie są dla psów niczym nowym, zwierzak nie zareagował. Skulił się w sobie i dygotał z zimna.

Anioł Śmierci spojrział na ducha Benjamina Goulda i westchnął.

- Co ci będę opowiadał? Wycwanili się i tyle.

Siedzieli przy stole w obskurnej restauracji przydrożnej koło Wallingford w stanie Connecticut. Anioł Śmierci nie imponował prezencją: ukazał się dzisiaj w postaci talerza po jajecznicy na bekonie. Biały talerz był umazany żółtkiem, do którego tu i ówdzie przyklepiły się okruszki chleba.

Wybiła północ, w restauracji było pustawo. Kelnerka ćmiła na dworze papierosa i rozmawiała z kucharzem. Nie śpieszyła się z uprzątnięciem stolika. Odnalazłszy Anioła Śmierci, duch Benjamina Goulda pojawił się jako gruba czarna mucha i usiadł na resztkach żółtka.

– Uderzenie głową o krawężnik– odezwał się talerz– powinno było spowodować śmierć Goulda. Skutki są dobrze znane: pęknięcie czaszki, krwawienie śródczaszkowe i zgon. Stało się jednak inaczej. Najkrócej mówiąc, można by to porównać do masywnego wirusa, który zaraził nasz system komputerowy. Odkąd usterki objęły całą sieć, zorientowaliśmy się, że nas zaatakowano. Nasi technicy już nad tym pracują. Rozgryzą to.

Niezadowolona z udzielonych wyjaśnień mucha– widmo przechadzała się wte i wewte po zasychającym żółtku; jej chude, czarne odnóża lgnęły do żółtej mazi.

– Wirus dostał się do systemu komputerowego w niebie? Ale jak?! Myślałam, że jesteście wszechwiedzący.

– Myśmy też tak myśleli, do czasu ataku. Ci z piekła robią się coraz sprytniejsi. To oczywiste. Nie przejmuj się– rozgryziemy ten problem. Ale tymczasem mamy cię na głowie, koleżanko.

Mucha przystanęła i wbiła wzrok w talerz.

– Że co?

– Nie możemy ci pomóc, dopóki nie uporamy się z awarią. Na razie będziesz musiała tu zostać.

– Co mam tu r o b i ć?– Mucha zdobyła się na ton oburzenia.

– Noo, w zasadzie to samo, co teraz. Jakiś czas możesz pozostać muchą, z potem zmień się na przykład w człowieka albo drzewo... Zmiana tożsamości to fajna zabawa. Są na ziemi setki przyjemnych rzeczy, które

można robić: zacząć palić papierosy, próbować różnych marek wody kolońskiej, oglądać filmy z Carole Lombard...

– Kto to jest Carole Lombard?

– Nieważne – uciał talerz, po czym wybełkotał:– Jej obecność wystarczy, abys chciała tu zabawić dłużej.

Mucha milczała nieporuszona.

– Czy wiesz, że Ben Gould chodził w tym miasteczku do szkoły?– talerz spróbował zmienić temat.– Przybyłem tutaj, właśnie żeby posprawdzać parę faktów z jego biografii.–

Mucha nie dała się wciągnąć w rozmowę.

– Ile to potrwa? Jak długo będę musiała tu tkwić?

– Szczerze? Nie wiem. Pewnie dość długo. Jak tylko namierzemy wirusa, trzeba będzie przetestować cały system.– Talerz mówił łagodnym tonem, zdając sobie sprawę, że spoczywa na niepewnym gruncie.

– „Dość długo” to znaczy ile? Rok? Wiek?

– Nie umiem powiedzieć. Do chwili aż nasi ludzie usuną wirusa z systemu i naprawią szkody... Jeśli chcesz posłuchać dobrej rady, proponuję, byś tymczasem zamieszkała u Goulda. Jeśli otrzyma właściwą pomoc, kilka wcieleń będzie mu odpuszczonych. Wdrapie się o parę szczebli wyżej.

– Nie jestem nauczycielką, tylko duchem. Jego duchem. To moja praca. Poczytaj sobie instrukcje.

Po chwili namysłu Anioł Śmierci uznał, że czas przejść do sedna.

– W porządku, powiem bez osłonek: moi mocodawcy doszli do wniosku, że...

– Jacy mocodawcy?

Gdyby talerz potrafił gestykulować, z rozpaczy przewróciłby oczami.

– Nie udawaj głupiej, dobrze wiesz, o kim mówię. No więc o n i doszli do wniosku, że ponieważ wirus zajmie im trochę czasu, a ty znalazłaś się tutaj nie z własnej winy, dadzą ci szansę spróbowania czegoś zupełnie nowego, żeby sprawdzić, czy to się w ogóle uda. Jeżeli zdołasz jakoś wpłynąć na Benjaminą Goulda i uczynisz z niego lepszego człowieka, nie będziesz musiała pokutować po jego śmierci. Wiemy, że nie znosisz pracy w terenie. Jeśli ci się powiedzie, będziesz mogła pracować w biurze... już na stałe.– Talerz urwał na moment.– Nie wiemy, ile mu zostało życia, bo upadek miał się zakończyć śmiercią. Kwestia jego dalszego losu jest dla nas zagadką. Dlatego nie można przewidzieć, ile masz czasu, dużo czy mało, żeby nad nim popracować.

Była to intrygująca propozycja, która szczerze zaskoczyła ducha; zatrzymał się i trawił ją w myślach. Już miał zapytać, na czym będzie polegała jego praca biurowa, jeśli nie wróci straszyc, kiedy do stołu podeszła kelnerka i ujrawszy siedzącą na żółtku muchę, trzasnęła ją starą gazetą, i to na amen.

Gdzieś w centrum miasta, które tkwi w każdym z nas, leży cmentarz starych miłości. Szczęściarze, zadowoleni ze swego życia i z tego, z kim je dzielą, przeważnie o nim nie pamiętają. Nagrobki są wyblakłe lub powywracane, trawa nieskoszona, wszędzie pienia się jeżyny i dzikie kwiaty.

U innych miejsce to wygląda dostojnie i schludnie jak cmentarz wojskowy. Kwiaty podlano i ułożono, wysypane tłuczniem ścieżki są starannie zagrabione. Widać ślady częstych odwiedzin.

Cmentarz większości z nas przypomina szachownicę. Niektóre pola są zaniedbane albo wręcz leżą odłogiem. Kto by sobie zawracał głowę

nagrobkami– czy też miłościami, które pod nimi spoczywają? Nawet nazwiska zatarły się w pamięci. Inne groby pozostają jednak ważne, choćbyśmy niechętnie się do tego przyznawali. Odwiedzamy je często, niekiedy– prawdę mówiąc – zbyt często. Nigdy nie wiadomo, jak się będziemy czuli po wyjściu z cmentarza: czasem będzie nam lżej, czasem ciężej na duszy. Nie sposób przewidzieć, w jakim nastroju będziemy wracać do domu teraźniejszości.

Ben Gould, rzadko odwiedzał swój cmentarz. Nie dlatego, że był szczęśliwy czy zadowolony ze swego życia, ale dlatego, że przeszłość mało go obchodziła. Co z tego, że wczoraj był szczęśliwy, skoro dziś czuł się zgnębiony? Każda chwila życia była inna. Przeszłość nie mogła mu pomóc w bieżącym życiu, nauczyła go zaledwie paru trików służących przetrwaniu.

Podczas jednej z pierwszych długich dyskusji Ben i German Landis poróżnili się na temat sensu przeszłości. Ona była zdecydowanie „za”. Lubiała oglądać przeszłość z różnych punktów widzenia, lubiała czuć, jak przeszłość kładzie się na niej niczym czarny południowy cień. Doceniała jej ciężar i znaczenie.

Znaczenie? Jakie znaczenie?– pytał sceptycznie Ben, myśląc, że German żartuje. Wspomnienie pysznej kanapki, którą zjadłaś na śniadanie cztery godziny temu, nie umniejszy głodu, który dopadnie cię cztery godziny później. Przeciwnie, jeszcze go zaostrzy. Był zdania, że przeszłość nie jest naszym przyjacielem.

Kłócili się i kłócili, ale żadne nie przekonało drugiego do swoich racji. Początkowy żart stał się w końcu zawalidrogą. Dużo później, gdy ich związek się rozpadał, zapłakana German powiedziała, że za pół roku będzie myślał o niej równie często jak o swojej nauczycielce z trzeciej klasy.

W tej kwestii jednak myliła się zupełnie.

O ironio, Ben Gould żył już nie z jednym, ale z dwoma duchami, bo German Landis także nie dawała mu spokoju. Myślał o niej, zasypiając i budząc się każdego ranka. Do diaska, to nie fair. Nie panował nad tym. Ich nieudany związek przypominał natarczywego komara bzykającego wokół głowy. Choć Ben się od niego odganiał, owad zamiast odlecieć, ciągle mu się naprzykrzał.

Gdy odezwał się dzwonek u drzwi, Ben siedział przy biurku i patrzył na swoje dłonie. Miał na sobie tylko gatki. Wiedział, że to ona. Ostatnio, ilekroć się spotykali, Ben stawał się coraz bardziej nieobecny i markotny, robiło się między nimi duszno i nieprzyjemnie. Czasem bywało to tak nieznośne, że German myślała: taa, co mi tam, niech sobie zatrzyma tego cholernego psa. Nie będę go musiała więcej oglądać. Ale Pilot należał do niej– Ben dał jej go w prezencie. Kochała tego psa tak samo jak on. Miała się poddać tylko dlatego, że ten palant, jej były chłopak, co kilka dni drażnił ją przez jakieś pięć minut, kiedy przychodziła po Pilota?

Duch usłyszał dzwonek i natychmiast zastygł w napięciu. Pilot spojrzał najpierw na niego, a potem w kierunku sypialni. Na stole stało pięknie ułożone jedzenie i zastawa. W jej środku rozkwitała orientalna lilia, umieszczona w bladolawendowym wazonie ze szkła Murano.

Nic się nie wydarzyło. W sypialni panowała niezmacona cisza. Po chwili dzwonek zabrzączał ponownie.

– Otworzy te drzwi czy nie?

Pies poruszył obojętnie głową.

Duch skrzyżował ramiona, ale zaraz je opuścił. Zrobił trzy różne miny w ciągu ośmiu sekund, w końcu jednak nie mógł tego dłużej znieść i

wyszedłszy z kuchni, podreptał do frontowych drzwi. Z sypialni wyłonił się wreszcie Ben; wyglądał zarazem sennie i wojowniczo.

Zjawa popatrzyła kwaśno na jego gatki. Znów to samo? Znowu będzie odstawiał przy German te głupio– dziecinne numery?

Gould potarł oczy nasadami dłoni, wziął głęboki oddech i otworzył drzwi. Duch stał krok za nim, trzymając w prawej ręce płaską metalową łyżeczkę. Perspektywa ujrzenia German tak go zdenerwowała, że łopatką podrygiwała mu w dłoni w– górę– i– w– dół– i– w– górę– i– w– dół... z niewiarygodną prędkością. Całe szczęście, że nie widział tego żaden człowiek.

– Cześć.

– Hej.

Oboje dołożyli starań, aby ich powitanie było wyprane z emocji.

– Czy Pilot może iść?– zapytała przyjaźnie German.

– Jasne. Wejdz.– Obrócił się w stronę kuchni, a ona poszła za nim.

Zobaczyła jego zgrabne pośladki w wymiętych majtkach i aż zamknęła oczy. Po co to? Czy widok jego gaci miał ją zaszokować czy wprowadzić w zakłopotanie? Czyżby zapomniał, że widziała go już przedtem golutkiego, no, lekko licząc, kilkaset razy? Znała zapach jego skóry i potu. Wiedziała, gdzie lubi być dotykany i jak reaguje na pieszczoty. Wiedziała, z czego Ben się śmieje i co sprawia, że płacze. Wiedziała, jak lubi swoją herbatę. Kiedy oboje szli ulicą, wypręzał się dumnie, a ona kładła mu rękę na ramieniu, by pokazać wszystkim, że jest jego kumpelą i (jakże wysoką) kochanką.

Duch zniknął przed frontowych drzwi i po sekundzie zmaterializował się w kuchni. Gdy Ben i German tam weszli, zjawa czekała już na nich, z ciasno skrzyżowanymi rękoma na piersi.

Na stole było wszystko, czego dusza może zapragnąć na śniadanie. Świeże, pachnące bułeczki, truskawkowe konfitury z Anglii, miód z Hawajów, kawa Segafredo (ulubiona marka German), długie różowe pasemka szkockiego łososa, idealnie ugotowane jajka w koszulkach, podane z mufinkami, szynką i sosem holenderskim (następny jej przysmak). Były też dwie inne potrawy jajeczne. Mały okrągły stolik ugiął się pod pysznym jadłem. Wyglądało to jak okładka czasopisma „Gourmet”. Kiedy Ben Gould oglądał w telewizji program kulinarny, duch zwykle mu towarzyszył i robił notatki. Gdy German przychodziła po psa, gotował coś według podpatzonego przepisu albo korzystając z jednej z książek kucharskich Bena. Jedzenie już czekało na nią na stole.

Oczywiście German nie widziała tego. Jej oczom ukazał się nagi drewniany stolik, na którym nieco z boku leżała łyżeczka; Ben odłożył ją tam poprzedniego wieczoru, po tym jak zamieszał cukier w filiżance słabej ziołowej herbaty. German spojrzała na tę łyżeczkę z bólem serca. Przez kilka cudownych, cichych sekund duch wyobraził sobie, że German patrzy w milczeniu na stół, widząc wszystko, co dla niej przygotował; wiedział, że śniadanie to jej ulubiony posiłek.

Lubiła je przyrządzać i jeść. W pobliskiej piekarni zaopatrywała się w świeże rogaliki i *petit pain au chocolat*. Podczas gdy właściciel włoskich delikatesów mełł ziarna, ona stała z zamkniętymi oczami, wdychając niebiański aromat świeżej, gorzkiej kawy. Uwielbiała sok grejpfrutowy, dojrzałe figi, jajka na bekonie, talarki ziemniaków z keczupem. Wychowała się w Minnesocie, gdzie dzięki gigantycznym śniadaniom pokonywano dziesięć stopni poniżej zera i zasypany śniegiem po dachy aut German Landis,

podobnie jak jej matka, była kiepską, ale radosną kucharką, szczególnie w porze śniadania. Była wniebowzięta, kiedy inni jedli tyle, ile ona.

Duch wiedział o tym: nieraz siedział w tej kuchni i obserwował z zadowoleniem i tęsknotą, jak German krząta się przy porannej uczcie. Zwyczaj ten utarł się zaraz na początku ich znajomości: German robiła śniadania, a Ben obiady i kolacje.

– Jadłeś coś?

– Że co?– Ben nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

– Czy coś jadłeś?– powtórzyła z naciskiem.

Zbiła go z tropu. Od dawna nie zadała mu równie osobistego pytania.

– Tak. Nie jestem głodny.

– Co?

– Co to znaczy „co”?

German podniosła łyżeczkę ze stołu i obróciła się ku Benowi. Gdy po nią sięgała, jej ręka przeszła przez sam środek sufletu z siedmiu jaj, który duch upiekł na jej cześć. Było to kulinarne arcydzieło. Jednakże German nie widziała go ani nie czuła, ponieważ widma pitraszą jedzenie widmowe, istniejące tylko w widmowym świecie. Ludzie wyczuwają niekiedy obecność tego wymiaru, ale nie mogą się do niego przenieść.

– Co takiego jadłeś?

Popatrzył na nią i wzruszył ramionami jak dziesięcioletni chłopiec mający coś na sumieniu.

– Różne rzeczy. No wiesz, dobre i zdrowe.– Umilkł. Wiedziała, że kłamie. Kiedy był sam, nie robił sobie nic do jedzenia. Żywił się byle czym z tęczowych opakowań i pił ziołową herbatkę.

Pilot podniósł się z legowiska i podszedł wolno do kobiety. Lubił, kiedy jej duża dłoń dotykała jego głowy. Jej ręce tchnęły zawsze ciepłem i miłością.

– Witaj, piesku. Gotowy do wyjścia?

Raptem Ben uświadomił sobie, niemal z przerażeniem, że

Za parę minut tych dwoje opuści jego mieszkanie, a on zostanie tu sam jak palec, nie mając nic do roboty. German zaplanowała pewnie dłuższy spacer. Potem weźmie Pilota do siebie na wspólny obiad.

Ben nie widział jej mieszkania, ale umiał je sobie wyobrazić. Wnętrze w żywych kolorach, znalezione przedmioty, figurki japońskich superbohaterów na parapetach. Środek salonu zajmowała morderczo wygodna, niebieska sofa, którą German kupiła, jeszcze kiedy byli razem, i zabrała z sobą przy wyprowadzce. Najprawdopodobniej sofa ta była teraz obłożona wielkimi albumami o sztuce– rozłożonymi i zamkniętymi. Widok był tak rozczulająco znajomy, że aż bolał. Pies miał swoje miejsce na sofie obok German. Bez niej nie ruszał się stamtąd. Nowe mieszkanie German było na pewno jasne i przestronne– gdziekolwiek

mieszkała, zależało jej zawsze na dobrym naturalnym świetle.

Miała też zwyczaj otwierać okna na oścież, nawet w najmroźniejsze dni roku, i wietrzyć wszystkie pokoje. Ben wściekał się, kiedy mieszkali razem, lecz teraz brakowało mu tego jej dziwactwa. Dzień wcześniej, siedząc osowiały przy następnej filiżance herbaty, napisał do niej– na papierowej serwetce z kupionego na wynos obiadu– jedno zdanie. Wiedząc, że German go nie przeczyta, napisał to, co naprawdę czuł. „Tęsknię za tobą codziennie i już choćby dlatego nigdy sobie nie wybaczę”.

– No to co. Pilot i ja będziemy się zbierać.

– Okej.
– Przeprowadzę go jutro. Czy godzina druga ci odpowiada?
– Tak, w porządku.– Otworzył usta, chcąc coś dodać, ale nagle się rozmyślił i po prostu podreptał na drugą stronę kuchni po smycz wiszącą na haku.

German także chciała się odezwać. Zrezygnowała, widząc jego minę.

Niespodziewanie, gdy podawał jej smycz, oboje zdjęli na moment maski. Spojrzeli na siebie z mieszaniną miłości, pretensji i tęsknoty, które ich przerastały. Natychmiast odwrócili się do siebie plecami.

Siedzący przy stole duch ani na chwilę nie spuszczał ich z oka. Z początku przysunął do piersi dziurawy suflet i próbował go zasłonić rękami, jakby chciał uchronić jego piękno przed dalszym zniszczeniem. Teraz jednak, widząc śmigające między nimi spojrzenia, pomału osunął się twarzą w ciasto aż po same uszy. Doszły go słowa pożegnania; German wyszła. Gdy frontowe drzwi zamknęły się za nią, jego twarz nadal tkwiła w jajecznej brei.

Ben wrócił do kuchni, usiadł naprzeciw ducha i gapił się prosto w niego. Tamten wyciągnął w końcu głowę z sufletu i zorientował się, że jest obserwowany. Wiedział, że jest niewidzialny, ale wzrok mężczyzny miał w sobie niepokojącą intensywność.

Ben podniósł łyżeczkę z blatu i zdawał się ważyć ją w ręce. W rzeczywistości sprawdzał, czy metal zachował resztki ciepła z dłoni German.

Naraz cisnął z całej siły łyżeczką w przeciwległą ścianę. Odbiła się z grzechotem od kilku powierzchni, po czym zabrzęczała, sunąc po podłodze.

Duch z powrotem osunął się w suflet.

2.

Pierwszy raz zobaczył German Landis w łazience. Po spotkaniu z Aniołem Śmierci duch zgodził się wprawdzie powrócić do dotkniętego wirusem życia Benjamin Goulda, ale tylko po to, żeby się rozejrzeć. Chciał się zorientować w sytuacji, zanim przyjmie niezwykłą ofertę Anioła.

Skupił swoje molekuly w mieszkaniu Bena sześć dni po tym, jak wprowadziła się tam German, i trzy miesiące jak Gould przewrócił się i miał umrzeć wskutek uderzenia głową o krawężnik.

Gdy ujrzał German po raz pierwszy, stała naga przed zaparowanym lustrem i szorowała zęby. Nie widziała go, choć dzielił ich zaledwie metr. Duch miał wciąż słabe poczucie orientacji i zamiast wylądować w pokoju gościnnym, zmaterializował się na zielonej desce klozetowej w łazience Benjamin Goulda. Parna, gorąca atmosfera sprawiła, że minęło kilka minut, zanim się otrząsnął i uprzytomnił sobie, gdzie jest.

Obok stała wysoka, silnie zbudowana kobieta w pełnym negliżu, z twarzą pokrytą błękitnobiałą pianką. Nuciała jedną ze swoich ulubionych piosenek Rodgersa i Hammersteina. Duch domyślił się, że to German Landis; przed wysłaniem zapoznano go ze szczegółami życia Benjamin Goulda.

Przyjrzał się kobiecie z wysokości deski klozetowej: małe piersi, wąskie biodra, mały nosek, długie nogi i palce. Jej usta zakrywała piana z pasty do zębów. Atrakcyjna kobieta, owszem, ale nic szczególnego. Duch zerknął obojętnie w tę część jej mózgu, która wiedziała, ile dokładnie czasu zostało jej ciału. German Landis miała przed sobą czterdzieści siedem lat

życia. Chyba że wcześniej zarazi się śmiertelną chorobą lub innym rodzajem komputerowego wirusa z piekła rodem.

Jej cechą szczególną było to, że emanowała silnie pozytywną energią. Czuło się jej życzliwe ciepło i entuzjizm. Bez dwóch zdań – była optymistką i romantyczką, która znakomicie czuła się w swojej skórze, gdyż bezwarunkowo uważała życie za dobrego przyjaciela.

Zjawa, która miała na imię Ling, odnotowała wszystkie te spostrzeżenia, nie okazując emocji. Równie dobrze zamiast nagiej kobiety, mogłaby się przyglądać zamkniętemu w zoologicznej klatce tygrysowi albo bakterii pod mikroskopem.

Trzy tysiące lat temu chiński rolnik wymyślił duchy, żeby wytłumaczyć swemu nad wiek inteligentnemu wnuczku, co się dzieje z ludźmi po śmierci. Bóg uznał tę ideę za tak nowatorską i użyteczną, że polecił swoim aniołom wprowadzić ją w czyn i upowszechnić w całym systemie. Na cześć swego wynalazcy duchy noszą zawsze chińskie imiona i Ling nie należał do wyjątków. Jego imię wzięło się po prostu stąd, że było akurat następne na liście w chwili, gdy go tworzone.

Kiedy duch zjawia się na ziemi, posiada szeroki wachlarz nadprzyrodzonych mocy, które przyprawiają żyjących o błądy strach. Lingowi kazano – tuż po przybyciu na miejsce – poddać te moce próbie, aby się upewnić, że wszystko funkcjonuje jak należy, i poprawić ewentualne niedoróbki.

Rozejrzawszy się po łazience, Ling zobaczył ciekącą wannę i zaraz przywołał węża morskiego, aby wypełnił ją wodą. Szczęśliwie dla German wezwał jedyny znany sobie gatunek morskiego gada, liopleurodona. Ten przystosowany do życia w wodzie drapieżca jest tak ogromnych rozmiarów,

że przez rury przecisnął się tylko sam koniec jego wielgachnego jęzora, a i tak zapchał całą wannę Goulda.

Odwrócona tyłem kobieta nie zauważyła okropnego jęzora wysuwającego się z wanny, w której kąpała się parę minut temu. Duch prędko zrozumiał swój błąd i sprawił, że zarówno jęzor, jak i reszta stwora zniknęły. W samą porę, bo w tym momencie drzwi otworzyły się i do środka wszedł Ben Gould.

– Cześć!– rzucił w jej stronę, ale jego wzrok przykuła cieknąca wanna. Wydawało się, że zapomniał o swojej cudownie nagiej dziewczynie. Woda miała barwę piasku. Oczy Bena rozwarły się szeroko, ale nie odezwał się słowem. On i German mieszkali z sobą od niedawna, nadal wstydził się oddawać głośno mocz w toalecie, z obawy że German go słyszy. W związku z tym nie zamierzał się dopytywać, dlaczego woda w wannie po jej kąpieli jest koloru mułu.

– Co się stało?– Spojrzała na niego znad ramienia, nie wyjmując z ust szczoteczki do zębów.

Ben parę razy zamrugnął nerwowo, po czym wyszczebiotał dziwnym falsetem:

– Nic, nic!– Szybkim krokiem wymaszerował z łazienki i zamknął za sobą drzwi.

Ling zszedł z deski klozetowej, i ruszył jego śladem. Przeszedłszy przez zamknięte drzwi, znalazł się w wąskim korytarzu. Na podłodze leżał pies, czekając na pojawienie się kobiety. Popatrzyli na siebie. Duch uśmiechnął się do psa.

– Hej!

Pilot uniósł wzrok, lecz nie odpowiedział na powitanie.

Ling nie przejął się tym i ruszył dalej korytarzem.

Pilot widział tego ducha po raz pierwszy w życiu. Z głową opartą na łapach zastanawiał się niemrawo, co tamten tu robi. Psy zauważają duchy mniej więcej równie często, jak ludzie zauważają koty. Ot, istnieją sobie i tyle.

W pierwszym odruchu Ling chciał trzymać się Goulda i poobserwować go jakiś czas. Potem jednak zmienił zdanie, zamiast tego postanowił rozejrzeć się trochę po jego mieszkaniu.

Ben pracował jako kelner w restauracji. Lubił swoją pracę z tym jednak, ponieważ nie pragnął wiele ponad to, co już miał. Był zadowolony z życia.

Jego mieszkanie było prawie puste, choć nie była to smutna, ponura pustka ludzi biednych. Odnosiło się raczej wrażenie, że mieszka tu ktoś, komu nie zależy na dobrach materialnych. Sporo było książek i jedzenia. Ben miał jeden porządny garnitur i niezły sprzęt audio. Przed laty rodzice podarowali mu kilka prostych, solidnych mebli, które dobrze wpasowały się w jego styl życia. Zgrabne drewniane półki na książki w pokoju gościnnym Ben zbudował własnoręcznie. Podłogę wyściełał spłowiały czerwono–czarny perski dywan, który Ben kupił na podwórkowej wyprzedaży za osiemnaście dolarów, a potem dołożył jeszcze pięćdziesiąt, żeby go wyprać.

Skromne mieszkanie Bena spodobało się German– było widać, że jej nowy chłopak dba o tych kilka znajdujących się tu rzeczy, które do niego należą. Stary, poharatany blat szkolnej ławki, którą kupił w Armii Zbawienia, został wypolerowany. Duża dziura ziejąca od lat w perskim dywaniku– zacerowana. Środek salonu zajmowały trzy piękne, wielkie, czarne głazy, które Ben wyciągnął z rzeki. Jego dwie pary butów były

zawsze wyczyszczone na połysk i ustawione na baczność koło drzwi frontowych. Starczyło rzucić okiem na księgozbiór, aby się przekonać, że jego właściciel to człowiek dociekliwy, o szerokich horyzontach.

Widmo podeszło teraz do jednej z tych półek. Jego uwagę zwróciła spora liczba książek kucharskich, ale Ling wiedział już, że Gould uwielbia gotować. Marzył kiedyś o zostaniu mistrzem sztuki kulinarnej. Nie miał jednak ani talentu, ani dostatecznej cierpliwości, i w końcu musiał się do tego przyznać. Nie zbywało mu na dobrych chęciach ani pracowitości, gorzej było z twórczą wyobraźnią. Wielki kucharz przypomina artystę malarza: widzi świat w niepowtarzalny sposób. Co więcej, jest zdolny do tego, by ziścić swoją wizję i podzielić się nią z innymi. Mimo paru autentycznych prób, w tym rocznej praktyki w europejskich szkołach kucharskich, Ben pogodził się wreszcie z faktem, iż nie ma tego rodzaju talentu. Ostatecznie więc został kelnerem; skoro nie potrafił utrzymać się z przyrządzania wykwinnych dań, to przynajmniej je podawał.

– Co tu porabiasz, duchu?

Ling nie słyszał, kiedy pies wszedł do pokoju. Obrócił się i zobaczył gapiące się na niego zwierzę.

– Witaj. Mam na imię Ling. A ty?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Nadano mi w życiu tyle imion, że sam już nie mam pojęcia, jak naprawdę się wabię. Ostatnio mówią na mnie Pilot.

– Pilot? W porządku, będę cię tak nazywał.

Pies nie zdążył dodać nic więcej, gdyż do pokoju wszedł Ben Gould i zatrzymał się przy półkach z książkami. Przez chwilę głaskał psa po głowie, a potem kucnął i przesuwając palcem po grzbietach książek, póki nie trafił na tytuł, którego szukał. *Poważna świnia* Johna Thorne'a. Ben chciał

przeczytać German jeden z esejów tego znakomitego pisarza i znawcy kuchni.

Gdy mężczyzna wyszedł z salonu, Ling zapytał:

– Dobrze ci tutaj, z tymi ludźmi? Pilot zastanowił się nad odpowiedzią.

– Tak. Dużo zmieniło się na lepsze...– Zanim pies zdążył rozwinąć swoją myśl, z łazienki dobiegł przeraźliwy wrzask.

Otwarte z impetem drzwi rąbnęły o ścianę i wybiegła stamtąd roznegliżowana German, z rękoma przyłożonymi do ust.– Ben!

Pies, duch i człowiek pognali w stronę łazienki. Ujrawszy Bena, German odjęła jedną rękę od ust i pokazała za siebie. Miała dzikie, rozbiegane oczy.

– W wannie. Jest brązowa woda, a w niej jakieś ryby!

I Ling opuścił z ulgą ramiona; wiedział, dlaczego kobieta krzyknęła. Węże morskie mają nieznośnie brudne gęby i języki bo żywią się różnymi obrzydliwościami pływającymi w morzach i oceanach. Ich paszcze to istne wylęgarnie brudu. Stąd brązowa woda w wannie. Poza tym na cielsku węża żerują małe rybki; część z nich musiała dostać się do wanny Goulda wraz z potworem.

Pilot nie rozumiał słów kobiety, ale jej głos był podniesiony i piskliwy. U ludzi to niedobry znak. Bardzo niedobry. Ilekroć wpadali w ten histeryczny ton, znaczyło to zwykle, że pies albo dostanie zaraz w skórę, albo nieprędko doczeka się swego jedzenia.

Ben był w kropce. Kilka minut temu na własne oczy widział w wannie zapiaszczoną wodę. Wtedy milczał, jak przystało na dżentelmena. Teraz jednak German prosiła go, by zajrzał do wanny w jej obecności. To znaczyło, że będzie musiał zadać swojej nowej dziewczynie parę

kłopotliwych pytań, na co nie miał najmniejszej ochoty. Na domiar złego w wannie pojawiły się ryby.

Ling był ciekawy, jak Gould się zachowa. Pies podszedł do kobiety i delikatnie oparł się o jej nogę, by zbadać jej nastrój.

– Ben?

– Tak?– Wchodzisz czy nie?– Tak.

– Ale stoisz w miejscu.

– Już– już, idę. Zastanawiałem się, czy mam coś z sobą zabrać. Ale chyba nie. No więc– wchodzę.– Zrezygnowany machnął ramionami wzdłuż boków i wszedł do łazienki.

A jakże: wanna była do połowy wypełniona wodą w kolorze *cafe au lait*. Tuż pod powierzchnią pływały dwie maleńkie rybki.

German przywarła do jego pleców ,oparta jedną ręką o jego ramię zapuściła spojrzenie do wanny. Gdy Ben poczuł dotyk jej biustu i ciepłe ciało, jego umysł wypełnił się wyobrażeniami tego, co wolałby z nią robić, zamiast gapić się w mętną wodę i rybki.

Przez całe życie Ben Gould, ilekroć wpadał w tarapaty, uciekał się do pewnej sztuczki. Kilka sekund przedtem, nim musiał spojrzeć prawdzie w oczy i wybrnąć jakoś z kłopotu, wyobrażał sobie, że znajduje się w idealnej sytuacji w idealnym świecie, w którym nie musi stawić czoła zagrożeniu.

W tej chwili na przykład, zamiast skomentować zamieszanie wokół wanny, wyobraził sobie, że siedzą razem z German przy kuchennym stole. Ona, rzecz jasna, jest wciąż rozebrana, co nadaje scenie rozkoszną intymność. Śmieje się wesoło i mówi: Właśnie przywidziało mi się coś dziwnaczego .Patrzyłam do filiżanki i nagle wydało mi się, że kawa to woda

w twojej wannie. A w środku pływają ryby! Kompletnie wariactwo! Co mi strzeliło do głowy?"

Ling śledził bacznie każdą myśl Bena. Chciał zobaczyć, jak tamten sobie poradzi. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że sytuacja jest sztuczna i nieuczciwa. Bo czyż można uczciwie ocenić ludzkie rozumowanie na podstawie tak absurdalnego incydentu jak ten, który dopiero co się zdarzył?

– To nie fair– stwierdził głośno duch i jednym ruchem myśli sprawił, że fantazja Goulda stała się rzeczywistością. Raptem Ben i German siedzieli naprzeciw siebie przy kuchennym stole. Czekala, aż wytłumaczy jej to, co zobaczyła. Naga, z łokciami na stole, w rękach trzymała czarny kubek do kawy.

Oszołomiony nagłym przeskokiem z łazienki do kuchni Ben chwycił się oburącz stołu, jakby powstrzymywał się przed upadkiem.

– Ben?

– Chwila– moment. Zaraz wracam.– Wstał. Bez słowa wytoczył się z kuchni i przeszedł korytarzem z powrotem do łazienki– Tym razem wanna była opróżniona z wody. Nigdzie śladu ryb ani morskich węży. German wsunęła się za nim, nadal trzymając kubek z kawą. Znowu przylgnęła do jego pleców.

– Ej, co robisz?

– Mmm, chciałem sprawdzić, czy w wannie nie ma ryb, tak jak mówiłaś.

Umysł Bena fikał koziolki, jego wzrok skakał po całej łazience, szukając punktu zaczepienia, czegoś, co by mu wyjaśniło, co tu przed chwilą zaszło.

Siedząca w wannie zjawa obserwowała ich z głową wspartą na pięści.

Kino mieściło się w parszywej dzielnicy, do której lepiej było się nie zapuszczać. Włóczędzy spali, leżąc pokotem w drzwiach. Psy wyły, dziwki warczały, żebracy łypali groźnie na przechodniów. Ich spojrzenia mówiły: Wyskakuj z pieniędzy, bo jak nie, to się porachujemy. Jakiś awanturujący się menel przysunął się tak blisko Linga, że duch wyciągnął rękę i musnął lekko koniuszek jego zakatarzonego nosa. Mężczyzna osunął się na kolana; porażony bólem nie mógł nawet wydusić z siebie krzyku.

Wnętrze kina przedstawiało się sympatyczniej, niżby należało oczekiwać po widoku na dworze. Było jak dobrze zachowana machina czasu z lat pięćdziesiątych. Ogromny, jasno oświetlony kiosk z napojami pachniał świeżym popcornem i roztopionym masłem. Chudy jak patyk chłopak z krostą– mi na twarzy odbierał przy wejściu czerwone bilety i przedzierał je na połowy, z których jedną oddawał wchodzącym.

Wygodne aksamitne fotele stały w rzędach dość szerokich by można było swobodnie wyciągnąć nogi.

Ling stanął z tyłu przestronnej sali kinowej i policzył czekających na film widzów. Siedemnaście osób. Pulchna kobieta usiadła nieco z boku; na sąsiednim fotelu ułożyła mnóstwo plastikowych siatek pełnych podejrzanym artykułów.

Anioł Śmierci siedział niemal dokładnie pośrodku sali, trzymając na kolanach pękaty kubek prażonej kukurydzy i wielki, biały papierowy kubek oranżady. Dzisiaj zmaterializował się na ziemi w postaci mężczyzny w średnim wieku. Łysiejący, korpulentny jegomość, który spoglądał szarobłękitnymi oczami zza okularów w drucianych oprawkach, miał na sobie zielony szetland, starą tweedową marynarkę i spodnie z zielonego sztruksu. Przywodził na myśl akademickiego profesora, wykładającego

jakieś trudno zrozumiałe, europejskie przedmioty– historyczny rozwój hermeneutyki albo filozofię Michela Foucaulta. Pomachał do sunącego wzdłuż rzędu krzesel ducha.

– Aa, jesteś, Ling. Siadaj. Akurat zdążyłeś.

Duch zajął miejsce obok Anioła. Anioł zaproponował mu popcorn, ale ten odmówił.

– Fatalnie się czuję, kiedy ludzie mnie widzą– przyznał.– Jakiś facet podszedł do mnie przed chwilą na zewnątrz...

– Wiem– uciął obojętnie Anioł i wrzucił do ust garść popcornu.– Ciężko ci. Ale ważne, żebyś czasem doświadczył tego, jak to jest być człowiekiem.

– Dlaczego? Przecież jestem duchem. Jako człowiek będę się czuł jak we mgle.

– To świetnie! Przyda ci się trochę mgły. Parę obłoczków na niebie, odrobina deszczu. A i burza śnieżna nie zaszkodzi...

Ling nie miał pojęcia, o czym Anioł mówi. Światła na sali zaczęły przygasać.

Obejrzyj jeden z najlepszych filmów z udziałem Carole Lombard. Pan i pani Smith. Jedyna komedia w dorobku Hitchcocka.– Anioł popił oranżady.

_ Kto to jest Hitchcock?

– Poczęstuj się popcornem.

– Dziękuję, nie.

W zapadającym mroku Anioł obrócił się pomału do Linga. Na kilka sekund jego oczy nabrały ogromnych rozmiarów i sypnęły snopami iskier.

– Poczęstuj się.

Ling wyjął posłusznie z pudełka cztery ziarna kukurydzy i położył je na dłoni.

– Zjedz.

Umieścił jedno ziarenko na końcu języka. Było słone i chropawe o maślanym smaku.– Nie lubisz popcornu?

– Nie, proszę pana.

– Pogryź wolno. Posłuchaj, jak trzaska ci w zębach. Poczuj bukiet smaku.– Zwróć uwagę na zmianę konsystencji w miarę żucia.

Duch zrobił, co mu kazano, mimo to czuł na języku tylko kiepski substytut masła i nadmiar soli. Na ogół ludzka żywność bardzo mu smakowała, ale prażona kukurydza była ohydny wyjątkiem.

Na ekranie wyświetliły się napisy czołówki, którym towarzyszyła żywa muzyka.

– Wolę filmy czarno– białe od kolorowych. Są bardziej sztuczne, trzeba się postarać, aby w nie uwierzyć. To coś w rodzaju modlitwy.

– Oglądasz dużo filmów?

– Mam swoje ulubione. Filmy z Carole Lombard, Veronicą Lake, no i oczywiście Emmanuelle Beart.

– A z aktorów?

– Możecie rozmawiać trochę ciszej?– zadudnił głos za ich plecami.– Przyszedłem tu obejrzeć film!

Anioł uśmiechnął się do Linga i poruszył brwiami. Odwrócił się i spojrzał na siedzącego dwa rzędy dalej mężczyznę.

– Przecież film jeszcze się nie zaczął– odezwał się do niego przyjaźnie.

Tamten trzepnął otwartą dłonią w oparcie.

– Ale ja akurat lubię spokojnie oglądać czołówkę. *Capisci?* Nie zapłaciłem za to, żeby wysłuchiwać waszego gderania. Jasne?

Słyszając napastliwy ton mężczyzny, Ling był pewien, że Anioł zamieni go zaraz w pchłę piaskową albo łajno hipopotama. Zamiast tego Anioł powiedział:

– W porządku. Ma pan słuszość.– I obrócił się z powrotem do ekranu.– Facet ma rację– wyszeptał półgębkiem do ducha.– Pogadamy po filmie.

Gdy dwie godziny później wychodzili z kina, na zewnątrz było ciemno i mgliście. Anioł wyciągnął głupawą czapkę! z włóczki i wsadził ją na głowę. Zadarłszy kołnierz sportowej marynarki, popatrzył na czarne niebo.

– Co przekąsisz? Masz ochotę na coś specjalnego? Duch wzruszył ramionami.

– Nie znam tej dzielnicy miasta.

– Chodź, tu niedaleko jest porządny lokal. Ling rozejrzał się niepewnie na boki i nie omieszkał zmarszczyć brwi.

– Ta dzielnica cieszy się chyba złą sławą?

– Zaufaj mi.

Ruszyli. Po kilku minutach pogawędki Ling nie mógł się jednak pohamować.

– Nie rozumiem, czemu mnie tu trzymacie. Gould i dziewczyna są ze sobą szczęśliwi. Kochają się. Nudy na pudy.– Anioł zachichotał, lecz się nie odezwał. Zachęcony jego śmiechem mówił dalej:– Nie wiesz, jakie to nużące: obserwować zakochanych ludzi. Pocałunki, uściski i ciągłe „kocham cię”. Dwadzieścia trzy razy dziennie. Co mnie to obchodzi? Z nudów rzuca mi się na głowę.

– Niech ci się nie rzuca. Przez jakiś czas będziesz nam potrzebny. No, jesteśmy na miejscu. Wejdź, to tutaj.

Szary, przyziemny romans Bena Goulda wprowadził ducha tak kiepski nastrój, że na moment się zapomniał i gdy Anioł stał trzymając uchylone drzwi, dotknął jego ramienia. Anioł wpatrzył się w dłoń leżącą na swoim ramieniu, po czym pokręcił z wyrzutem głową. Nie dotykaj mnie. Ling natychmiast zrozumiał, że się zagalopował, i szybko cofnął rękę.

– Proszę... wejdź do środka, Ling.

Byli w pizzerii. Powietrze wypełniał pikantny aromat sosu pomidorowego, gorącej oliwy z oliwek, ziół i smażonego czosnku. Lokal był niewielki – w zasadzie kuchnia z daniami na wynos, do której dodano sześć stolików dla tych, którzy upierali się jeść na miejscu. Jeden z nich zajmowali Ben Gould i German Landis, pałaszując pizzę wielkości samochodowej opony. Pokrywało ją tak wiele różnych, kolorowych dodatków, że wyglądała jak obraz Jacksona Pollocka.

Anioł Śmierci wskazał palcem na stół znajdujący się w najdalszym punkcie sali. Mimo to od Bena i German dzieliło ich jedynie dziesięć stóp.

Zaledwie usiedli, Ling pochylił się nad stołem i spytał półgłosem:

– Czy oni nas słyszą?

– Ma się rozumieć. Przecież siedzą tuż obok. – Pokazał w stronę młodej pary. German zauważyła jego gest i uśmiechnęła się przyjaźnie. W odpowiedzi Anioł uśmiechnął się do niej i powiedział: – Podziwialiśmy waszą pizzę.

Siedzący tyłem Ben obrócił głowę i zerknął przez ramię na tamtych dwoje. Wyglądali na parę naukowców. Nie spodziewał się ich tutaj. Pewnie wtajemniczeni smakosze. Choć pizzeria leżała w marnej dzielnicy, robiła

najlepszą pizzę w mieście. Na dodatek puszczano tu świetną muzykę spod znaku Motown. W tle leciał właśnie klasyczny kawałek The Detroit Emeralds *Poczuj moją potrzebę*.

– Ta pizza nazywa się Titanic– poinformowała Anioła German.– Jest tak obładowana dodatkami, że po jej zjedzeniu człowiek idzie na dno.

Ben parsknął śmiechem i pokręcił głową, dając nieznanym do zrozumienia, że jego dziewczyna tylko żartuje.

– Pierwszy raz?

Anioł skinął głową.

– Jeśli wolno mi polecić, na początek weźcie coś prostego. Pizzę z kielbasą i serem. Kielbasę produkują tu sami. To coś w rodzaju chorizo, ale z silną nutą anyżową, która nadaje jej niepowtarzalny smak. Palce lizać.

– Brzmi nieźle. Dziękujemy za radę.– Anioł podziękował skinieniem głowy, sygnalizując, że nie chce ich odrywać od rozmowy. Niech gołąbeczki wrócą do jedzenia i do własnego towarzystwa.

Po chwili Anioł odezwał się do Linga w dari, jednym z dwóch oficjalnych języków Afganistanu. Duch momentalnie się przestawił i obydwaj pograżyli się w ożywionej dyskusji.

Słyszac strzępy ich rozmowy, German pociągnęła Bena za rękaw.

– Słyszysz?– spytała zaintrygowana.– Jakim językiem oni mówią?

– Bo ja wiem. Myślałem, że są z uniwerku. Pewnie uczą w katedrze języków obcych.

– Okej, ale co to za język? Nie wiesz? Nigdy nie słyszałam takiej mowy. Słuchaj, może to są szpiedzy?

– Mam zapytać?– Ben dźwignął się na krześle. German wyciągnęła rękę i posadziła go z powrotem.

– Jeżeli to szpiegzy, zastrzelą cię. Daj spokój.– Uniosła następny ciężki kawał pizzy i wsunęła koniuszek do ust.

Ben obserwował ją. Czy można być jeszcze szczęśliwszym?– pytał sam siebie. Czy może istnieć chwila piękniejsza niż ta?

Ling i Anioł odebrali jego myśli i skrzyżowali spojrzenia. Do ich stolika podszedł kucharz; zgodnie z rekomendacją Bena zamówili dużą pizzę i piwo.

– Czy jeśli ci zadam pytanie, powiesz mi prawdę?– spytał Ling po odejściu kucharza.

Anioł przytaknął.

– Obiecujesz? Skinął po raz wtóry.

– Czy naprawdę nie wiecie, co się z nim dalej stanie? Anioł podniósł rękę, jak gdyby składał w sądzie przysięgę.

– Naprawdę nie wiemy.

– Więc czemu po prostu nie zaaranżujecie mu drugiej śmierci?

– Bo nie możemy. Mówiłem ci: jego los nie spoczywa w naszych rękach. Poza tym ciekawi nas, co rzeczywiście się z nim stanie. To bezprecedensowa sprawa. Popatrz.– Anioł sięgnął do kieszeni i wydobył stamtąd coś, co przypominało zwykły bilet autobusowy. Jednak Ling i Anioł umieli zeń wyczytać, sekunda po sekundzie, cały życiorys Benjamina Goullda, łącznie z niniejszą wizytą w pizzerii. Na około jednej dziesiątej długości od dołu widniała gruba czerwona linia oznaczająca dzień i godzinę, kiedy Ben miał dokonać żywota. Poniżej znajdowały się pozostałe zapiski, które niczym atomowy zegar odmierzający każdy ułamek upływającej sekundy, rejestrowały życie, myśli i marzenia Goullda.

Anioł przesunął bilet na środek stolika i wskazał na czerwoną kreskę.

– Od tego momentu robi się ciekawie. Wtedy wirus zainfekował nasze komputery, a nasz bohater potoczył się naprzód, zdany na samego siebie. Fantastyczna historia! To dla nas niezwykle ekscytujące. Jak mówiłem: bez precedensu.

– A więc Gould to świnka morska?

– Skądże– odkrywca! Pionier. Nie mamy absolutnie żadnego wpływu na jego los. Możemy go jedynie obserwować. I dlatego chcemy, żebyś go nie odstępował, Ling. Żebyś trzymał dla nas rękę na pulsie– co on myśli, co się z nim dzieje.

Umilkli. Kucharz rozkładał talerze na ich stoliku. Duch już otworzył usta, by się odezwać, lecz Anioł uniósł palec, sygnalizując, aby najpierw coś zjedli.

Ling oparł podbródek na ręce i śledził Bena i jego dziewczynę jedzących w drugim kącie sali.

– Ta pizza jest naprawdę super. Musisz jej spróbować– zachęcił Anioł, wpychając do ust niesforny wisior mozzarelli.

– Pyszna– zgodził się Ling.

Drzwi pizzerii rozwarły się i do środka wszedł włóczęga. Był pod czterdziestkę, w złachanym, rozpiętym trenczu, brudnych roboczych portkach noszonych od ośmiu lat i jaskrawym swetrze w odcieniu świeżych pomarańczy. Z szyi zwisała mu kartka z odręcznym napisem „Jestem głodny i mam złamane serce. Czy możesz mi pomóc?”

Sprawiał wrażenie, jakby mieszkał sam po ciemnej stronie księżyca. Cuchnął przy tym tak przeraźliwie, że ludzie zbierali się do ucieczki.

– Ej, ty!– wrzasnął kucharz zza lady.– Wynoś się stąd albo dzwonię po policję!

Menel zignorował groźbę i powłóczystym krokiem zbliżył się do stolika German i Bena. Jego oczy wyglądały jak zaśniedziałe monety. Skóra miała kolor starych, nasiąkłych wodą książek. Wetknął rękę do jednej z wielu bulwiastych kieszeni i wyciągnął pustą brązową szpulkę, na którą kiedyś była nawinięta nić. Niezwykle delikatnie umieścił ją na krawędzi ich stolika, po czym zrobił krok w tył, skrzyżował dłonie przed sobą i czekał. Najwyraźniej szpulka była ofertą, prezentem proponowanym w zamian za spodziewaną korzyść. Daję ja wam, a wy dajcie mi coś, co mi się przyda.

Ben spokojnie, jakby nigdy nic, odkroił trójkąt pizzy z ich talerza i wręczył go mężczyźnie.

– Nie, proszę tego nie robić!– zachrypiał kucharz, wywijając wielką drewnianą łopatą do pizzy.– Teraz ciągle będzie tu przyłaził!

Włóczęga wziął ciasto i zaczął je oglądać. German przyglądała mu się z zaciekawieniem, bez cienia odrazy ani zażenowania. Zastanawiała się, jak Ben i włóczęga rozegrają tę scenę.

Tramp zamknął oczy i trzymając trójkąt pizzy w obu rękach, zaczął go metodycznie obgryzać, kęs po kęsie. Kucharz złościł się za ladą. Korciło go, by wezwać policję, ale chciał uniknąć awantury. Wyglądało na to, że menel zostanie i naje się do syta w jego pizzerii.

Trzymając pizzę w sękatych rękach, 'włóczęga przesunął się w kierunku stolika zajętego przez dwóch mężczyzn. Przystanął i gapił się na nich, nie przerywając jedzenia. Ling zdusił uśmiech. Gdyby tylko ten ludzki wrak wiedział, od kogo doprasza się o jedzenie...

Ku zaskoczeniu Linga, Anioł odezwał się miłym, cichym głosem:

– Niech pan stąd idzie, panie Parrish. Zabierz pan swoją pizzę i wyjdź.

Włóczęga był zdumiony. Usłyszawszy swoje nazwisko, zmrużył nieufnie oczy. Od lat nikt nie zwrócił się doń w ten sposób, a już na pewno nie zatytułował go „panem”. Jego wzrok zdradzał, że nazwisko kojarzy mu się z czymś, co kiedyś posiadał, ale podobnie jak większość rzeczy bezpowrotnie utracił. Podszedł do łysiejącego mężczyzny i patrzył na niego przez chwilę.

Skołowany Parrish oderwał gruby kęs ciasta i wyjęczał żałośnie z pełnymi ustami:

– Bola mnie nogi i mam złamane serce!– Z ust wyciekła mu strużka sosu pomidorowego i spłynęła na przywieszoną u szyi kartkę.

– Tak, rozumiem, Stewarcie. Ale niestety musisz stąd wyjść. No już, proszę. Tam są drzwi.

Bure, skłębione chmury szaleństwa, które spowiły mu umysł w ciągu jedenastoletniej włóczęgi, sprawiły, że Stewart Parrish czuł się niewyraźnie, gdy ktoś przemawiał do niego w uprzejmych, spokojnych i niezdawkowych słowach. Zdażył przywyknąć do połajanek, wrogich pomruków i rzucanych pod jego adresem epitetów. Dlatego zdenerwował go zarówno łagodny ton mężczyzny, jak i to, że ten zwrócił się doń po nazwisku. Okrutne doświadczenie nauczyło Parrisha wystrzegać się wszystkiego, co podejrzanego.

Wepchnął reszkę pizzy do ust, otarł tłuste ręce w płaszcz i z niespodziewaną szybkością i wdziękiem wyszarpnął zza pazuchy nóż. Posługiwał się nim wielokrotnie. Podczas odsiadki nauczył się, jak z kawałka metalu zrobić ostry jak brzytwa nóż, szlifując go na betonowej podłodze swojej celi. Tak właśnie potraktował sztuciec. Był to zwykły nóż z nierdzewnej stali w rodzaju tych, jakich używa się w szkolnych

kawiarenkach, publicznych lokalach i tanich restauracjach. Tyle że to ostrze cięło powietrze ze świstem.

Bóg stworzył człowieka, jednak szaleństwo człowiek stworzył już sam. Przybiera ono tak różnorakie, zindywidualizowane formy, że anioły, duchy i inne istoty z tamtego świata nie są w stanie go ogarnąć ani rozszyfrować. Krótko mówiąc, Anioł Śmierci nie przeczuwał tego, co go za moment spotka.

Kiedy tramp wyciągnął nóż, German Landis wrzasnęła. Anioł usłyszał ją, podniósł wzrok i instynktownie uchylił się, gdy Parrish zadał mu pchnięcie.

Kucharz przeskoczył przez kontuar. Wziął potężny zamach i grzmotnął napastnika drewnianą łopatą w tył głowy, tak iż włóczęga padł jak rażony piorunem.

Ling nie wierzył własnym oczom. Śmiertelnik ugodził nożem Anioła i przelał jego krew? Jak to możliwe? Jęcząc przeciągle, Anioł usiłował równocześnie stanąć na nogi i wyjąć nóż z ramienia.

– Pomóż mi, Ling. Pomóż mi wstać– wyjęczał ponownie.

Parrish poruszył się. Kucharz i Ben skoczyli na niego i próbowali przygwoździć go do podłogi. Ben zawołał do German, aby zadzwoniła na policję.

Ling ujął Anioła pod zdrowe ramię.

– Wyprowadź mnie stąd. Na ulicę. Prędeej.

Na szczęście Parrish zaczął się miotać, skupiając na sobie całą uwagę Bena i kucharza, którzy starali się go utrzymać. German rozglądała się rozpaczliwie po kuchni, szukając telefonu.

Anioł, podtrzymywany przez Linga, wytoczył się na miękkich nogach na chodnik. Nigdzie nie było samochodów. Rozejrzawszy się na boki, Anioł kazał się prowadzić do biegnącej nieopodal uliczki. Grymas wykrzywił mu twarz, oddychał nierówno. Obaj byli powaleni krwią. Gdyby Anioł był człowiekiem, do tej pory doznałby już wstrząsu pourazowego.

– Puść mnie. Dalej pójde sam.– Ling posłuchał go, ale na wszelki wypadek nie opuszczał rąk.– Słuchaj, Ling. Muszę iść. To nie powinno się było zdarzyć. Ja nie miałem pojęcia, że... To nie miało prawa się zdarzyć.

Duch nie wiedział, czy ma zaczekać, aż Anioł dokończy, czy też wejść mu w słowo, proponując pomoc.

– Nie wiem, czy jeszcze wrócę. Czy będę ci mógł pomóc, Ling. Wariactwo! Coś takiego nie powinno się zdarzyć...– Co rzekłszy, Anioł rozpląnął się w powietrzu.

3.

German Landis wynajmowała ciemną, wilgotną norę, której nienawdziła i wolałaby nie oglądać na oczy, a co dopiero tu mieszkać. Kiedy po zerwaniu z Benem wyprowadziła się od niego, zapragnęła jak najszybciej się gdzieś zaczepić. Było to wówczas jedyne mieszkanie „na jej kieszeń”, no i takie, które mogła od razu wynająć. Koszmarne lokum dowodziło, iż German nietęgo sobie radzi w kryzysowych sytuacjach. Za każdym razem, gdy otwierała drzwi i zapalała światło, mimowolnie garbiła się i krzywiła w oczekiwaniu na znajome widoki. Bywało, że chodziła po mieszkaniu i śpiewała „ohyd ohyda, ohyda” do ścian, biurka i szarej szafy z paździerzowej płyty. Jej jasnoniebieska sofa całkiem nie pasowała do tego ponurego, zatęchłego lochu. German nieraz już ją przeproszał obiecując, że wyniosą się stąd obie jak najszybciej.

Nawet pies podczas odwiedzin przemykał się po jej mieszkaniu chyłkiem, kładąc uszy po sobie. Trudno było mieć do niego pretensje.

Aby jakoś zrewanżować się Pilotowi, German kupowała mu najlepszą dostępną na rynku karmę. Gdy otwierała puszki, jedzenie pachniało tak smakowicie, że często sama miała ochotę go spróbować. Kupiła również dwie niebieskie miski, w tym samym odcieniu co sofa. Leżały koło lodówki w kuchni wielkości budki telefonicznej. Chociaż robiły, co mogły, ich wesoły błękit ani trochę nie rozpraszał panującego wewnątrz klimatu. Czy coś w ogóle mogło go rozproszyć? German mieszkała w suterenie o dwóch małych oknach i betonowej podłodze, od której zawsze ciągnęło chłodem. Nikłe promyki słońca wpadały tu niemal przez przypadek, zawsze było ich za mało, nigdy dość. Jak rozproszyć taki klimat?

German żyła pod ziemią niczym jakiś stwór z opowiadania Franza Kafki. W IKEI kupiła sześć lamp, które paliły się przez cały czas, kiedy była w domu. Mieszkanie Bena miało cztery wychodzące na wschód wysokie okna, przez które wlewało się poranne słońce, zmatowiały, ale jasny parkiet i ten śmieszny, stary dywanik perski, na którym Pilot lubił się wylegiwać. Kontrast był uderzający: w jej nowym domu chowałeś się przed światem i zwieszałeś nos na kwintę albo jeszcze gorzej. Jak tylko otrząsnąłeś się z czarnych myśli, pryskałeś stąd, gdzie pieprz rośnie.

Sam budynek wyglądał przy tym tak ślicznie, że German z początku dała się nabrać. Idący ulicą przechodzień łatwo mógłby się poddać jego urokowi. Należał do dwóch starych sknerusowatych lesbijek o imionach Robyn i Clara, które tarzały się w pieniądzach, ale żałowały na jego utrzymanie. Wprawdzie dom, malowany co parę lat, zółcił się radośnie i wszystkie okna– od parteru wzwyż– miały kwietniki, lecz farba była w najtańszym gatunku, a w donicach rosły anemiczne bratki wyhodowane z nasion w kopertach, które można kupić za dolara i czterdzieści dziewięć centów w pierwszej lepszej szkółce leśnej.

Mieszkanie German, żywa ilustracja skapstwa jego właścicielek, było używane przez lata jako graciarnia. W dalszym ciągu czuło się tam wilgoć i pleśń, a czasem też cień starych czasopism i zgniłych kartonów, które spoczywały w spokoju przez dziesiątki lat. Kobiety nie wyrzucały niczego: zwłaszcza jeżeli kiedyś, choćby dawno temu, słono za to zapłaciły.

Nie odnowiłyby tej sutereny, gdyby nie ich księgowy, który je poinformował, że jeśli zrobią remont, będą mogły odstąpić mieszkanie, nie płacąc podatku od uzyskanego stąd dochodu, obie bowiem przekroczyły sześćdziesiąty piąty rok życia.

Dosłownie parę dni później gazety i pudła znalazły się na wylocie, a zamiast nich pojawili się lokatorzy; nikt jednak nie zagrzał miejsca na dłużej.

German przypadła obu kobietom do serca, lecz nie ruszyły palcem, aby uprzyjemnić jej życie w suterenie. Polubiły także Pilota– był cichy, poważny i dobrze ułożony. O dziwo, nie protestowały, kiedy siadał na zielonym skwerku przed domem i wygrzewał się w słońcu. Szkoda co prawda, że pies nie okazywał im więcej przyjaznych uczuć i że tak obojętnie przyjmował ich pieśczoć, ale cóż, nie można mieć wszystkiego.

Wracając tego ranka od Bena, German wsunęła klucz do zamka i bezwiednie wtuliła głowę w ramiona. W mieszkaniu zadzwonił telefon. Omal nie potknęła się o metalową literę D, którą postawiła na ziemi, żeby wyciągnąć klucz.

Warujący obok Pilot spojrzął na nią z pozbawioną wyrazu miną. Miny wszystkich psów są pozbawione wyrazu, ale pysk Pilota miał w sobie coś, co zwykle pozwalało jej odgadnąć, o czym ten myśli. Tak przynajmniej sądziła.

Otworzyła drzwi, odtrąciła kopniakiem tę przeklętą liter i weszła szybko do środka odebrać telefon. Pies podążył z nią. Zaraz po wejściu powąchał powietrze, sprawdzając, czy są jakieś nowe, ciekawe zapachy. Potem poszedł obejrzeć swoją miskę. Czasem pojawiały się w niej smaczne resztki ze śniadania German.

– Halo?– rzuciła lekko zdyszana do słuchawki.

– Musimy pomówić.

Otworzyła szerzej oczy ze zdziwienia. Podparła się drugą ręką o telefon dla zachowania równowagi.

– To ty, Ben?

– Musimy pomówić.

– Przed chwilą byłam u ciebie. Czemu wtedy nie mówiłeś? Westchnął.

German czekała na dalszy ciąg.

– W telewizji leciał ten głupi film.

– Jaki film?

Smithem. Idiotyczne imię wybrali dla tak inteligentnego psa.

– Chodzi ci o ten film, w którym Grant rozchodzi się z żoną, ale oboje na przemian opiekują się psem?

– Tak.

– Wcale nie był zabawny, tylko głupawy. Myślałam, że byliśmy tego samego zdania.

– Zgoda, ale facet w telewizji powiedział, że to jedna z najwspanialszych zwariowanych komedii. Klasyka gatunku. Właśnie się skończyła. Kiedy wyszłaś, włączyłem telewizor i leciał ten cholerny film. Czy to nie ironia losu? Ty znikasz za drzwiami z naszym psem, a w telewizji pokazują tę komedyjkę. Mówię serio. Musimy porozmawiać.

Film nie przypadkiem wyemitowano w telewizji. Ling puścił go specjalnie po to, aby popsuć Benowi humor, gdyż nie mógł mu wybaczyć jego zachowania wobec German. Zjawa siedziała teraz na wprost Bena przy kuchennym stole – jedno patrzyło na drugie. Oczywiście Ben nie miał o niczym pojęcia. Zdawało mu się, że jest sam i rozmawia przez telefon z kobietą, za którą byłby gotów oddać połowę wszechświata, byle tylko do niego wróciła.

German odpowiedziała mu zdecydowanie. W jej głosie pobrzmiwała irytacja.

– Ben, wałkowaliśmy już ten temat... Nie raz, nie dwa. Nie ma o czym mówić.

– Właśnie że jest. Dzieje się coś... coś dziwnego. Pokręciła głową i przygryzła paznokieć kciuka. Nie zamierzała go słuchać. Dosyć tego. Basta.

– Coś dziwnego? To brzmi dość zagadkowo, Benjaminie.– Była zmęczona jego eliptycznym językiem, zwłaszcza gdy mówił o sprawach ważnych dla nich obydwu. Bolała ją od tego i głowa, i serce.

Po drugiej stronie linii telefonicznej Ling słuchał ich z najwyższą uwagą. Czy Gould się przełamie? Czy jej powie?

– Musimy porozmawiać, German.

Teraz z kolei ona westchnęła. Ben trajkotał jak katarynka; to do niego nie pasowało.

– Słyszałam, Ben. Tylko że my gadaliśmy już na wszystkie możliwe tematy. Aż do znudzenia. Czy dobrze się rozumiemy?– Usiłowała panować nad głosem, ale okazało się to trudne.

– Nie– to nie to, co myślisz. Tu chodzi o coś innego. Czy mogę cię prosić o przysługę? już ostatnią? Czy zostało mi jeszcze trochę punktów na koncie?

Utkwiła wzrok w suficie.

– No więc?

– Chciałbym, żebyś się ze mną spotkała. Dobrze?

– Kiedy ?Gdzie?

– Za godzinę, na Underhill Avenue 182. Przyjdiesz? Przez wzgląd na to, co nas kiedyś łączyło?

Zawahała się. Pytanie Bena i sposób, w jaki je sformułował, zbiły ją z pantafyku. Z drugiej strony nie było powodu mu odmawiać, toteż choć

niechętnie, zgodziła się. Było jednak słychać, że jest niezadowolona. Postanowiła wziąć z sobą Pilota. Underhill Avenue była niedaleko. Przynajmniej trochę się przewietrza.

– W porządku. Do zobaczenia.

– Dziękuję, German. Bardzo dziękuję.

Po wypadku Danielle Voyles zaczęła studiować Pismo Święte. Nie afiszowała się ze swoim zwyczajem. Wiedziało o nim ledwie kilka osób z rodziny i garstka przyjaciół. Każdego ranka przed śniadaniem Danielle czytała co najmniej pięć stron. Potem zamykała oczy i rozmyślała nad treścią lektury. Rozmyślała głęboko. Nie czytała Biblii od deski do deski. Czasem brnęła przez jakiś fragment, czasem okropnie się nudziła, lecz zamierzała przeczytać Pismo do końca. Następnie chciała zająć się Koranem. Przed wypadkiem mało czasu poświęcała na rozważanie o Bogu i sensie życia, ostatnio jednak myślała o nich dużo i często.

To było straszne. Czworo ludzi straciło życie, w szpitalu wciąż leżało dziecko w ciężkim stanie. Mały jednosilnikowy samolot runął z nieba jak kamień. Danielle siedziała na fotelu pasażera w samochodzie swojego chłopaka, gdy kątem oka dostrzegła po prawej stronie jakiś przedmiot spadający na ziemię. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, co widzi. Gdy obróciła głowę, samolot roztrzaskał się o kamieniste zbocze przy drodze szybkiego ruchu.

W momencie zderzenia maszyna eksplodowała setkami płonących odłamków metalu i gumy, które rozprysły się na wszystkie strony jak szrapnel. Część z nich dotarła do drogi. Dwa kawałki trafiły w samochód. Fragment rozpórki skrzydła uderzył w przód auta, zrywając przedni reflektor i wginając zderzak. Drugim odłamkiem była górna połowa metalowego

długopisu, walającego się bezładnie po podłodze samolotu. Przebiła szybę auta jak dwucalowy pocisk i trafiła Danielle w czoło tuż nad prawym łukiem brwi.

Są rany, od których powinniśmy zginąć, a mimo to żyjemy. Rany, choroby, wypadki. Zapytani, jak to możliwe, że ofiara żyje, najwybitniejsi eksperci na ziemi wzruszają ramionami i– jak my wszyscy– uśmiechają się bezradnie. Cuda niekiedy się zdarzają. Po zbadaniu obrażeń głowy, jakich doznała Danielle Voyles, lekarze nie dawali jej szans na przeżycie. W trakcie sześciogodzinnej operacji z jej mózgu usunięto fragment metalowego długopisu. Nikt z zespołu operacyjnego nie przypuszczał, że Danielle przeżyje kolejną dobę.

Pół roku później siedziała na stacjonarnym rowerze w swoim saloniku i wolno, lecz regularnie kręciła nogami, czytając w kolorowym czasopiśmie artykuł o odnajdywaniu wewnętrznego spokoju.

Gdy zadzwonił gong u drzwi, zdziwiona podniosła głowę. Nie oczekiwała gości; była sobota i Danielle nie planowała żadnych spotkań. Zeszła z roweru i podciągnęła spodnie dresu, które podczas ćwiczeń ciągle jej opadały. Maszerując do drzwi, myślami była w połowie przy niedoczytanym artykule, a w połowie zastanawiała się, kto ją odwiedził. Była przyjaźnie nastawiona do ludzi. Otworzyła wejściowe drzwi, nie obawiając się, że ktoś po drugiej stronie może chcieć ją skrzywdzić.

Wyrosła przed nią wysoka kobieta w żółtej czapce bejsbolowej, trzymająca w ręku smycz, a na niej psa. Danielle widziała ich pierwszy raz w życiu.

– Dzień dobry. Czy pani Danielle Voyles?– Kobieta uśmiechnęła się niepewnie

– Tak, to ja.

– Nazywam się German Landis. Przepraszam, że panią niepokoję tak bez uprzedzenia, ale chciałabym, jeśli wolno, porozmawiać o pani wypadku.

– O moim wypadku?– Danielle odruchowo sięgnęła do głowy i dotknęła wyraźnego wklęsnięcia i brzydkiej fioletowej szramy, które miały jej towarzyszyć do końca życia.

– Tak. Czy może mi pani poświęcić kilka minut? German nie była sama. Obok niej stał Benjamin Gould– jednak Danielle go nie widziała. Nie była w stanie go spostrzec.

Nie słyszała, jak Ben odzywa się do German: jak podpowiada jej pytania i udziela na nie precyzyjnych odpowiedzi, wyprzedzając Danielle o słowo. Nie widziała, jak krąży po jej mieszkaniu, zagląda do otwartych szuflad, otwiera lodówkę i woła „ojjku!” na widok pustawych półek. Nie zauważyła go nawet wtedy, gdy przysiadł się do niej na kanapie, zajmując miejsce na wprost German.

Godzinę wcześniej Ben i German spotkali się przed blokiem Danielle. Świeciło jasne słońce, oboje nosili bejsbolówki z daszkami nasuniętymi nad oczy. Ben sprezentował jej tę żółtą bejsbolówkę wiele miesięcy temu, więc ucieszył się teraz, widząc, że German nadal ją nosi. Pilot zareagował na jego widok dość chłodno. Trzy razy pomachał ogonem, a potem zapatrzył się na idącego drugą stroną ulicy szczeniaka rasy labrador retriever.

German oczekiwała, że Ben wytłumaczy jej, po co ją wezwał. On jednak pokazał bez słów, by poszła za nim do pobliskiego parku. Usiedli na niebieskiej ławce i wtedy opowiedział jej, co mu się przytrafiło. Jego historia była tyleż zdumiewająca, co krótka. Gdy skończył, German

obrzuciła go takim spojrzeniem, jakby nie знаła Bena Goulda. Nie umiała ukryć ani strachu, ani zdziwienia. Spodziewał się tego.

– Ależ Ben, to jest chore. To jakiś totalny obłąd.

– Wiem, może się tak wydawać. Ale to prawda.– Mówił cichym, cierpliwym głosem. Wiedział, że German nie od razu da się przekonać.

– Co za koszmarna historia. Przerażasz mnie, Ben.

– No to wyobraź sobie, jak ja się czuję! Proszę cię tylko o to, żebyś poszła ze mną do jej mieszkania i zobaczyła na własne oczy. Nie musisz mi wierzyć na słowo. Przekonaj się.

Pociągnęła za daszek swojej bejsbolówki.

– Mówiłeś to dwa razy. Skinął głową.

– I powtórzę po raz trzeci: chodź i się przekonaj. Zapukaj do jej drzwi i zobacz, co się stanie. Ja będę stał koło ciebie.

Rozmawiali. Im dłużej go słuchała, tym bardziej czuła się zdezorientowana, gdyż Ben mówił z nieodpartym przekonaniem. Bez wątplenia była to największa brednia, jaką German słyszała, a Ben nie miał zwyczaju bredzić. Opisał wszystko tak sugestywnie, że coraz trudniej było nie dać mu wiary.

– Kim ona jest?

– Zwyczajną kobietą. Nieznajomą.

– Jak ją poznałeś?

– Nie znam jej, German. Właśnie to usiłuję ci powiedzieć: nigdy w życiu nie widziałem tej kobiety.

– A więc pewnego dnia to się po prostu zaczęło: pojawiła się ta nieznajoma kobieta?– zapytała ostrożnie.

– Tak.

Uniosła rękę do ust i przyglądała mu się. Kiedyś sądziła, że zna go na wylot, ale to, co usłyszała chwilę temu, zachwiało jej pewnością. Wyjaśniało, dlaczego z nią zerwał. I dlaczego od miesiący zachowywał się w tak dziwny sposób. Tłumaczyło wszystko i nic. W głębi duszy German wolałaby nie słyszeć tych słów.

– Co ja mam z tym fantem zrobić, Ben? No co?

– Spotkaj się z nią i zobacz, czy mówię prawdę.

Wstała raptem z ławki i zaczęła się oddalać, ciągnąc za sobą Pilota. Ben śledził ją przez kilka sekund, po czym ruszył za nią. German zatrzymała się przed blokiem i odwrócona do niego plecami zapytała:

– Co ja jej powiem?

– Powiedz, że chciałabyś porozmawiać z nią o wypadku. Jesteś dziennikarką– piszesz artykuł o zespole stresu pourazowego. Albo powiedz, że ktoś z twojej rodziny...

– Dam sobie radę– ucięła krótko, wyrzucając rękę w górę. Dosyć się nasłuchiwała jak na jeden dzień. Chciała, żeby Ben w końcu się zamknął.

Kiedy zadzwoniła do drzwi, Ben stał tuż przy niej. Danielle otworzyła i spojrzała wprost na nią– i tylko na nią. Jej mina wskazywała wyraźnie, że nie widzi nikogo poza kobietą i psem.

– Dzień dobry. Czy pani Danielle Voyles?

Pierwszy raz Ben zauważył to owego wieczoru przed paru miesiącami gdy włóczęga ugodził nożem mężczyznę w pizzerii. Zostali przesłuchani przez policję – każde złożyło osobne zeznanie – i poszli prosto do najbliższego baru, żeby ukoić skołatane nerwy.

Woleli siedzieć przy kontuarze niż przy stolikach. Wysoko w kącie knajpy tkwił przytwierdzony do ściany wielki telewizor o płaskim ekranie. Pili, gadali i próbowali wymazać z pamięci okropny incydent, którego świadkami byli nieco wcześniej.

Co jakiś czas Ben popatrywał w stronę telewizora nastawionego na kanał sportowy. Raz czy dwa jego wzrok zatrzymał się tam dłużej podczas wypowiedzi German. Nie miała o to do niego pretensji. Znali się na tyle długo, że German wiedziała, iż Benowi zdarza się gapić w jakiś punkt i zarazem słuchać jej uważnie. Było to jedno z jego nieszkodliwych dziwactw, które zupełnie jej nie przeszkadzało.

W pewnej chwili Ben spojrzął na telewizor i zmarszczył się. Zamiast meczu AS Roma– Lazio Rzym, który nadawano parę minut temu, na ekranie widniały teraz szeroko otwarte, różowe usta. Zbliżenie ukazywało wnętrze jamy ustnej, którą poddawano operacji chirurgicznej. Ben chciał w pierwszym odruchu krzyknąć: Hej, spójrz na to!– ale natychmiast przypomniał sobie, że German nie znosi widoku krwi ani wnętrzości. No a poza tym zaliczyli już dziś jedno pchnięcie nożem. Zmrużył więc oczy, aby lepiej widzieć, i dalej gapił się w barowy telewizor.

W tym czasie Danielle Voyles gapiła się na program w swoim saloniku. Oboje oglądali dokładnie to samo: operację jamy ustnej zarejestrowanej na kasecie wideo. Danielle pracowała jako technik dentystyczny i chlubiła się tym, że znała ostatnie nowinki z dziedziny stomatologii. W okresie rehabilitacji sporo czasu poświęcała na studiowanie zabiegów jamy ustnej, które wykonał jej szef, doktor Pindlitz.

Podczas gdy Ben skręcał się z obrzydzenia, Danielle pogryzała prażoną kukurydzą z serem i sączyła Dr. Peppera. Pijący wódkę Ben poczuł

nagle w ustach ostry smak serowego popcornu. Po chwili zastąpiła go gęsta słodycz i bąbelki gazowanego napoju.

Wszystko to trwało sekundy. Ben doszedł do wniosku, że incydent w pizzerii musiał mu nadwerężyć mózg, który teraz płata mu figle. Mylił się: to był dopiero początek.

W ciągu kolejnych dni doświadczał coraz to nowych wrażeń z życia Danielle Voyles. Jakby na krótkie chwile się w nią przeistaczał. Przez parę sekund patrzył na świat jej oczyma, smakował potrawy jej językiem, znał jej myśli. Danielle nie miała o niczym pojęcia.

Z mieszaniną strachu i fascynacji, ale za każdym razem z lękiem odkrywał, kim jest Danielle Voyles, co jej się przytrafiło, w co wierzyła, o czym marzyła, czego się bała. Zjawisko to powtarzało się co jakiś czas, a Ben nie umiał mu zapobiec. Pewnego razu stał przy zlewie w kuchni i pił wodę ze szklanki, gdy naraz— bez ostrzeżenia— zjawił się przed jakimś lustrem, wpatrzony w odbicie twarzy Danielle; malowała szminką usta i przeglądała się w łazienkowym lustrze, układając w myślach plan dnia. Ben poznawał jej najskrytsze myśli, spostrzeżenia, uczucia. A przy tym nie przestawał być sobą, Benem Gouldem. Potem równie nagle to się urywało i Ben wracał do swojego życia. Zreferował German całą historię, gdy siedzieli w parku na ławce, naprzeciw budynku Danielle.

Kiedy mieszkali razem, stawał się coraz bardziej dziwaczny i nieobecny. Rzecz jasna, niesamowite przeżycia Bena odbiły się na jego stosunku do German. W końcu stał się tak nieznośny, że German postawiła sprawę na ostrzu noża. Za późno— Ben bał się, że traci zmysły, i jej interwencja tylko pogorszyła ich relacje; zasklepił się w sobie. Kilka dni później oznajmiła, że nie będzie tego dłużej tolerować, i się wyprowadziła.

Wkrótce potem Ben przeniósł się pierwszy raz do mieszkania Danielle Voyles. Znał jej nazwisko i adres, bo któregoś dnia przy realizacji czeku wyjęła prawo jazdy, aby potwierdzić swoją tożsamość. Zadzwoił do jej drzwi, ale gdy je otworzyła, nie zobaczyła nikogo na zewnątrz. Wzruszyła ramionami i zamknęła drzwi. Gong odezwał się ponownie i znowu otworzyła, tym razem marszcząc czoło. Na widok pustego korytarza zrobiła trzy kroki naprzód, w nadziei, że dojrzy czmychającego żartownisia. Korzystając z okazji, Ben obszedł ją i wkradł się do mieszkania.

Nie zdziwił się, że go nie widzi. Już przedtem, kiedy był w głowie Danielle, starał się nawiązać z nią kontakt: wołał, gwizdał, śpiewał, wszystko na próżno.

– Witam– powiedział ani głośno, ani cicho, stojąc pół kroku od niej.

Zamknęła drzwi wejściowe, potrząsnęła głową i wróciła przed telewizor, by oglądać przerwany program.

– Czy słyszy mnie pani? Czy pani mnie widzi?

Nie reagując, wzięła pilota i zwiększyła głośność. Ben wetknął dwa środkowe palce do ust i gwizdnął ogłuszająco. Danielle wycelowała pilotem w ekran. Jej nieruchoma twarz potwierdzała jedynie, że go nie usłyszała.

Ben przeszedł się po jej małych włościach, trzymając ręce w kieszeniach; patrzył na znajome przedmioty jej oczami. Mieszkanie składało się z saloniku, sypialni, kuchni i łazienki tak małej, że z trudem mieściły się tam umywalka i prysznic. Obchód zajął mu kilka minut. Danielle gustowała w silnie nasyconych kolorach i wypchanych zwierzętach. Każde pomieszczenie było utrzymane w innym, ostrym odcieniu. Jedenaście wypchanych zwierząt zajmowało różne strategiczne pozycje. Danielle miała markowe wieczne pióro, którym pisała długie listy do przyjaciół. W łazience

zawiesiła pojemnik z mydłem do rąk. Nie przykładała się do gotowania. W szufladzie na sztućce leżały dwa noże, dwa widelce, dwie łyżeczki, biała plastikowa łopatka i czerwony wielofunkcyjny "szwajcar" z wieloma ostrzami. Kroiła nim chleb i mięso.

W salonie była mała żółta kanapa kupiona na wyprzedaży. Obok stał wielki fotel Barcalounger niemal tej samej barwy, w którym Danielle oglądała telewizję.

Po skończonym obchodzie Ben skrzyżował ręce na piersi i stojąc koło kanapy, obserwował właścicielkę mieszkania; i pierwszy raz widział ją z boku. Dwa dni wcześniej odszukał jej numer telefonu. Zadzwoił i próbował z nią porozmawiać. Danielle zgłosiła się, ale nie słyszała go. Oczekała chwilę, by się upewnić, że po drugiej stronie nikogo nie ma, i odłożyła słuchawkę na widelki. Przypomniała sobie o tym teraz, oglądając telewizję. Przedwczorajszy głuchy telefon. Dzisiejszy, dzwonek u drzwi i nikogo ani widu, ani słychu. Nic takiego jej się dotąd nie zdarzało. Czy te epizody coś łączy?

Duch bawił się w najlepsze. Stojąc opodal, uważnie śledził poczynania obojga ludzi. Niech pan Gould liźnie trochę widmowej egzystencji. To nie przelewki, co? Żadne ze śmiertelników nie widziało Linga. Danielle Voyles nie widziała Bena.

– Pani rzeczywiście mnie nie widzi i nie słyszy? Przecież to absurd. Stoję tutaj, obok pani– powiedział Ben i wyciągnął impulsywnie rękę, aby jej dotknąć, ale zatrzymał się; ręka opadła z powrotem.

– Nie zobaczy cię– stwierdził Ling cichym, łagodnym głosem, który nie dotarł do uszu Bena.– To niemożliwe.

Na stole obok fotela stała puszka Dr. Peppera. Bena kusilo, by ją chwycić, potrząsnąć nią przed twarzą Danielle, aż pójdzie piana, i krzyknąć: „Spójrz na mnie! Jestem tutaj!” Gdyby jednak ujrzała szybującą w powietrzu puszkę, jego gest tylko by ją przeraził, nic więcej; nie znał Danielle Voyles i wcale nie pragnął jej straszyć.

Bezradny przemierzył salon i wyjrzał przez okno na ulicę.

Pewnego razu, gdy był w jej głowie, uczyniła to samo, toteż wiedział jaki rozpościera się stamtąd widok. Coraz to odwracał się i zerkał w stronę kobiety. Co robić? Dlaczego jest dla niej niewidzialny? No i jak wyjaśnić to, że czasem ogląda świat jej oczami?

Upłynęło dziesięć minut. Wreszcie podniosła się i wyszła do toalety. Ben tylko na to czekał: natychmiast wyslizgnął się z mieszkania. Kiedy zamykał za sobą drzwi z ledwie słyszalnym pstryknięciem, uniósł głowę i zobaczył staruszkę wchodzącą do swego mieszkania na drugim końcu korytarza. Łypnęła na niego groźnym wzrokiem mówiącym: Już ja wiem, co pan knuje – myszkuje pan po kątach. Dopiero po tym, jak staruszka zniknęła w swoim mieszkaniu, trzaskając ostentacyjnie drzwiami, Ben uświadomił sobie, że przecież musiała go widzieć.

I oto znów jest w saloniku Danielle. Tym razem jednak towarzyszą mu jego była sympatia i ich pies, którzy widzą i słyszą go doskonale. German zagaiła rozmowę z Danielle. Ben, obszedłszy całe mieszkanie, dosiadł się do niej na kanapie. German ulokowała się w żółtym fotelu, nie wiedząc rzecz jasna, iż jest to ulubione miejsce Danielle.

– Czy zna pani człowieka o nazwisku Benjamin Gould? – German świdrowała Danielle spojrzeniem, szukając w jej oczach jakiegokolwiek

reakcji na nazwisko Bena albo na to, że on sam siedzi tuż obok niej na kanapie. Niczego się nie doszukała.

– Gould? Nie.

– Nie słyszała pani tego nazwiska?

Danielle zamyśliła się i wpatrzyła w podłogę, by po chwili pokręcić przecząco głową.

– Nie pytaj jej o to, German. Mówiłem ci: spytaj o wypadek.

Raz jeszcze Danielle pozostała głucha na słowa Bena. W sypialni zabręczał telefon.

– Czy mogłaby pani zaczekać minutkę?

German uśmiechnęła się.

– Naturalnie.

– Co ty wyprawiasz?– zapytał Ben, kiedy byli sami.– Przecież ci mówiłem, że ona mnie nie zna. Widzisz chyba, że traktuje mnie jak powietrze. Skąd, u diabła, ma wiedzieć, kim jestem, jeżeli mnie nie zna?!

– O co w tym chodzi, Ben? Co się dzieje?

– Nie wiem! Bóg mi świadkiem, że nie mam pojęcia. Dlatego tak mi zależało na tym, żebyś przyszła tutaj i się przekonała. Przez to rozpadł się nasz związek.

Danielle wróciła po kilku minutach i zobaczyła, że wysoka kobieta mówi coś głośno,, do samej siebie. Miała zwróconą w prawo głowę i gestykulowała jedną ręką, rzucając słowa w pustkę pokoju. Danielle postarała się przybrać obojętną minę.

– Przepraszam, ale dzwoniła moja matka. Przyjedzie do mnie za kilka minut i będę musiała z nią wyjść. Może przyszłaby pani innym razem?

German wstała zdecydowanie i pociągnęła Pilota w kierunku drzwi.

– Nie ma sprawy. Zadzwoń i umówimy się kiedy indziej.

– Dobrze.– Danielle otworzyła drzwi.

Ben wyszedł szybko na korytarz. German przestąpiła przez próg i zwróciła się ku Danielle.

– Zanim pójdę, czy mogę zadać pani ostatnie pytanie? Skwapliwie nadstawiając ucha, Ben nie zauważył czającej

się w głębi korytarza staruszki, tej samej, która wypatrzyła go poprzednim razem.

– To on, Danielle. To ten człowiek, o którym ci mówiłam.

Cała trójka obróciła się w stronę znajdującej się dwadzieścia stóp dalej staruszki, która ponownie stała koło drzwi swojego mieszkania. Trzymała w ręku miotłę i mierzyła nią w próżnię obok German.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, że jakiś człowiek kręcił się przy twoich drzwiach? To on, ten sam.– Kobieta wykrzywiła się w oskarżycielskim grymasie i wskazała znowu na niewidzialnego Bena.

Danielle zaczynała żałować, że w ogóle otworzyła dziś rano drzwi.

– O kim pani mówi, pani Schellberger?

– O nim. Ten człowiek grzebał wtedy przy twoich drzwiach. Bena widzieli wszyscy oprócz Danielle. Z wyjątkiem psa nikt nie widział ducha Linga, który również był na miejscu. Niestety Pilot nie rozumiał ludzkiej mowy. Tylko Ling wszystkich widział i wszystko rozumiał. W żaden sposób jednak nie mógł rozwiązać tego problemu.

A może mógł? Pstryknął palcami, by zwrócić na siebie uwagę Pilota, i rozkazał mu:

– Biegnij.

Pies przekrzywił głowę, nie rozumiejąc komendy.

– Biegnij. Odwróć ich uwagę. On potrzebuje twojej pomocy.

Pilot pojawił, o co chodzi, i bez dalszej zachęty wyszarpnął się z luźnej ręki German. Pognał korytarzem w stronę klatki schodowej, ciągnąc za sobą smycz. Ben skoczył za nim. Na szczęście miał na nogach adidasy, więc odgłos jego kroków utonął w ogólnym galimatiasie. Trzy kobiety patrzyły na biegnącego psa. Danielle była zdziwiona, że German nie ściga swego ulubieńca. Pani Schellberger nie była tym zdziwiona, bo widziała, jak Ben rzucił się za nim w pogoń.

– Nie spróbuje pani złapać swojego pieska?– spytała Danielle.

German spojrzała na staruszkę, która zdawała się tym mocniej poirytowana, im dłużej sterczała na korytarzu, nie doczekując się odpowiedzi na swoją interwencję.

– Mmm, tak. Tak, spróbuję.– Zerknęła to na Danielle, to znów na panią Schellberger, tam i z powrotem.

Danielle posłała wścibskiej sąsiadce fałszywy uśmiech i zlustrowała przeciwległy koniec holu, w którym zniknął pies. Skinęła German na pożegnanie, weszła z powrotem do mieszkania i zamknęła drzwi.

– Prze– pra– szam, że chciałam sąsiadce pomóc– zakwękała staruszka i podreptała do siebie.

Ben nie musiał biec daleko. Pilot siedział na chodniku przed domem. Odwrócony tyłem do wejścia, wygrzewał się z zadartą głową na słońcu.

– Jak się tu znalazłeś?– zapytał Ben, całkiem jakby pies go rozumiał.

Duch przyglądał im się, opierając podbródek o dłonie złożone w wieżyczkę. Odkąd tutaj przybył, tylko czekał na wystąpienie tego rodzaju przypadku. Ben Gould nie żył. Istotnie, powrócił do życia wskutek awarii systemu komputerowego, ale przecież wcześniej umarł. Danielle Voyles

także nie przeżyła operacji głowy. Dlatego Ling przypuszczał, że są również inni, którzy żyją darowanym życiem.

– Ben?– German wymaszerowała energicznym krokiem i przeszła przez Linga na wskroś.

Ben pokazał blok Danielle.

– Widziałas, co tam się stało.

– Widziałam.

Przytaknął z zadowoleniem, że przynajmniej nie próbowała zaprzeczać.

– No, i co o tym myślisz?

– Że jest ci potrzebna pomoc, Ben. Nie wiem jaka, bo to wszystko nie mieści mi się w głowie. Nie wiem co jeszcze mam ci powiedzieć, poza tym, że się ciebie boję.– German urwała na moment.– Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale to coś zniszczyło nasz związek. Jeśli ten stan się pogarsza, nie możesz mnie prosić, abym została. Nie możesz mnie prosić, żebym wróciła do ciebie. Wciąż cię kocham– wiesz o tym. Nie chciałam odejść od ciebie. Ale co się stało, to się nie odstanie... Nie.– Machnęła ręką przed twarzą.– To ponad moje siły Kocham cię, ale muszę odejść. Jeśli mnie kochasz, nie proś, żebym została.– Co rzekłszy, German oddaliła się energicznie, nie oglądając się na człowieka, na psa ni ducha.

4.

Kiedy godzinę później German zatelefonowała do Bena, nikt się nie zgłosił. Tak samo było godzinę, dwie i trzy godziny później.

Wyrzuty sumienia, troska i miłość ścisnęły jej serce. Przez tak długi czas łamała sobie głowę, a potem bolała nad tym, że ich związek się nie układa. I dzisiaj, gdy poznała w końcu przyczynę wszelkiego zła, okręciła się na pięcie i zwała w drugą stronę.

Ktoś zapukał do drzwi – pobiegła otworzyć, mając nadzieję, że to Ben. Okazało się jednak, że to jedna z właścicielek zeszła do sutereny z wiadomością, że zmienił się dzień wywozu śmieci. Jak zwykle starsza pani ociągała się z odejściem, chcąc uciąć sobie pogawędkę. Ale German nie była w nastroju do rozmów i niezwłocznie się jej pozbyła.

Obskurne mieszkanie nie poprawiło jej humoru. W tym czasie chaosu i niepewności wydawało się jeszcze bardziej ciasne, mroczne i nieprzyjemne niż zazwyczaj. Domy bywają oddanym przyjacielem, łonem, przystanią lub kryjówką, w zależności od potrzeb. Inne to zaledwie neutralne przestrzenie, gdzie się śpi, je i trzyma dobytek. Ostatnie, najgorsze miejsce zamieszkania nie zasługuje nawet na miano domu, nie daje bowiem schronienia, odpoczynku ani wygody. Ma się nieodparte wrażenie, że gdyby miejsce to było człowiekiem, nie tylko patrzyłoby na ciebie bykiem, ale też pewnie zadenuncjowałoby cię władzom, jeśli byś znalazł się w kłopotach. Panuje tam mrok złego nastroju, a rozpacz mnoży się jak bakterie.

Drepcząc z kąta w kąt, German przyłapała się na tym, że mówi do siebie. Musi czym prędzej wynieść się z tej zatęchłej pieczary. Pójdzie

przeprosić Bena. Powie mu, że cała ta sprawa ją przerosła. Zawiodłam cię— ale już czuję się lepiej. Porozmawiajmy jeszcze raz.

Okazało się jednak, iż Bena nie ma w domu, podobnie zresztą jak Pilota. Gdy się stąd wyprowadzała, Ben nalegał, aby zatrzymała klucz. Posłużyła się nim teraz, gdy na jej parokrotne pukanie odpowiedziała cisza. Gościła tutaj drugi raz w ciągu jednego dnia, lecz między tymi wizytami wiele się wydarzyło. Zdawało jej się, że odkąd przyszła po Pilota, upłynął co najmniej tydzień.

Obeszła kolejno wszystkie pomieszczenia, szukając Bena, Pilota, sama nie wiedziała czego. W jej myślach powtarzało się ciągle słowo poszlaki— ale jakie? Dlaczego Danielle Voyles nie widziała Bena?

Mieszkanie było wspaniałe. German miała wrażenie, będąc zupełnie sama, że każdy krok w tych wnętrzach przywołuje dobre wspomnienie. Wokół panowała czystość, jasność i porządek. Światło uwielbiało ten dom. Wlewało się do pokoi jak mleko do szklanki. German nie zdołałaby zaciągnąć światła do swojej sutereny, nawet gdyby włożyła mu łańcuch na szyję i uwiesiła się na nim.

Wizytę w sypialni, z oczywistych względów, odłożyła na koniec. Tuż po tym, jak tam weszła i zobaczyła pusty pokój, dobiegł ją trzask zamykanych z impetem drzwi wejściowych. Ben wrócił!

Natychmiast ruszyła mu na spotkanie, po czym zatrzymała się w pół kroku na korytarzu, widząc obcego starszego mężczyznę stojącego przed drzwiami i trzymającego na luźnej smyczy Pilota. Mężczyzna rozglądał się nieprzytomnie dokoła, z szeroko otwartymi ustami. Z daleka było widać, że jest zagubiony i zdezorientowany.

German podeszła do niego ostrożnie. Górowała nad staruszkim wzrostem i sądząc po jego posturze i wieku, była od niego dużo silniejsza, ale tego nigdy nie można być pewnym. Pilot zamajtał ogonem i podszedł do niej, wyciągając smycz z bezwładnej ręki mężczyzny. Dopiero teraz jego błędzące myśli wróciły na miejsce, a spojrzenie po raz pierwszy skupiło się na German.

– Kim pan jest? Jak pan się tu dostał?

Opuścił głowę i popatrzył na dłoń, w której trzymał brązowy klucz. Wysunął go w stronę German, ale ją interesował tylko wyraz jego twarzy. Widziała, że tamten usiłuje rozgryźć, jak to się stało. Konsternacja i zdziwienie nie pozostawiały w tej mierze wątpliwości. Co ja tu robię?– pytała jego twarz.

Wtedy potarł nos. Był to nadzwyczaj osobliwy gest, który German widziała tylko u jednej osoby. Przyłożył otwartą dłoń do czubka nosa, poklepał go kilka razy, a następnie potarł. Poklepał i potarł. Wyglądało to komicznie– gdyby German zobaczyła, jak ktoś inny pociera się w ten sposób po nosie, uśmiechnęłaby się, a może nawet wybuchłaby śmiechem.

Teraz jednak... zamarła.

– B e n – wychrypiała przez ściśnięte gardło.

Starszy pan przestał trzeć nos i spojrzał na nią jaśniejszym wzrokiem. Miał życzliwe, zakłopotane oczy.

– Przepraszam, czy my się znamy?

– To naprawdę ty, Ben?

Obejrzał obie ręce, jak gdyby sprawdzał, czy należą do niego. Potem się uśmiechnął.

– Tak myślę– potwierdził.– Ale czy chodzi nam o tego samego Bena?– Na jego twarzy wykwitł łagodny, dobrotliwy uśmiech staruszka.– Nazywam się Ben Gould. Bardzo mi przykro, ale muszę szczerze przyznać, że nie przypominam sobie pani. Proszę się nie obrażać. Mam chorobę Alzheimera, przynajmniej tak mi się zdaje, i mój mózg jest dziurawy jak żółty ser.

German nie wiedziała, co powiedzieć. Miała ochotę zaprotestować, zamiast tego jednak gapiła się w milczeniu. Staruszek nadal patrzył na nią z uśmiechem, ale było jasne, że nie całkiem kontaktuje.

Ciągnąc za sobą smycz, Pilot wyszedł niezauważony z pokoju i powędrował do kuchni napić się wody i zerknąć do swojej miski. Zjawa siedziała przy stole i paliła papierosa, spoglądając na snujący się obłoczek dymu.

– Co się stało, Pilot?– zapytała.– Kim jest ten starszy gość? Skąd go wytrzasnęliście?

Zamiast odpowiedzieć, pies schylił się i wziął na ząb jakiegoś pasożyta, który siedział mu na skórze.

– Pilot!

– Pali się czy co?– obruszył się pies i dalej iskał się zębami po skórze.– Nie wiem, co się dzieje. Szliśmy ulicą i pomału zwalnialiśmy kroku. Nie zwróciłem na to uwagi, aż w końcu stanęliśmy zupełnie. Obróciłem się i on już tam stał.

– Stopniowo przemienił się w starca?

– No. Chyba. Mówiłem ci, Ling, nie widziałem tego. Nagle pojawił się ten staruszek, który trzymał moją smycz i rozglądał się wokół, jak gdyby się

zgubił. Więc odprowadziłem go z powrotem. Nie opierał się. Ot, i cała historia.

Ling zdusił peta na języku, po czym położył go starannie na stole i oznajmił:

– To niedobra wiadomość. Bardzo niedobra.

Z korytarza dobiegły ich czyjeś zbliżające się kroki. German Landis weszła do kuchni. Otworzyła wiszącą szafkę i wyjęła imbryk do herbaty i dwie filiżanki. Zalała czajniczek wodą i postawiła go na kuchence. Otworzyła inną szafkę– dobrze wiedziała, gdzie czego szukać– i popatrzyła na liczne gatunki herbaty ułożone na półce. Ben i jego herbata: Ben i jego słabość do dobrej kuchni. Czy Ben i ten staruszek w sąsiednim pokoju to rzeczywiście jedna i ta sama osoba?

Pies i zjawa obserwowali, jak krząta się po kuchni i ustawia przybory na tacy. Nim wyszła z pokoju gościnnego, posadziła starego Bena w fotelu i powiedziała, że zaparzy herbaty. Potem sobie porozmawiają. Starszy pan opadł wyczerpany na oparcie i skinął z wdzięcznością głową, przyjmując jej propozycję. Wydawał się tak wyczerpany, że niemal bała się zostawić go samego.

Parę minut później wszyscy troje wyprostowali się w kuchni jak na komendę, niczym zwierzę, które słyszy przeraźliwy gwizd. Ale to nie gwizd przykuł ich uwagę– tylko śpiew. Ktoś śpiewał w pokoju gościnnym, a zatem musiał to być Ben.

Cała trójka zamarła na dźwięk pięknego głosu, wsłuchując się w słowa:

„Świeże ryby dziś mam, świeże ryby dziś mam!” Wesoło krzyczała:
„Świeże ryby dziś mam!”

Przez uliczki Dublina szła raz piękna dziewczyna, Pchając wózek z rybami, słodka Molly Malone. Pierwszy raz ją ujrzałem, w dali tam, nad kanałem, Gdy wesoło krzyczała: „Świeże ryby dziś mam!”

Pies i duch uznali zgodnie, że śpiew jest dziwny, choć ładny. German skrzywiła się. Była to irlandzka ballada *Molly Malone*, którą Ben nucił w chwilach szczęścia. Często nie zdawał sobie sprawy, że ją nuci, na przykład kiedy pichcił jakąś szczególnie wymagającą potrawę. Gdziekolwiek akurat byli, słysząc *Molly Malone*, German wiedziała, że Ben jest w świetnym humorze.

Zostawiła tacę z herbatą na stole i wybiegła z kuchni. Staruszek śpiewał, stojąc przed regałami Bena. W rękach miał otwartą książkę. Podniósł wzrok na German i zawołał radośnie:

– Znam tę książkę! Czytałem ją!– Mówił z takim zachwytem, jakby sam odnalazł drogę do domu. Pokazał jej książkę. German dostrzegła na grzbiecie nazwisko autora: John Thorne. Jeden z faworytów Bena. Cytował jej fragmenty dzieł Thorne'a, a bywało i tak, że próbował ugotować coś według jego przepisów, jeśli nie było to zbyt egzotyczne. German lubiła proste jedzenie.

Twarz staruszka zgasła równie szybko, jak przed chwilą się rozjaśniła. Trzymająca książkę ręka zadrżała i opadła wzdłuż boku.

– To straszne. Czy potrafi pani zrozumieć, jakie to straszne, nie pamiętać swojego życia? Za młodu człowiek myśli, czym zapełnić życie. Kiedy się zestarzeje, liczy się to, co pamięta. Z życia zostały mi tylko wspomnienia, a one też wyciekają mi z głowy. Nie mogę ich zatrzymać... Jeszcze gorzej jest, kiedy sobie coś przypomnę. Zobaczyłem tę książkę na półce. Patrzę– John Thorne. Znam to nazwisko. Znam jego książki. Kiedyś

ugotowałem kukurydziankę według jego przepisu. Zapala mi się światełko i nagle przypominam sobie wszystko, co i jak. Co z tego? Dziesięć sekund później, albo dziesięć minut, światełko gaśnie, a ja gapię się na coś, co trzymam w ręce, na książkę albo wspomnienie, i zastanawiam się: Co to takiego? Skąd się to– to wzięło?– Starszy pan zmarszczył brwi.– W moim wieku nie zostaje nic oprócz wspomnień. Nie chcę się użalać nad sobą, ale taka jest prawda. Jak je stracisz, stajesz się nikim.– Westchnął ponownie.– Kim pani jest? Powie mi pani, jak się nazywa?

– German. German Landis.

Skinął głową, lecz nic nie wskazywało na to, że ją poznaje.

– Czy mogę ci opowiedzieć historyjkę, German? Czy mogę ci opowiedzieć o innym szczęśliwym zdarzeniu, które dziś mi się przypomniało?

German potaknęła sztywno głową na znak, że się zgadza. Prawie bała się tego, co może od niego usłyszeć.

– Kiedy byłem mały, wybraliśmy się raz całą rodziną na sztukę do Nowego Jorku. Po wyjściu z teatru poszliśmy na spacer po Times Square i Czterdziestej Drugiej Ulicy. W pewnym momencie oddzieliłem się od reszty. Miałem najwyżej cztery, pięć lat i znalazłem się sam w okolicy Manhattanu cieszącej się złą sławą. Byłem taki mały, że wiedziałem tylko, że aby przeżyć, mogę zaufać ludziom w mundurach. Tak więc, mimo strachu i płaczu, ruszyłem na poszukiwanie człowieka w mundurze, jakimkolwiek mundurze, żeby mi pomógł. W tamtych czasach na wysepce pośrodku Times Square leżało wojskowe centrum rekrutacji. Czterech mężczyzn z czterech rodzajów sił zbrojnych, każdy w mundurze innego koloru, siedziało wyprostowanych przy czterech biurkach i czekało na

pojawienie się ochotników. Ich mały budynek był prawie cały ze szkła. Zajrzałem do środka, zobaczyłem mundury i wiedziałem, że muszę się tam dostać. Oni mi pomogą. Przeszedłem przez ulicę razem z pieszymi i otworzyłem drzwi. Do dzisiaj pamiętam dokładnie, jak jeden z wojskowych popatrzył na mnie i powiedział: „Będziesz musiał wrócić za kilka lat, przyjacielu”. Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Powiedziałem im, co się stało. Jak przystało na superbohaterów, za jakich ich uważałem, odszukali i sprowadzili moich przerażonych rodziców niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Miałem wrażenie, że nie minęło więcej niż parę minut, kiedy matka wpadła przez drzwi i porwała mnie w ramiona.

German знаła tę anegdotę. Ben opowiedział ją któregoś dnia, kiedy wymieniali się historiami o swoim życiu. Tyle że ta przygoda zdarzyła się nie jemu, lecz jego ojcu przed pięćdziesięciu laty.

Ling wszedł do pokoju.

Ujrawszy ducha, stary Ben pomachał do niego.

– Cześć, jak się masz?

– Ty mnie widzisz? – zdziwił się Ling.

– Oczywiście, że widzę. Pamięć mam coraz słabszą, ale oczy ciągle dobrze mi służą.

German odwróciła się, by zobaczyć, z kim staruszek rozmawia. Nie widząc tam nikogo, ruszyła w stronę kuchni.

– Przyniosę herbatę. – Znowu przeszła przez Linga. Mieli niewiele czasu na rozmowę. German wróci lada chwila. Duch nie mógł uwierzyć, iż staruszek go widzi.

– Ile palców ci pokazuję?

Ben policzył.

– Dwanaście– odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Czy wiesz, jak mam na imię?

– No pewnie, Ling. Oczywiście, że wiem, jak masz na imię.– Skąd?

Staruszek przesunął się na obszernym skórzanym fotelu, szukając wygodniejszej pozycji. Miał hemoroidy, które dawały mu się we znaki, gdy próbował się umościć.

– Poznaliśmy się na radzie. Nie pamiętasz? Zostaliśmy sobie przedstawieni.

Rada była forum, na którym niedawno zmarli spotykali towarzyszące im duchy. Najpierw osoba informowała ducha o faktach ze swojego życia. Potem duch wyjaśniał, jakie są następne etapy. Po wymianie stosownych informacji umarły przenosił się na Tamten Świat, natomiast duch wędrował na ziemię, by uporządkować niezłatwione przez człowieka sprawy.

– Ile masz lat?– spytał Ling.

– Osiemdziesiąt trzy– odparł z dumą Ben.

Blisko pół wieku więcej, niż miał żyć Benjamin Gould.

– Jakim cudem pamiętasz radę, skoro nie umarłeś?

Ben poprawił się na fotelu. Pytanie ducha zupełnie go nie speszyło.

– Pamiętam wiele, kiedy moje myśli są jasne.– Przymknął oczy, a raczej nie zdołał utrzymać opadających powiek. Znalazł idealną pozycję do siedzenia, poranne wydarzenia znużyły staruszka, a nawet kiedy miał dobry dzień, energii starczało mu co najwyżej na wypełnienie nią naparstka.– Daj mi chwilkę odpocząć. Jak będziesz chciał, porozmawiamy potem.

Jednakże ledwie zamknął oczy, zamienił się z powrotem w trzydziestoczteroletniego Bena Goulda. Metamorfoza trwała kilka sekund. Proces przypominał puszczonego w powietrze film, w którym widać odżywający na

nowo kwiat. Stary, opadły kielich podnosi się rażno, jakby się odkręcał, wysuszone brunatne płatki odzyskują świeżość bieli. Parę sekund później kwiat pręży się ponownie; kolory są znów żywe, wyraziste, jaskrawe.

Młody Ben otworzył oczy, powiódł oszołomionym wzrokiem po swoim salonie i potarł twarz rękoma. Do diaska, musiał być półżywy, jeśli usnął w fotelu. Nie pamiętał nic z tego, co się stało. Nie uświadamiał sobie, że cokolwiek się zmieniło. Ostatni widok, jaki miał przed oczami, to oddalająca się od niego German, kiedy stali przed blokiem Danielle Voyles. Po czym nagle się zorientował, że jest w swoim mieszkaniu, a reszta to zagadka i bezład. Co robić? Nic dziwnego, że jego psychika zażądała drzemki– krótkiej, ale głębokiej jak śpiączka. Przeszła na tryb „wygaszenia ekranu”, aby posortować wielką ilość danych, które ostatnio napłynęły, no i ułożyć ją w jakąś sensowną całość.

– Słyszysz mnie?– zapytał Ling z drugiego krańca pokoju.

Ben nie słyszał ani nie widział ducha. Pies wszedł do pokoju i zaraz zatrzymał się na widok młodego Bena; popatrzył pytająco na ducha. W odpowiedzi Ling wzruszył ramionami. Co miał powiedzieć?

Jak zwykle zjawa i pies porozumiewali się bez słów.

– Co się stało?– Pilot przyjrzał się Lingowi swymi czujnymi, piwnymi oczami.

– Przecież widzisz. Szast– prast i wrócił do dawnej postaci.

– Owszem, Ling. Widzę. Ale jak?

– Nie wiem. Widziałem, jak się przemienia, kiedy tutaj stałem– oznajmił Ling tonem niezadowolenia.– To dla mnie absolutna nowość, przyjacielu.

– Ale ten staruszek to był on, prawda?

– Tak mi się wydaje.

– No, ale miał chyba umrzeć w trzydziestym czwartym roku życia?

Ling potrząsnął głową.

– Widocznie nie umarł w trzydziestym czwartym roku życia. Spójrz–
siedzi tam, cały i zdrowy. Choć kilka miesięcy temu była mu pisana śmierć.

– Uważasz, że to śmieszne? Hm? To ty obmyśliłeś ten wspaniały żart,
Ben?– German stała w drzwiach salonu, trzymając tacę z herbatą, i
piorunowała wzrokiem byłego chłopaka, który okazał się złośliwym
dowcipnisiem.

– German, cześć! Ty tutaj? Co za niespodzianka.– Tak się ucieszył,
zobaczywszy ją, że sens jej słów nie dotarł do niego.

– Ale z ciebie palant, Ben! Jakby tego było mało, jesteś skończonym
palantem.– Postawiła tacę na podłodze i odwróciła się, żeby wziąć kurtkę z
korytarza. Chciała jak najprędzej stąd uciec.

Ben skoczył na równe nogi i pobiegł za nią.

– Czekaj. Gdzie idziesz? Zaczekaj!– Dogonił ją na korytarzu i złapał
od tyłu za rękę. Uwolniła się z jego uchwytu i obróciła się twarzą ku niemu,
chcąc, by jej złość, rozgoryczenie i poczucie krzywdy raziły go z siłą
wybuchu bomby atomowej.

– To miał być żart? Bawią cię takie psikusy?! Rano, w mieszkaniu tej
kobiety, i te bajeczki, którymi mnie nafaszerowałeś, że niby ona cię nie
widzi? To wszystko było na żarty, tak? Dobrze się bawiłeś moim kosztem?
Bo ja bałam się o ciebie. Mimo to, jak mnie potraktowałeś, strasznie się o
ciebie martwiłam. Dlatego przyszedłam tutaj: ze strachu o ciebie. No i jeszcze
ten staruszek, który zna twoje tajemnice. Stary Ben Gould. Sprytnie
pomyślane. Fajne. Gdzie go ukryłeś? Wyprowadziłeś go za drzwi, kiedy

robiłam w kuchni herbatę? Udało ci się mnie oszukać, Ben. Brawo. Uwierzyłam, że jesteś niewidzialny dla Danielle. Zachowywała się tak, jakby cię w ogóle w jej mieszkaniu nie było. Genialna scena. No i ten wielki finał ze staruszką, starym Benem Gouldem. Cudownie odegrane. Dostajesz Oscara za efekty specjalne.– German podeszła i dźgnęła go w pierś dwoma wyprostowanymi palcami.– Ale wiesz, co ci powiem? Że nie ma nic gorszego, niż pastwić się nad czyjąś miłością. Czemu tak postąpiłeś? Czy byłam taka podła? Czy naprawdę aż tak mnie nienawidzisz?

Nim zdążył odpowiedzieć, porwała kurtkę z haczyka i wybiegła za drzwi. Spieszyła się tak bardzo, że nie kłopotowała się, by je zamknąć.

Około północy Pilot, znanym sobie sposobem, otworzył drzwi mieszkania obiema łapami. Najpierw przyniósł w pysku mały dębowy stółek z pokoju gościnnego i postawił go przed drzwiami. Ben zmajstrował ten stółek w liceum na pracach ręcznych; nadal siadywał na nim, przeglądając książki.

Szczerliwym trafem, kiedy German tutaj mieszkała, wymieniła gałkę w drzwiach na stalową klamkę, którą kupiła na pchlim targu w Sztokholmie. Wymyśliła sobie, że będzie to jej amulet na szczęście przed wspólnym życiem z nowym chłopakiem. Amulet nie przyniósł jej szczęścia, więc zostawiła go w tym mieszkaniu. Aby otworzyć drzwi, starczyło nacisnąć klamkę. Ben rzadko zamykał drzwi na klucz.

Trudność polegała nie tyle na otwarciu drzwi, ile na ocenie, w którym momencie należy od nich odskoczyć, gdy tylko zaczynają się uchylać. Początkowo Pilot miał z tym nie lada kłopot. Musiał podjąć wiele nieudanych prób, zanim się tego nauczył.

Na szczęście Ling nie widział jego wysiłków, ponieważ spał o tej samej porze co Ben. A w każdym razie— jeśli nie spał— zniknął gdzieś i nie pojawiał się aż do chwili, gdy Ben budził się ze snu lub z drzemki. Pilot zapytał go o to. „Nie wiem, co się ze mną dzieje” — wyznał duch. „Pewnie śpię— tak samo jak on”.

Do tej pory pies opanował sztukę ucieczki do perfekcji. Po wyjściu na korytarz przymknął drzwi tak, aby od framugi dzieliła je wąska szczelina, zablokował je gałgankiem od dywanu, który w tym celu przechowywał w mieszkaniu. Potem zbiegł schodami do piwnicy i wymknął się oknem, które niemal zawsze było otwarte.

Na ulicy rozejrzał się w obie strony, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma człowieka. Upewniwszy się, że nic mu nie grozi, przywołał telepatycznie przewodnika: dar, którego używają wszystkie zagubione psy.

Zdarzało się często— ostatnio zbyt często— że firma wysyłała jako przewodnika chihuahua albo innego mikrusa. Ile psów na świecie rozumie mowę chihuahua? Jak wiadomo, prawo nakazuje iść z psem własnej lub pokrewnej rasy. Gdy Pilot pierwszy raz wezwał przewodnika, przybiegł stary beagle, zziębnięty jakby dopiero co wrócił z Księżyca i miał paść trupem z wyczerpania. Dłuższą chwilę oba psy mierzyły się wzrokiem, po czym beagle odszedł bez słowa. Widocznie dyspozytor, który przyjmował w tym mieście zgłoszenia— kimkolwiek był— nie zwracał szczególnej uwagi na rasę psa proszącego o przewodnika.

Zza rogu ulicy wychynał rottweiler i podbiegł truchtem w stronę Pilota. Psy nawiązały kontakt wzrokowy. Pilot potwierdził, że wzywał przewodnika. Na szczęście tamten się nadawał: w genetycznym koglu— moglu Pilota płynęła także kropla krwi rottweilera.

Wielki pies o czarno– złotej sierści przystanął o trzy kroki od niego.

– Czy jest pan gotów?– zapytał uprzejmie.

– Tak.

Rottweiler podszedł do Pilota i ruszyli przed siebie.

– Ładna noc, prawda?

Starając się dorównać mu kroku Pilot rozejrzał się na boki i skinął głową.

– Tak. Wiatr zelżał. Przedtem trochę wiało.

Zaczęli pogawędkę. Rottweiler truchtał pewnie przez miasto. Pilot wezwał przewodnika, bo nie znał dzielnicy, którą tej nocy zamierzał odwiedzić.

Psy– podobnie jak ludzie– żyją według ustalonych nawyków. Obsikują ciągle te same drzewa, obwąchują te same miejsca. Nie są tak skłonne do szaleństw, jak przyjęło się sądzić. Na ogół nie lubią niespodzianek ani zmian, zarówno te psem, rychło by się okazało, że można przewidzieć wszystkie jego ruchy. Porusza się utartymi szlakami, zagląda do tych samych miejsc w poszukiwaniu jedzenia, a dopiero gdy go tam nie znajdzie, wypuszcza się na nowe terytoria. Kiedy Pilot żył na ulicy, pokonywał co dzień dystans w promieniu pięciu mil. Rzecz jasna, odkąd zamieszkał u ludzi i był prowadzony na smyczy, promień ten znacznie się skurczył. Jemu jednak to nie przeszkadzało. Dopóki miał pełną miskę i mógł sobie wybrać wygodne miejsce do spania, nie tęsknił za wolnym życiem.

– Zaraz będziemy musieli ciut zwolnić, tak na wszelki wypadek.

Pilot spojrzał na rottweilera.

– Na wypadek czego?

– Za chwilę pan zobaczy. Może nic nie będzie, ale na tym skrzyżowaniu lepiej uważać. Chciałem pana tylko ostrzec.

Pilotowi nie spodobały się te uwagi, ale milczał. Jak się wkrótce okazało, kłopoty nadeszły z dwóch stron naraz.

Rak jest różowy; płynie wartko tuż nad ziemią – lekka, śliczna mgiełka perlistego różu. Chociaż psy są w stanie go dostrzec, nie mogą uniknąć z nim kontaktu, jeżeli wybiła ich godzina. Jak większość zwierząt widzą i wyczuwają choroby. Uczą się odróżniać choroby śmiertelne od chwilowych dolegliwości. W przeciwieństwie do ludzi wiedzą także, iż szczęście bywa równie zabójcze jak czerniak złośliwy. Wiedzą, że szczęście przyjmuje różne odcienie błękitu, jedne są śmiertelne, inne nie. Po odchorowaniu szczęścia potrzebny jest czas na rekonwalescencję – niekiedy całe życie.

– Idzie rak – mruknął przewodnik, jakby do siebie.

– Widzę.

– Miejmy nadzieję, że nie zjawił się po któregoś z nas.

– Właśnie. – Psy patrzyły nerwowo na różową mgiełkę płynącą w ich stronę. – Moja matka umarła na raka – dodał cicho Pilot. – Tak przynajmniej słyszałem. Dawno jej nie widziałem.

Kiedy rak znalazł się o parę stóp od rottweilera, ten mimowolnie cofnął się o dwa kroki.

– Ludzie to mają fajnie, no nie? Nie muszą oglądać tych choróbsk. Masz zachorować na raka i po prostu go łapiesz. Nie patrzysz, jak snuje się ulicą, a potem wchodzi ci na nogę. Niech to szlag! Nienawidzę takich stresów.

– Psst, ciszej – szepnął łagodnie Pilot.

Mgiełka minęła ich niespiesznie i popłynęła w dal. Psy rozluźniły się z wyraźną ulgą.

– Jak byłem młody, miałem gdzieś takie rzeczy. Patrzyłem na zbliżającego się raka jak na zeszłoroczny śnieg. No, ale byłem młody– co mi tam jakiś rak.

Pies przewodnik rozgadał się, a tymczasem Pilot lustrował najbliższe otoczenie, szukając innych oznak niebezpieczeństwa. Nie musiał szukać długo.

– Spójrz! Uciekajmy stąd!

Rottweiler rzucił się do ucieczki, zapominając o psie, którego kazano mu przeprowadzić przez miasto.

Kiedy chwila dobiega końca, natychmiast traci kształt i barwę. Jak ryba wyłowiona z wody i rzucona na ląd, żeby umrzeć, odbarwia się i miota, dopóki jej energia życiowa nie spadnie poniżej pewnej granicy– wtedy umiera. Są jednak takie chwile, które nie chcą umrzeć. Słabną, słaniają się i zataczają przez tu– i– teraz, siejąc wokół spustoszenie. Wpadają na ludzkie życie i zdarzenia, zostawiając ślad, zapach, łuski na wszystkim, z czym się zetkną.

Istoty ludzkie– inaczej niż zwierzęta– nie widzą i nie wyczuwają tych zbuntowanych strzępków umierającego czasu. Zwierzęta starają się ich unikać, bo wiedzą, że każda chwila poza obecną to w najlepszym razie zabawna błahostka, a w najgorszym– groźna pułapka. Dlatego zachowują się czasem tak dziwnie: zrywają się nagle z głębokiego snu i wybiegają z pokoju bez żadnego widomego powodu. Albo zakradają się do czegoś, czego nikt oprócz nich nie dostrzega. W istocie nie tyle się zakradają, ile próbują się wykraść. Doskonale wiedzą, co robią.

Pilot wiedział, że nie ucieknie daleko na swoich starych, powolnych nogach, toteż stał bez ruchu i czekał.

Zbliżający się strzępek minionego czasu stracił wszelki kształt i barwę, a zatem musiał umierać od dawna. Kłębił się w nim bezlik obrazów, tak konkretnych, jak i niejasnych. Pilot uzmysłowił sobie, że patrzy na część historii, ale którą? Przeszłość jest ogromna i złożona. Spotkanie z tym zetlałym szczątkiem przypominało oglądanie puzzle'a i próbę wyobrażenia sobie na tej podstawie całej układanki.

– Nazywałeś się Dominique Bertaux– zakomunikowała Przeszłość i pomknęła dalej.

Pies wybałuszył oczy z niedowierzania. Musiał porządnie przebierać łapami, aby dogonić dryfującą po ulicy Przeszłość.

– Co? Co mówiłaś?

– Że nazywałeś się Dominique Bertaux. Żyłeś w miejscowości Mantua we Włoszech. Pewnego razu spadłeś ze skutera swojego chłopaka i zabiłeś się, łamiąc sobie kręgosłup. To było siedem lat temu.– Przeszłość miała serdeczny, ale całkiem zwyczajny głos. Władziała czystym psim językiem, bez cienia naleciałości.– Chciałbyś zobaczyć?

Nim Pilot zdążył odpowiedzieć, zamknięte w minionej chwili obrazy stężały, ukazując uśmiechniętą młodą kobietę jadącą na oliwkowozielonej vespie. Długie, brązowe włosy były upięte w koński ogon, turkusowa sukienka bez rękawów ładnie kontrastowała z jej opalenizną. Do ramion miała przytroczony plecak. Mocno obejmowała w talii kierowcę skutera.

– To ty w twoim poprzednim życiu.

– Byłem człowiekiem? A to pech! Istny koszmar. Czy na pewno byłem człowiekiem? Wiadomość spadła na Pilota jak grom z jasnego nieba.

– Tak. Jak już mówiłam, nazywałeś się Dominique Bertaux.

– W takim razie czemu nie rozumiem ludzkiej mowy?– zapytał drżącym głosem.– Przecież nie rozumiem, o czym ludzie mówią.

– Bo teraz jesteś psem. Psy nie rozumieją ludzi. Ale to już niebawem się zmieni. Z końcem tej nocy będziesz rozumiał ich mowę. A nawet, jeśli zechcesz, będziesz mógł z nimi porozmawiać.

– Po co tu przyszłaś?

– Wysłano mnie, abym cię odszukała– powiedziała Przeszłość.– Oni wiedzą o twoich nocnych eskapadach, a także o powodach, dla których uczestniczysz w tych spotkaniach. Delikatnie rzecz ujmując, nie podoba im się to. Zwierzęta nie powinny szpiegować ludzi. Nie taki jest cel ich życia. Poza tym ci ludzie dobrze cię potraktowali. Czyż nie dali ci porządnego domu?

Przyłapany na gorącym uczynku i zawstydzony swoim dwulicowym zachowaniem pies wlepił spojrzenie w przednie łapy.

– Czy mam kłopoty?

– Niestety, Pilocie. Masz kłopoty.

Coś wyrwało Bena Goulda ze snu– nabrał gwałtownie powietrza do płuc; zdarzało mu się to nadzwyczaj rzadko. Serce tłukło się w jego piersi, a w ustach czuł taką suchość, jakby ktoś przykleił mu język do podniebienia.

Gapił się niewidzącymi oczami w ciemność i bez przerwy zwilżał wargi językiem, jakby zlizywał z nich resztki masła orzechowego. Próbował uspokoić galopujące serce, ale przychodziło mu to z trudem. Co takiego mu się przyśniło, że jest aż tak poruszony? Ben miał dosyć przyziemne sny. Rzadko śniły mu się koszmary. Nie wiedział, czy to znaczyło, iż jest nudny czy poukładany.

– Tutaj. To ja cię obudziłem.

Nieznajomy męski głos odbił się od jakiegoś zakamarka jego świadomości. Ben był jednak wciąż zbyt zaspany, aby nie uznać tego za kompletny bezsens, skoro w mieszkaniu, kiedy szedł spać, znajdowali się tylko on i pies.

– Słyszysz mnie? Zbudź się.

Tym razem głos wsączył mu się do głowy. Jego wpółwysunięty język zatrzymał się, jak gdyby chciał znowu oblizać usta.

– Musimy pogadać.

Pomału, pomalutku Ben przekręcił głowę na lewo. Koło łóżka stał Pilot.

– I to szybko– dodał pies dźwięcznym tenorem.– Mam ci dużo do powiedzenia.

Pilot żył w tym mieszkaniu nieco ponad miesiąc, gdy zmuszono go do szpiegowania Bena Goulda, German Landis i Linga. Pewnego razu wyszli z German na spacer i poznali wyżła weimarskiego i jego właścicielkę. Pilot widział oboje po raz pierwszy. Zrazu wielki srebrnopłowy pies sprawiał wrażenie niesfornego, wesołego świrusa. Drażnił Pilota, który nie lubił zabaw. Po kilku próbach skłonienia starszego psa do pościgu wyżeł podszedł prosto do niego i zapytał aroganckim, zadufanym głosem: „Naprawdę jesteś taki tępy czy tylko udajesz? Dobrze, powiem jasno i wyraźnie: proszę za mną do tamtego narożnika, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności”. Pilot poczuł się urażony i tym bardziej zniechęcił młodszego psa. Mimo to poszedł do narożnika zamkniętego wybiegu, aby posłuchać, co ten dupek chce mu powiedzieć.

Rozmowa trwała dwie– trzy minuty. Postronnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że psy obchodzą się na przemian w kółko i swoim zwyczajem obwąchują sobie tyłki. W rzeczywistości jednak psy wymieniają się komunikatami trzydzieści siedem razy szybciej niż istoty ludzkie. Kiedy tak obniuchują się wzajemnie, jesteśmy gotowi sądzić, że mówią sobie co najwyżej „Cześć, jak się masz?” Ale tak naprawdę ich rozmowa zawiera tyle informacji, ile niedzielne wydanie „New York Timesa”.

Wyżeł złożył Pilotowi propozycję nie do odrzucenia. Stary kundel bardzo lubił zarówno Bena, jak i German; był im wdzięczny za to, że przygarnęli go pod swój dach i traktowali jak psiego króla. Mógł sobie wybrać dowolny mebel, na którym miał ochotę spać. W misce regularnie pojawiały się smakołyki. Obydwoje byli wobec niego czuli i ciepłi, nigdy nie wyrządzili mu krzywdy.

Dlaczego więc Pilot zdecydował się ich zdradzić? Dlatego że wyżeł oznajmił bez ogródek: „Jeśli się nie zgodzisz, w następnym życiu odrodzisz się jako człowiek”.

Zastraszony Pilot natychmiast przystał na współpracę, gorszy los bowiem nie mógłby go spotkać. Tego dnia, po powrocie do mieszkania Bena, został szpiegiem w domu miłości.

Ben Gould, ubrany w same spodenki i koszulkę, wyszedł z sypialni i ruszył za mówiącym psem Pilotem do kuchni. Była trzecia nad ranem.

– Otwórz lodówkę– poleciał pies, gdy dotarli na miejsce.– Zrobiłbym to sam, ale tobie pójdzie łatwiej.

Ben pociągnął za uchwyt na drzwiczkach. Nikłe światło palącej się wewnątrz lampki było na tyle jasne w mroku nocy, że obaj natychmiast zmrużyli oczy. Pilot zerknął do lodówki.

– Zdejmij wszystko z dolnej półki. Musi być całkiem czysta.

Ben znów wykonał rozkaz bez najmniejszego sprzeciwu. Kiedy żywność znalazła się albo na innych półkach, albo na ladzie obok, Pilot podszedł do lodówki i wsunął do niej głowę. Ben pomyślał, że pies sięga po coś do jedzenia, ale się pomylił.

– Chodź tutaj. Włóż głowę do środka, tak jak ja.

– Nie dam rady, Pilot... Nie zmieści się. Test za duża. Pilot zamerdał niecierpliwie ogonem.

– To włóż tyle, ile się zmieści. No dalej, ładuj się obok mnie.

Ling, jak zwykle blisko, przyglądał im się i przysłuchiwał z uwagą. Podobnie jak Ben nie miał pojęcia, na co się zanosi. Co ten pies wyprawia? Pilot nie zająknął się do niego słówkiem, odkąd zbudził Bena. Ling nie posiadał się ze zdumienia, słysząc, że Pilot mówi językiem ludzi i że zwraca się do człowieka z krwi i kości. W drodze do kuchni poprosił psa o wyjaśnienia, lecz przyjaciel zignorował go, nie zatrzymując się. Dotychczas zachowywali się wobec siebie uprzejmie, ale to milczenie było po prostu chamskie. Ling poczuł się dotknięty. Tak czy owak duchowi nie pozostawało nic innego, jak czekać i patrzeć, w nadziei, że sytuacja jakoś się wyklaruje. Jednak to pies miał wszystkie atuty w łapie.

Ben ukląkł na oba kolana i przysunął się niezdarnie do lodówki. Czuł się jak ostatni krety, ale cóż miał robić po tym, co Pilot wyjawiał mu w sypialni? Owionął go chłód, z zimna dostał gęsiej skórki. Pomału, świadomy własnej śmieszności, wysunął głowę naprzód, aż w końcu jego twarz zniknęła we wnętrzu lodówki.

Pilota to nie zadowoliło.

– Głębiej. Aż do oporu. Zostało ci dużo wolnego miejsca.

Widziani od tyłu, pies i mężczyzna wyglądali, jakby oddawali pokłon zawartości lodówki. Ling, drobiąc na palcach, spróbował zajrzeć im przez ramię. Jak wytłumaczyć tę niezrozumiałą scenę?

– Od tej pory będziemy rozmawiać tutaj. Nie słyszą nas, kiedy trzymamy głowy w lodówce. Nie bardzo się na tym wyznaję, ale podobno ma to związek z chłorofluorowęglowodorami zawartymi we freonie.

Ben obrócił się wolno i popatrzył na psa z kamienną twarzą. Jego nieodgadniona mina zdawała się pytać: Co ty pleciesz? Pies nie dziwił się konsternacji swego pana.

– Ja też tego nie rozumiem. Powtarzam to, co mi powiedziano. Jak będziemy się chcieli naradzić, musimy to zrobić w lodówce. .

– W byle jakiej lodówce?

– Tak sędzę, Ben. Lodówka to lodówka, co nie?

– Pomyślałem sobie, że moja musi mieć w sobie coś szczególnego, jeżeli...

– Czy możemy zmienić temat i zająć się ważniejszymi kwestiami? – zapytał Pilot szorstkim tonem. Psy nieraz tracą cierpliwość do ludzi.

Oczy Bena zabłyśły gniewem. Przyszła mu nagle ochota, by skrócić psu kark. Jak Pilot śmie pyskować, zwłaszcza po tym numerze, który mu wywinął? Jakim numerze? O, to nic wielkiego – postawił na głowie świat Benjamina Goulda, przenicował jego wartości, rozwalił mu światopogląd, koncepcję przeszłości, terażniejszości i przyszłości, Boga, życia pozagrobowego, odkupienia, wiecznego potępienia i paru innych rzeczy. Drobnostka. Ben wziął głęboki oddech na uspokojenie i wsunął głowę do lodówki.

– Opowiedz mi wszystko po kolei. Nie spiesz się.

Pilot pohamował irytację i spróbował starannie dobierać słowa.

– Dobrze... Jak już wspomniałem, w poprzednim życiu nosiłem nazwisko Dominique Bertaux.

Ben zamknął oczy i nie otwierał ich, dopóki pies nie skończył mówić. Gdyby w lodówce było więcej miejsca, ująłby głowę w dłonie.

Dominique Bertaux była dziewczyną Bena Goulda, kiedy ten żył w Europie. Poznali się w Dublinie, na koncercie Vana Morrisona, później, gdy wyjechał do Włoch uczyć się gotowania, Dominique przeniosła się z nim do Mantui. Miała charyzmę i szalone poczucie humoru, żyła z dnia na dzień, jak drzwi kolebiące się na wietrze. Ben nigdy nie zakochał się w niej, lecz kochał jej towarzystwo. Dominique wiedziała, co do niej czuje. A jednak godziła się na taki układ – do chwili, aż ktoś inny lub coś innego utrafi w jej gust; wtedy Dominique wsiądzie do tego autobusu i odjedzie w siną dal życia.

Pewnego dnia ją zabił. Gdy zamieszkali we Włoszech, Ben kupił nowiutką vespę, na którą długo oszczędzał. Zawsze pędził – bo szybka jazda to fajna zabawa i wolność. Zwłaszcza w starej, historycznej Mantui, gdzie uliczki są wąskie i wietrzne, a większość kierowców jest zdania, że pojazdy mechaniczne mają takie samo prawo do chodnika jak piesi. Skuter był tani w eksploatacji i umożliwiał zwiedzanie Europy wzdłuż i wszerz. Skora do żartów Dominique kupiła mu tanie okulary przeciwsłoneczne, wzorowane na lustrzankach Ray Bana, żeby nosił je podczas jazdy skuterem, dopieszczając swój wizerunek „pana Luzaka”. O ironio, okulary te spowodowały jej śmierć.

Jadąc na proszony obiad u przyjaciela na wsi, przemknęli na pełnej szybkości obok łączki, na której wypasało się stado krów. „Smacznego,

krówki!" – zawołała głośno Dominique. Ben odrzucił głowę wstecz i parsknął śmiechem. W tej samej chwili okulary zsunęły mu się z nosa i zaczęły spadać. Aby je złapać, zdjął jedną rękę z kierownicy. Skuterem zarzuciło na bok. Dominique fiknęła kozła przez plecy, bo zamiast trzymać się Bena, zegnała się z krowami, machając rękoma. Jechali siedemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Siła upadku przetrąciła jej kręgosłup. Dominique zmarła przed przyjazdem karetki.

Aby przekonać Bena, że mówi prawdę, Pilot powiedział parę minut wcześniej w sypialni: „Smacznego, krówki!" Nikt inny na świecie nie wiedział, że są to ostatnie słowa wypowiedziane przed śmiercią przez Dominique Bertaux.

– Jest jeszcze coś, o czym muszę cię poinformować... – dodał ostrożnie Pilot.

– Tak? A co jeszcze możesz mi powiedzieć?

– Za tobą stoi duch. Twój duch. Duch Bena Goulda. – Pilot skinął w stronę Linga w typowy dla ludzi sposób. Ben odwrócił się: niczego tam nie było. Ling spojrzał na psa jak na wariata. – Pokaż się, Ling.

Duch stanowczo pokręcił głową i skrzyżował z emfazą ramiona na piersi. Może i ten pies stał się zdolny do komunikacji z ludźmi, ale na pewno nie ma władzy nad nim.

– Ja nie proszę, Ling, tylko żądam. To rozkaz. Pokaż się! – wypalił Pilot nieznoszącym sprzeciwu tonem. Mówił po angielsku, żeby Ben rozumiał, o co chodzi.

Okej, pomyślał duch, jeśli pies chce się tak bawić, to się zabawimy.

W ciemności za plecami Bena rozległ się czyjś głos.

– Kto dał ci upoważnienie, Pilocie? Mam się pokazać i naruszyć wszystkie paragrafy, bo pies mi tak każe?– Niewidzialny przybysz mówił dobitnie, ale chłodno, bez emocji.

Czy poznamy swój głos, słysząc go z magnetofonowej taśmy? Zbyt wysoki albo za niski, rzadko przypomina znajomy głos, który dobywa się z naszego wnętrza. Właśnie to przydarzyło się Benowi Gouldowi, gdy usłyszał ducha mówiącego jego własnym głosem. Po prostu nie rozpoznał go.

Pilot przyglądał mu się wyczekująco. Po chwili było jasne, że Ben nie zidentyfikował swego głosu. Wówczas pies zwrócił się do ducha.

– Stanley– rzekł.

Ktoś westchnął głęboko.

– Czy Stanley powiedział ci, że mam się pokazać? Widziałeś się ze Stanleyem?

– Ma się rozumieć, Ling. Czy teraz zechcesz się ujawnić?

Ben przymknął powieki i wolno wsunął do ust widelec z jajkiem. Tylko w ten sposób, z zamkniętymi oczami, skupiając się bez reszty na własnym podniebieniu, można było docenić walory smakowe tego jedzenia. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że oto umieścił w swoich wdzięcznych ustach następny kęs kulinarnego arcydzieła. Była to najgenialniejsza jajecznicą, jaką kiedykolwiek jadł. Jej niebiański smak sprawił, że Ben omal nie zadrżał z rozkoszy, choć przecież próbował w swoim życiu niejednej jajecznicy. Może dlatego, że te jajka usmażyła mu zjawa? Była kobietą o imieniu Ling. Przedstawiła się, a potem spytała Bena, czy jest głodny. Ling uznała, że przede wszystkim trzeba, aby się nieco uspokoił.

Żując powoli jajecznicę, Ben sycił się jej bogatym, subtelnym smakiem, który zdawał się tańczyć, skakać i rozplýwać mu w ustach. Jak to możliwe, że tak proste danie smakuje tak wybornie?

Gdy „Ling” postawiła przed nim pierwszy talerz jajecznicy (właśnie wymiatał drugi i zastanawiał się nad kolejną dokładką), bardziej interesował się nią niż jedzeniem. Aromat gorącej jajecznicy zmusił go jednak do opuszczenia wzroku. Ben postanowił zająć się duchem, gdy tylko zbada, skąd wziął się ten niezwykle zapach.

Od tamtej chwili minęło pół godziny, a jajecznicza wciąż roztaczała przed nim swój urok. Korciło go, aby spytać o składniki i sposób jej przyrządzenia. Ale przecież nie prosi się mistrza magii, by zdradził sekret swojej sztuczki. Dlatego Ben uwielbiał gotować: obdarzony kreatywnością i wyobraźnią kucharz potrafi za każdym razem wyczarować nowe światy. Zwykła jajecznicza nabiera zupełnie nowej jakości.

– Nazywa się ofi.

Był tak dalece wniebowzięty, że nie zauważył, iż Ling zwraca się do niego. Nadal przeżuwał z zamkniętymi oczami. Gdyby był kotem, mruczałby z zadowolenia.

Ling odczekała kilka sekund.

– To się nazywa ofi– powtórzyła, tym razem głośniej.

Dziwne słowo pojawiło się drugi raz. Ben z ciekawości otworzył oczy, żeby zobaczyć, o co jej chodzi. Gapiła się na niego z drugiej strony stołu.

– Ofi? Jakie ofi?

– To składnik nadający jajeczniczy jej niepowtarzalny smak. Zastanawiałeś się, co sprawia, że...

– Skąd wiesz, nad czym się zastanawiałem?– spytał Ben i wyprostował się.

– Stąd, że jest duchem– odezwał się z podłogi rozzłoszczony Pilot.– Ile razy trzeba ci to powtarzać?

Ben upuścił widelec na talerz– a raczej rzucił nim. Była trzecia nad ranem: głośny grzechot odbił się echem od ścian kuchni.

– Najmocniej państwa przepraszam!– wykrztusił Ben, dotknięty do żywego.– Chciałbym ponownie zaznaczyć, że wszystko, w co dotąd wierzyłem, zostało dzisiaj wywrócone do góry nogami albo legło w gruzach. Wszyściusieńko. *Tutti*.

I ty, Pilocie, jesteś jednym z wywrotowców. Więc jeśli trochę nie nadążam – za duchami kobiet, za moim zgonem, mówiącymi psami i za OFI– proszę państwa o wyrozumiałość. Okej?

– Okej– ofi– zażartował Pilot i spróbował pochwycić spojrzenie Ling. Odwróciła wzrok; Ben wprawił ją w zakłopotanie.

– Co? Co powiedziałaś?– Ben miał tego dosyć. Choć jajecznicą była pyszna, czuł, że zaraz wybuchnie. Jego ton nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości.

– Powiedziałem dobrze, Ben. Zwolnimy tempo.

Powietrze w kuchni stało się gęste, ciężkie i nasycone elektrycznością, jak na chwilę przed sierpniową burzą z piorunami. Po wymianie zdań między mężczyzną a psem nikt nie chciał odezwać się pierwszy. W końcu Ling powiedziała łagodnie:

– Nie przypominasz sobie ofi?

Ben przeniósł wzrok na kobietę, chcąc się przekonać, czy tamta mówi poważnie. Ling o mało nie wzdrygnęła się, ujrawszy wyzierającą z jego oczu wrogość.

– Nie. Nie przypominam sobie ofi.

Ling spojrzała na swoje dłonie. Zastanawiała się, jak mu powiedzieć o ofi, żeby nie pogorszyć sytuacji.

Ben na wszelki wypadek nie spuszczał oka z Pilota, bo a nuż ten kundel znowu z czymś wyskoczy.

– Czy pamiętasz Ginę Kyte?

– Oczywiście.– Ben nie spytał nieznajomej, skąd zna Ginę Kyte, jego pierwszą wielką miłość z przedszkola. Niemal słyszał już przedrzeźniającą odpowiedź Pilota: „Zna ją, bo jest duchem”.

– Świetnie, a czy pamiętasz, jak udawaliście, że dajecie sobie nawzajem jedzenie, bawiąc się na huśtawce?

Pamiętał te huśtawki. Pamiętał park, w którym stały, i wysokie kasztanowce, które latem muskały ich swymi cieniami, kiedy się bawili. Ciągle pamiętał niebieskie rysunkowe baranki na adidasach Giny i jej matkę, która częstowała ich czekoladkami M&Ms z wielkiej czarno– białej tutki. Pamiętał Ginę Kyte i tamte cudowne dni spędzone razem, ale nie to, że wymieniali się na niby jedzeniem.

– Gina dawała ci wtedy ofi– dodała Ling po chwili milczenia.

– Co? Co ty wygadujesz?

Zwinięty na podłodze w kłębek, jakby spał, Pilot mlasnął z dezaprobatą językiem i westchnął. Kiedy on wreszcie zrozumie? Na szczęście mężczyzna był zbyt skupiony na słowach Ling, aby słyszeć psie utyskiwania.

– Ofi to magiczna potrawa, którą Gina gotowała specjalnie dla ciebie. No wiesz, jak to dzieci bawiące się w dom. Bawiliście się w męża i żonę, udawaliście, że jesteście w kuchni, i Gina robiła ci ofi.

– Co to ma wspólnego z tym?– zapytał rozsądnie Ben i wskazał na swój talerz.

– Ta jajecznicca smakuje ci, ponieważ dodałam do niej ofi.

– Kiedy ja nie wiem, czym jest to ofi!

– Miłością i magią– wytłumaczyła cierpliwie Ling.– Spełnieniem dziecięcej wyobraźni. Gina Kyte kochała cię i wymyśliła dla swojego uczucia nazwę– ofi. Ilekroć dawała ci coś do jedzenia, dawała ci ofi. Ty również ją kochałeś, więc udawałeś, że jesz. Wybrałam się w twoją przeszłość, odszukałam jej miłość i zamieniłam ją w przyprawę, którą dodałam do jajecznicy. Oto prawdziwa przyczyna, dla której tak ci smakuje: znowu czujesz smak miłości Giny Kyte. Nie ma nic lepszego od dziecięcej miłości.

Niczym chłodna bryza, która zniecka owiewa nas i znika w letni dzień, Ben ujrzał oczyma wyobraźni niebieskie baranki na adidasach Giny, kiedy oboje śmigali w górę i w dół na huśtawkach. Udawali, że wkładają do ust jedzenie i gryzą.

Nagle Gina wyciągnęła rękę po nieistniejące jedzenie Bena. Odwrócił się błyskawicznie, jakby go nie chciał oddać. Oboje zachichotali.

„Ofi”– powiedział Ben, gdy wspomnienie odeszło. Podniósł widelec i dotknął nim jajeczniccy na talerzu.

– Nie pamiętam tego słowa, ale wierzę ci. Gina zawsze nazywała rzeczy po swojemu.– Pochłonięty rozmyślaniami o dawnych czasach, patrzył nieruchomo w talerz. Nie mógł się powstrzymać, by jeszcze raz nie

powiedzieć „ofi”– cicho, do siebie. Pomału wypuścił powietrze przez ściśnięte usta, jak gdyby właśnie spełnił trudny albo smutny obowiązek.

Odłożył bezszelestnie widelec na stół, a potem uniósł głowę i spojrzał na Ling.

– Po co przyszliście tu oboje? O co w tym wszystkim chodzi?

– Co widzisz?– Kobieta i mężczyzna stali obok siebie na skraju placu zabaw i obserwowali chmarę baraszkujących wrzaskliwie dzieciaków. Dwa rozłożyste kwitnące kasztanowce, posadzone dawno temu na środku placu, kołysały się majestatycznie na wietrze. Kawałek dalej, z boku, sterczała huśtawka; na krzeselkach siedzieli dziewczynka i chłopiec.

Mężczyzna przyglądał im się uważnie, choć jego twarz miała neutralny wyraz.

– Czy możemy podejść bliżej?

– Nie. Ani kroku dalej. Nie wolno nam się z nimi kontaktować. To niemożliwe.

Przyjął to do wiadomości w milczeniu. Szczególnie intrygowały go buciki małej, na których widniały niebieskie baranki z kreskówki. Próbował w umyśle poskładać w całość to, na co teraz patrzył, co zapamiętał i czego się dowiedział.

Przede wszystkim zdziwiła go, rozbawiła, a w końcu głęboko wzruszyła absolutna przeciętność urody Giny Kyte. Jej pyzata twarz nie wyróżniała się ani jedną ładną czy szczególną cechą. Nos był zbyt płaski, podbródek słabo zarysowany, oczy przypominały dwie pinezki wpięte w korkową tablicę. Nie obejrzałbyś się za taką, minąwszy ją na ulicy. Nie wlokły się za nią pełne podziwu spojrzenia, gdy kroczyła przez swoje młodziutkie życie. Nikt nie mówił: „Ja cię kręcę, z tej małej to będzie niezła

laska, jak dorośnie". Jeśli ktoś w ogóle ją zauważał, to widząc jej niepociągającą buźkę, myślał sobie: „Pewnie pod czterdziestkę będzie wyglądała dokładnie tak samo". I miał rację.

Jej głos był chyba jeszcze gorszy. Chociaż oboje dorośli stali dobre dwadzieścia stóp od dzieciaków, wyraźnie dał się słyszeć ostry, skomlący głos Giny, która bez przerwy komenderowała małym Benem. Zrób to, nie rób tego. Oddaj. To nie twoje... Nieustanna seria rozkazów i pretensji.

Kiedy Ling pokazała mu dzieci, dorosły Ben patrzył na nie jak zahipnotyzowany, dwukrotnie upewniając się, czy to aby ta sama Gina, którą znał. Nie wierzył własnym oczom. Ta dziewczynka zawładnęła jego sercem na wiele lat? W porządku, czas koloryzuje wspomnienia szczenięcej miłości. A jednak— ta mała wrzaskliwa dyrygentka była jego pierwszą ukochaną?

W prawdziwość tego, co widzi, uwierzył dopiero wtedy, gdy zobaczył matkę Giny, panią Kyte, siedzącą opodal na parkowej ławce. Ponieważ pani Kyte wyglądała jota w jotę tak, jak ją zapamiętał. Czy w ten sposób działa pamięć? Aktorzy występujący w naszym życiu na drugim planie utrwalają się nam z wyrazistością postaci ze zdjęć. Natomiast główni bohaterowie, ludzie najbliżsi, najważniejsi dla naszego duchowego rozwoju, zostają często zamazani lub wykrzywieni przez czas i doświadczenie. Jakie to dziwne i niesprawiedliwe.

– Była taka śliczna— wymamrotał smutno Ben.— Zapamiętałem ją jako śliczną dziewczynkę.— Obrócił się ku Ling, jakby koniecznie zależało mu na tym, aby go usłyszała.

Ling zawahała się i spuściła współczująco wzrok, ale nie odpowiedziała. A mogła. Mogła mu wyjawić rzeczy, które zdjęłyby mu łuski z

oczu i poszerzyły horyzonty, tak iż jego wzrok sięgałby na odległość stu mil. Nie uczyniła tego jednak. Ben musiał się uporać z tym sam; jej pomoc przypominałaby rozłupywanie skorupki jajka, żeby pomóc wykluwającemu się kurczęciu. Można to było łatwo zrobić, lecz przynosiło to więcej szkody niż pożytku.

– Co widzisz, Ben?

– Już pytałaś. Co takiego niby powinienem zobaczyć?– Jego ściśnięty głos zdradzał frustrację. Gdyby był dłonią, zwarłby się w pięść.

Ling dodała spokojnie, jakby go nie usłyszała:

– Powiedz mi tylko, co widzisz.

– Plac zabaw. Dzieciaki. Park. Ja i Gina Kyte jako maluchy. Pomijam coś?

– Przyjrzyj się.

– Przyjrzyj się. Ona każe mi się przyjrzeć. Gina uwielbiała lukrecję. Co ty na to? Przypomniało mi się właśnie.

Ling milczała. Ben grał na zwłokę i oboje o tym wiedzieli.

– W porządku.– Skrzyżował ramiona.– Czego mam szukać? Czy jest jakiś kierunek, w którym powinienem patrzeć?

Ling uniosła tajemniczo rękę, co mogło oznaczać wszystko i nic. Bez słowa oddaliła się i usiadła na ławce.

Ben nie potrafił wprawdzie rozgryźć tej kobiety, ale z pewnością nie zamierzał jej się narażać. Bóg jeden wie, do czego są zdolne duchy, gdy się na ciebie wściekną. A jednak jej niepozorny wygląd nie dawał mu spokoju. Przez całe życie mijał na ulicy tysiące takich kobiet jak Ling i ani razu nie zatrzymał na nich spojrzenia. Bo i po co? Ling była chodzącą średnią krajową. Pięć stóp i trzy cale wzrostu, średniej długości włosy koloru

starego brązowego portfela, piwne oczy, za którymi nic się nie kryło, no i ciało, które zaokrągliło się tu i ówdzie, ale bez szaleństwa. Jedyne, co ją rzeczywiście wyróżniało, to jej geniusz kulinarny I to ma być duch? Duch Bena Goulda?– Takie osobniki zaludniają Tamten Świat?

Raz po raz zerkał na nią ukradkiem, odkąd pojawiła się w jego mieszkaniu i ujawniła mu, kim jest, a mimo to wciąż nie mógł się pozbierać. Więc tak wyglądają duchy?

Do ogradzającej plac zabaw siatki podeszło jakieś dziecko i zatrzymawszy się przed Benem, wysepleniło tonem rozkazu:

– Przestań zawracać sobie głowę takimi bzdurami i lepiej rozejrzyj się dookoła siebie!– Dzieciak odbiegł i wmieszał się z powrotem w parkowy harmider. Mając poczucie, że przyłapano go na gorącym uczynku, Ben ponownie przeniósł wzrok na siedzącą na ławce Ling. Uniosła wyżej powieki i pogroziła mu znacząco palcem, jakby chciała podkreślić wagę dziecięcej komendy. Do dzieła – rób, co ci kazałam. Dosyć tego marudzenia!

Pomyślał o tych wszystkich książkach i filmach, w których aż do znudzenia powtarza się identyczny scenariusz: żółtodziób dostaje od mędrca (albo mędrzyni) przykazanie, aby przyjrzał się uważniej światu wokół siebie i spróbował dojrzeć pod jego powierzchnią istotę rzeczy. Co za wyświechtany pomysł. On znajduje się w takiej właśnie, wyświechtanej sytuacji; miał ochotę podejść do Ling i oznajmić jej to. Sądząc jednak po ostatnich wypadkach, Ling znała już jego myśli. Niewykluczone, że tego rodzaju wyzywająca uwaga by ją zdenerwowała. Duch mógłby mu zrobić jakieś upiorne kuku, a on nigdy nie odkryłby sensu, jaki się za tym wszystkim kryje.

Ben uczynił więc to, co mu kazano, i przepatrzył wokół cały park. Nie wiedział, jak nazywają się rosnące tu kwiaty i drzewa. Nie interesował się przyrodą, toteż nie zadał sobie trudu, by poznać ich nazwy. Wiedział co prawda, że wielkie drzewa pośrodku placu to kasztanowce, ale tylko dlatego, że jako dzieciaki zbierali pod nimi kasztany w kłujących żółtych i zielonych łupinach. Jedna z pierwszych oznak kończącego się lata.

Co roku razem z rodzicami dwoje nierozłącznych przyjaciół zanosilo torby wypchane kasztanami do miejskiego zoo. Choć żadne z nich tego nie widziało, podobno używano tych kasztanów jako paszy dla zwierząt. Mieli nadzieję, że tak było, gdyż dzięki temu czuli się dowartościowani.

Wgapiony teraz w drzewa, dorosły Ben osłonił oczy dłonią przed sączącymi się przez liście promieniami słońca. Na placu zabaw mali Ben i Gina huścali się na całego, patrząc przed siebie i nie odzywając się słowem. Na ich twarzach malowała się zawziętość i powaga. Pewnie rywalizowali w konkurencji pod tytułem „kto rozbuja się wyżej”. To również pamiętał z tamtych czasów– że on i Gina ciągle z sobą konkurowali. Kto się wyżej rozhuścą, kto uzbiera więcej kasztanów, kto wepchnie do ust więcej prażynek i się przy tym nie roześmieje.

Na odległych peryferiach jego wzroku przesunęła się dziwnie znajoma postać, ale Ben nawet jej nie zauważył. Był zbyt zaabsorbowany tym, co dzieje się blisko niego, na placu zabaw. Owszem, widział już raz tego mężczyznę, lecz zapomniał o nim. Wspomnienie zagubiło się w gąszczu toczących się tu i teraz zdarzeń. Ben Gould stał parę kroków od siebie jako dziecka i próbował wypełnić polecenie ducha: spojrzeć poza to, co miał przed oczami.

Ling obserwowała Bena obserwującego dzieci. To był jej błąd—wiedziała przecież, że kiedy są razem, powinna zachować szczególną czujność. Upłynęło zbyt wiele cennych sekund, nim zobaczyła mężczyznę zbliżającego się ku nim miarowym krokiem.

Włóczęga spoglądał dziś dużo jaśniej i spokojniej niż tamtej nocy, kiedy dźgnął nożem szefa Ling. Istotnie, Stewart Parrish zmienił się nie do poznania, choć niewątpliwie nadal był osobą bezdomną. Być może z tego powodu jego obecność nie od razu dotarła do świadomości ich obojga.

Włóczędzy bywają rozmaici. Ci najgorszego gatunku zdają się jedynie czekać, aż przechodząca obok Śmierć ich zauważy. Aż się nad nimi ulituje, zamiast rzucać monetę do ich parszywej ręki. Okej, powie, dzisiaj pójdziesz ze mną. Wtedy te ludzkie odpadki odetchną z ulgą. Bo jedyne oznaki życia, jakie im zostały, to bełkotliwa mowa, odrętwienie i brak koordynacji.

Przeciwną stronę spektrum zajmują półwłóczędzy, ci, którzy albo znaleźli się w nowej dla siebie roli, albo zachowują strzępy nadziei i złachanej godności. Zabrnęli w ślepią uliczkę, zapewne, ale ciągle jeszcze walczą.

Dopiero co utracili prawdziwą pracę, obowiązki, zasłużone miejsce przy stole, toteż wciąż ubierają się i postępują porządnie, choć dziwacznie. Wielu używa grzebieni i nosi kapelusze na bakier. Przeglądają się w lusterkach. Cuchną tysiącami papierosów i tanim alkoholem, kupionym w najbliższym sklepie. Żebrząc o pieniądze, często sięgają po zabawne albo barwne powiedzonka:

– Czy mógłbym prosić o sto dolarów?– Sto dolarów? To spora suma.

– No cóż, jestem optymistą.

Człowiek się uśmiecha i daje im parę drobniaków w nagrodę za to, że osłodzili mu dzień szczyptą humoru.

Poprzednim razem, gdy Ben Gould zetknął się z idącym teraz w ich stronę Stewartem Parrishem, tenel był niebezpiecznym dla otoczenia wrakiem. Dzisiaj natomiast wyglądał prawie jak człowiek. Miał na sobie wytarty szary garnitur w prążki, który wydawał się dość schludny i dopasowany. Pomarańczowa koszula w odcieniu drogowego pachółka była zapięta po samą szyję. Długie stopy tkwiły w ciężkich, brunatnych roboczych buciorach. Niedawno się ostrzygł. Nie wyglądał na brudasa ani nie śmierdział obrzydliwie – jak wtedy w pizzerii. Co ważniejsze, miał trzeźwe, jasne spojrzenie; nie był już tym niezrównoważonym człowiekiem, którego Ling i Ben widzieli tamtego koszmarnego wieczoru. Był przytomny i skoncentrowany na zadaniu, z jakim go wysłano.

Ben i Ling uśmiechnęli się, widząc, jak maluchy wyskakują równocześnie z huśtawek. Wzbiły się pionowo w powietrzu i wylądowały z naturalnym wdziękiem i gibkością małych dzieci. Następnie pobiegły do pani Kyte, która nasypała im z czarno– białej torebki porcję drażetek M&M's do złożonych w miseczki dłoni.

Ling zastanawiała się właśnie nad smakiem cukierków, gdy mignął jej Stewart Parrish. Maszerował ku nim stanowczym, odmierzonym krokiem. Spostrzegłszy włóczęgę, kobieta– widmo wstała z ławki i podeszła prosto do Bena.

- Musimy się stąd zabierać. I to już.
- O czym ty mówisz? Ledwie co przyszliśmy.

– Posłuchaj mnie, Ben: pamiętasz tego włóczęgę, który wszedł do pizzerii i pchnął nożem jednego z klientów? Zjawił się teraz w parku i idzie po ciebie.

– Po mnie? Dlaczego? Gdzie on jest?

Ling wskazała palcem w kierunku Parrisha– był od nich jakieś dwanaście, piętnaście kroków.

– Co robimy? On zaraz tu będzie.

– Powiedz mi, gdzie w dzieciństwie czułeś się najbezpieczniej. Udamy się tam. Minie trochę czasu, zanim na to wpadną i zaczną nas szukać. Szybciej, podaj jakieś miejsce.

– Suterena w domu Giny– rzucił Ben, gapiąc się na Parrisha.– Bawialnia państwa Kyte.

Ling i włóczęga skrzyżowali spojrzenia i raptem zjawa zniknęła. Parrish zwolnił. Nie przyszedł tu jednak po ducha, ale po człowieka. Ben zdematerializował się kilka sekund później. Zdążył się ulotnić, zanim Parrish zbliżył się do niego.

Włóczęga potarł w zamyśleniu szczękę i wydał z siebie przeciągłe „hmmm”. Następnie, jakby nigdy nic, usadowił się na ławce obok miejsca, gdzie parę minut wcześniej siedziała Ling. Skupionym wzrokiem patrzył na dwójkę dzieci podjadającą czekoladki w kolorowych skorupkach. Kłócąc się zaciekle, które z nich skoczyło wyżej w powietrze, maluchy nie zwracały najmniejszej uwagi na obszarpańca w pomarańczowej koszuli.

5.

To nie był najlepszy pomysł.

Spostrzeżenie Ling nasuwało się samo przez się i Ben wydał wargi ze złości. Mimo to był gotów bronić wybranej kryjówki.

– Zgoda. Ale skąd miałem wiedzieć?

– Jak myślisz– długo tu będą siedzieć?– wyszeptała Ling.

– Nie wiem.

– A nie mógłbyś przynajmniej trochę się przesunąć? Ciasno mi.

– Gdzie mam się przesunąć, Ling? Przecież jesteśmy w garderobie!

Znajdująca się pod parterem bawialnią w domu Giny Kyte wyglądała jak skrzyżowanie pirackiego statku i hawajskiego baru. Podczas służby w marynarce wojennej pan Kyte stacjonował w Honolulu. Postarał się odtworzyć wnętrze swojej ulubionej knajpy w suterenie własnego domu. Nawet ochrzcił je tą samą nazwą: „sala bum bum”.

Na ścianach wisiały girlandy sztucznych kwiatów, spódniczki z trawy, kopia pirackiej czapki wykonana z balsy, modele statków masztowych, trzy jaskrawe hawajskie koszule, mnóstwo bambusów et cetera. Fasada baru była zbudowana z posklejanych skorup orzechów kokosowych. Wyglądała nieciekawie, ale za to robiła wrażenie autentycznej.

Pan Kyte uważał się za zręcznego i kreatywnego miksera trunków. Siedział całymi godzinami w „sali bum bum” i opracowywał przepisy na nowe egzotyczne koktajle.

– Co to za okropna muzyka? Głowa mnie przez nią boli.

– Piosenkarz nazywał się Don Ho. Był wtedy popularnym wykonawcą muzyki hawajskiej.

– Więc to jest muzyka hawajska, tak? Beznadziejna. Co on śpiewa?

– „E Lej Ka Lej Lej...”

– Co?– Ling opuściła brodę i spojrzała niedowierzająco na Bena, sądząc, że ten żartuje. Nie żartował.

– Słyszałaś. Znam tę piosenkę na pamięć. To jeden z jego bardziej znanych przebojów. Gina puszczała tę płytę na okragło, kiedy siedzieliśmy na dole.

Pan i pani Kyte siedzieli obok siebie na kanapie przykrytej żółto–czarną batikową narzutą. Sączyli rum z sokiem poziomkowo– bananowym, który pan Kyte przyrządził z wyobraźni i ze świeżych owoców, kupionych specjalnie na tę okazję. Oboje byli nadzy – nie licząc pomarańczowych japonek na ich stopach, które pani Kyte uparła się nosić, gdyż była lekko przewrażliwiona na tle zarazków żyjących na podłodze sutereny.

Dzieciaki spały w łózkach, telefon był wyłączony z gniazdka, a w tle grała ulubiona muzyka państwa Kyte. Krótko mówiąc, wszystko było przygotowane na kulminacyjne wydarzenie tygodnia: „noc z półmiskiem pu pu” w „sali bum bum”.

Na chwiejnym bambusowym stole przed kanapą spoczywał półmisek wypełniony po brzegi smakowitymi przystawkami i zakąskami. Zawsze gdy państwo Kyte szli do restauracji Trader Vic, zamawiali tam orientalny półmisek pu pu; przed nimi leżała teraz jego wersja domowa.

Liście winogron, ser feta z greckiego sklepu spożywczego, gorące cienkie parówki w bułeczkach o złotej, rumianej skórce, chipsy ziemniaczane i karotki do sosu krabowego, będącego pilnie strzeżoną tajemnicą pani Kyte, ogonki selera z białym serem, posypane ulubioną węgierską papryką... Potrawy na półmisku były przemyślane w każdym

detalu. Niektóre znalazły się tam na życzenie pani Kyte, a inne na życzenie pana Kyte'a. Większość zadowalała ich oboje.

Ling zaczęła pociągać nosem. Ben siedział w kucki, z twarzą przyciśniętą do drzwi, i próbował dojrzeć cokolwiek przez dziurkę od klucza.

– Co widzisz?

– Włosy łonowe.

– Co?

Wykręcił głowę na bok i spojrzał na Ling.

– Jedyne, co stąd widać, to ich owłosienie łonowe. Patrzę na ich krocza.

– Aha. Noo, faktycznie musimy się stąd wydostać.

– Jesteś duchem. Może byś rzuciła jakiś czar? Żebyśmy zniknęli albo coś w tym stylu.

– Nie przejdzie.– Ling pokręciła głową.

– Czemu?

– To kwestia techniczna. Nie zrozumiałbyś.

Przenikliwy, niedający się z niczym pomylić aromat marihuany wsączył się przez drzwi garderoby i podrażnił im nozdrza. To dlatego Ling pociągała przed chwilą nosem – wyczuła konopie indyjskie.

Ben wybałuszył oczy.

– Kyte'owie palą trawkę! Ale numer. Rodzice Giny jarali mariuskę?– Ben napawał się nowym odkryciem.

Don Ho skończył śpiewać; po chwili jego płyta zeszła z gramofonu, zastąpiona klasycznym albumem The Moody Blues *Days of Future Past*. Ben nie słyszał go od wielu lat. Rodzice Giny słuchali na haju The Moody

Blues i paradowali na golasa w „sali bum bum”, podczas gdy Gina spała słodko na górze. Ben był zachwycony. Cieszył się, że tutaj trafił, choćby po to, aby to zobaczyć.

– Gdy odwiedzasz jakieś miejsce, nie wolno ci nic zmienić.

Pochłonięty obserwacją państwa Kyte, Ben nie od razu uchwycił to, co Dowiedziała Ling.– W jakim sensie zmienić?

– Mogę przenieść cię w każde miejsce twojej przeszłości, w dowolny moment twojej biografii. Ale pod dwoma warunkami: gdy będziesz chciał je opuścić, to tylko na własną rękę. Nie mogę ci pomóc. I po drugie: dokądkolwiek się udasz, nie wolno ci w żaden sposób kontaktować się z ludźmi, nie wolno ci wprowadzać żadnych zmian, choćbyś bardzo tego pragnął. To wykluczone.

– Słyszałaś?– zapytał nagle pan Kyte surowym głosem. Muzyka umilkła; bawialnia wypełniła się niepokojącą ciszą. Po chwili państwo Kyte rzucili się, by włożyć szlafroki i zarazem pozacierać ślady marihuany.

– Co teraz?– szepnął cichutko Ben.

Ling uniosła palec na znak, aby się nie ruszał, i czekała na to, co dalej nastąpi.

Zanim pan i pani Kyte zeszli do sutereny, minęło piętnaście minut, podczas których Ben i Ling mieli bawialnię dla siebie. Ling siedziała na kanapie, Ben zaś krążył wolno dookoła, odświeżając w pamięci wrażenia związane z tym fundamentem własnej przeszłości. Pomagał sobie opuszkami palców, dotykając wszystkiego. Musiał wszystkiego dotknąć.

– Czy tak to zapamiętałaś?– spytała Ling.– Czy ten pokój wydaje ci się znajomy?

– W sumie tak– potwierdził.– Ale trochę się pozmieniało. Zapach jest inny. Zapamiętałem całkiem inny zapach.

– A może zapach jest ten sam, tylko ty się zmieniłeś?

– To prawda. Możliwe. Upłynął szmat czasu.– Nie rozstając się z tą myślą, w dalszym ciągu spacerował po bawialni. Patrzył, dotykał, przypominał sobie. Jakby zwiedzał którąś z wielu sal Muzeum Jaźni.

Zaabsorbowany nie zauważył skurczu strachu, jaki zmarszczył twarz Ling, gdy usłyszała zbliżające się kroki. Jej twarz wygładziła się, kiedy usłyszeli głosy państwa Kyte. Ben wskazał prędko na garderobę wbudowaną w boczną ścianę pokoju. Zdążyli się schować, nim para zjawiała się w szlafrokach i w świetnych humorach.

W dzieciństwie Gina i Ben bawili się w tej garderobie setki razy. Ukrywali tutaj swoje skarby. Ukrywali siebie przed światem. W tym malutkim pokoiku zwierzali się sobie z tajemnic, które w innych okolicznościach nie ujrzałyby światła dziennego. Wyciszona przez panujący wewnątrz zaduch i martwość Gina uspokajała się, nie pomiatała już małym Benem. Garderoba była odrębnym światem, w którym czas stał w miejscu i nie zdarzało się nic oprócz tego, co zdarzało się w ich wyobraźni. Idealna kryjówka, miejsce marzeń, scena. Kiedy tam byli, lwy i smoki ryczały tuż pod drzwiami albo źli ludzie przetrząsali cały dom, na próżno ich szukając.

W oddali odezwał się dzwonek u drzwi. Tym razem dźwięczał znacznie głośniejszy, bo w bawialni nie grała muzyka. Pan i pani Kyte popatrzyli na siebie. Kogóż to niesie o tej porze?

– Spodziewasz się gości?

– O dziesiątej w nocy? Skądże! A ty?

Nie chcąc, by następny dzwonek obudził dzieci, pani Kyte wybiegła z bawialni. Pan Kyte wziął grubą marchewkę z półmiska, umoczył ją w beżowym sosie krabowym i ruszył za żoną.

Ben zobaczył wychodzącego Kyte'a i usłyszał, jak tamten wspina się po schodach. Upewniwszy się, że oboje zniknęli, Ben otworzył drzwi garderoby. W pustej bawialni czuć było marihuanę. Ben i Ling wymknęli się z garderoby i opuścili suterrenę drugimi drzwiami, które wychodziły na podwórze za domem. Ling położyła Benowi rękę na ramieniu i zatrzymała go w pół kroku.

– Myślisz, że gość państwa Kyte to ten włóczęga?

– Nie wiem, ale bym się nie zdziwił. Obejdźmy dom i przekonajmy się.–

Choć drzwi otworzyła pani Kyte, stała teraz za plecami męża, który rozmawiał ze Stewartem Parrishem.

_ Wiedziałam! Ale jak im się udało tak szybko cię odszukać?

– Psst! Nie słyszę, o czym mówią.

Niestety tamtych troje znajdowało się zbyt daleko, aby Ben i Ling mogli usłyszeć ich rozmowę. Musieli zdać się na obserwację ich języka ciała i strzępki słów dolatujących wśród wieczornej ciszy.

Parrish nie zmienił się od czasu wizyty w parku: szary garnitur, pomarańczowa koszula, ciężkie buciory. Ręce trzymał w kieszeniach spodni. Podczas rozmowy z ojcem Giny wydawał się odprężony.

– A jak pchnie pana Kyte'a nożem?

– Nie. Nie wolno mu mieszać się do twojej przeszłości ani do ludzkich losów. Może tylko się przyglądać, tak jak my.

Ben miał wątpliwości.

– Skąd ta pewność, Ling? Nie przewidzieliście wtedy, że poczęstuje nożem twojego partnera, a jednak to zrobił.

Zjawa zmarszczyła się; Ben miał rację. Nawet jej szef nie spodziewał się takiego obrotu spraw.

– Może wy przestrzegacie zasad, ale on najwyraźniej nic sobie z nich nie robi.

– W porządku, Ben. Kapuję. Daj mi trochę czasu do namysłu. Ling nie zdążyła się jednak namyślić, bo Parrish zaczął raptem przepychać się do środka.

– Co on wyprawia?! Nie wolno mu się mieszać do twojej przeszłości. Łazi za tobą w przeszłości. Tak nie można!

– Zdaje się, że on może.

Pan Kyte zdzielił Parrisha w głowę błyskawicznym ciosem karate. Włóczega zatoczył się w tył na trawnik, stracił równowagę i runął ciężko na ziemię.

– Ha!– wyrwało się podekscytowanej Ling, ale jej radość utonęła pośród okrzyków pani Kyte. wzywającej męża by wrócił do domu i zadzwonił na policję.

Wszyscy znieruchomieli na swoich pozycjach. Kyte stał z podniesioną ręką i łypał groźnie na obcego, gotowy rąbnąć go ponownie, gdyby ten spróbował jeszcze raz wdrzeć się do jego domu. Pani Kyte kuliła się za plecami męża. Była wewnętrznie rozdarta– z jednej strony chciała pobiec do domu i wezwać policję, a z drugiej bała się, że jeśli choć na moment straci męża z oczu, to stanie mu się coś złego. Parrish siedział na trawniku, podpierając się od tyłu rękoma, żeby się nie przewrócić. Szczerzył się w

uśmiechu, ale wzrok miał półprzytomny, jakby nie doszedł wciąż do siebie po ciosie w głowę.

Kyte wycelował weń palec.

– Nie chcę cię tu więcej widzieć. Wynocha sprzed mojego domu.

– Kyte trenował karate – poinformował cicho Ben, nachylając się w stronę Ling.– Niech lepiej ten facet go posłucha.

– Zapewniam cię– prychnęła Ling– że ten facet nie boi się karate. Gdyby chciał, mógłby zamienić pana Kyte'a w kurczaka. Albo w omlet.

– Nie możesz go powstrzymać?

Ling potrząsnęła głową.

– Nie wiem.

Parrish podniósł się wolno na równe nogi i otarł dłonie w spodnie. Kyte, i jego żona zastygli w napięciu. Żadne z nich nie miało przedtem do czynienia z wariatem.

Z domu wyskoczył Billie, młody, nadpobudliwy cocker– spaniel państwa Kyte, i stanął na progu drzwi, zachwycony obecnością tak wielu ludzi. Spojrzał na swojego pana, potem na panią, licząc na odrobinę miłości z ich strony. Ponieważ go zlekceważyli, zszedł na trawnik i podbiegł w radosnych płasach do Parrisha. Pani Kyte chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

Włóczęga najwyraźniej się ucieszył. Zgiął się wpół i głaskał psa po karmelowej sierści. Zachwycony tym Billie prężył się jak hawajski tancerz, liżąc mężczyznę po rękach. Parrish nie podnosił głowy.

– Ej, ogłuchł pan czy co? Zmiataj pan stąd, bo dzwonię po policję–

Parrish czochrał Billiego po grzbiecie, przesuwając szybko obie ręce w górę i w dół. Nagle zgarnął sierść, poderwał psa za kark w powietrze i

przytrzymał go na wysokości swojej głowy. Przerażony Billie zaskomlał i wykręcił się – jego rozkosz przeszła znienacka w cierpienie.

Parrish spojrzał na dwoje ludzi, a potem na piszczącego psa. Patrzył rozbawiony, jak cocker–spaniel wije się w powietrzu przed bezradnymi właścicielami. Mały zwiastun tego, do czego jest zdolny, co mógłby z nimi zrobić w sekundę.

Wtedy Parrish spostrzegł coś i się zatrzymał. Uśmiech spłynął mu z twarzy. Na ciele psa widniało coś, co sprawiło, że natychmiast wypuścił go z ręki i, ku ogólnemu zdumieniu, salwował się ucieczką. Billie pobiegł z powrotem do domu.

Ling i Ben mieli nie mniejszy mętlik w głowie niż państwo Kyte. Cała czwórka wyślepiała zdziwione oczy, podczas gdy groźny włóczęga przeciął pędem podwórko i zaczął się oddalać wielkimi susami wzdłuż ulicy. Ich zdziwienie jeszcze by się pogłębiło, gdyby widzieli przerażenie malujące się na jego twarzy.

Upłynęła minuta. Kyte'owie pomалу otrząsali się z odrętwienia. On obrócił się do niej, pytając, co to miało znaczyć. Ona zaczęła go ciągnąć za rękaw szlafroka, żeby wszedł do domu. Bała się, że włóczęga zaraz wróci i cała kołomyja zacznie się od nowa.

Jej uparty mąż jednak nadal się opierał. Co się dzieje, do cholery?– pytał. Najpierw ten świr wpycha im się na chana do domu, potem torturuje ich psa, w końcu nagle urywa się i tyle go widać.

– Proszę cię, Ron. Zrób to dla mnie: wejdź do domu.– Ale co to za facet? Chcę wiedzieć, kim do cholery był ten facet!

Pani Kyte się rozplakała. Doszła do kresu wytrzymałości. Gdyby tak mogła cofnąć czas o pół godziny! Powrócić do tamtego klimatu, do

bawialni, muzyki, gdy oboje byli sami, bezpieczni, nadzy. Chciała jedynie znaleźć się w swoim domu, zamkniętym na siedem spustów, chciała, żeby jej rodzinie nie przytrafiały się tak straszne, nieprzewidziane niespodzianki.

jakby dla podkreślenia absurdalności tego, co się właśnie stało, przed ich domem przejechał wolno samochód; śpiewający w radiu Gene Pitney huczał na całą ulicę: „Zakochani wiedzą, co to ból”.

– Błagam cię, Ron.

– Dobrze już, dobrze.– Wodził wzrokiem po okolicy, aby się przekonać, że nie grozi im inne niebezpieczeństwo. Ling i Ben usiedli na piętach, żeby ich nie wypatrzył. Pani Kyte spróbowała czym prędzej zwabić go do środka.

– Przyniosę jedzenie z dołu– zaproponowała.– Zjemy w salonie.

– Straciłem apetyt– odpowiedział jeszcze pan Kyte, zanim przerwały mu zamknięte drzwi.

Rozległo się zgrzytanie zamków.

– W porządku, proszę mi to wyjaśnić.

– Nie umiem, Ben. Nie mam zielonego pojęcia, co tutaj zaszło.

– Poszedł sobie? Czy powinniśmy się martwić, że wróci? Ling pokręciła głową.

– Nie wiem– odrzekła tonem wahania.

– Przyszedł po mnie, a potem nagle uciekł w przeciwną stronę.

– Zobaczył coś na ich psie. Wpadł w popłoch i myk – już go nie było.

– To ten pies z parku? Ten, który siedział przy pani Kyte, kiedy obserwowaliśmy dzieci?

– Tak. Warował koło niej na ziemi. Pani Kyte uwielbiała Billiego. Zabierała go z sobą wszędzie. Siedział i czekał na tylnym siedzeniu jej samochodu.

Rozejrzeli się i wymaszerowali z podwórka. Wokół było cicho i pusto. Wtorek w nocy, kraina z dzieciństwa Benjamin Goulda. Chociaż upłynęły dziesiątki lat, Ben natychmiast poznał tę ulicę. Bez przerwy wyławiał nowe, nieistotne detale, takie jak osobliwa skrzynka na listy lub marka auta zaparkowanego na podjeździe, które sprawiały, że widok był tym bardziej znajomy.

– Czy możemy trochę pospacerować po okolicy? Chciałbym ją obejrzeć. Zobaczyć, ile pamiętam.– Jasne. Nie ma pośpiechu.– Zaledwie Ling skończyła mówić gdy coś śmignęło obok nich na chodniku z niesamowitą szybkością. W kilka sekund prysnęło w dal i znikło na horyzoncie.

– A to co znowu?

– Nie wiem, ale widziałeś, jak prędko biegło?

Drugi pędził w tę samą stronę, tyle że środkiem ulicy. Ling i Ben zobaczyli coś białego i przysadzistego, co zdawało się sunąć tuż nad ziemią na czterech kończynach. Zwierzę? Czy jakiegokolwiek zwierzę jest w stanie poruszać się tak szybko?

Dwie inne sztuki przecięły powietrze, a potem jeszcze dwie. Wszystkie pędziły w tym samym kierunku. Ben i Ling zauważyli je tylko dlatego, że akurat patrzyli na ulicę.

– To psy.

– Żarty na bok, Ling. Psy nie biegają tak szybko.– To są psy– powtórzyła z przekonaniem.

Tym razem nadbiegły w trójkę, jeden przy drugim, mknąc tuż nad ziemią.

Żadne z nich nie zdążyło się odezwać, gdy pojawił się następny– i zatrzymał się dwie stopy od nich.

Był białuteński. Jaśniał jak biała świeca tuż przy płomieniu. Obwąchał ich z ciekawością typową dla psów. Sunąc nosem po ich nogach, zamerdął długim, cienkim ogonem.

Najpierw mieli wrażenie, że to istotnie pies, ale przyjrząwszy mu się bliżej, stwierdzili, iż ma z psem mało wspólnego. Krępe, muskularne ciało musiało ważyć około czterdziestu funtów. Mała, kwadratowa głowa o zaciętym pysku przywodziła na myśl buldoga, ale była pozbawiona uszu. Nie miała nawet dziur po uszach. Osadzone szeroko i wysoko oczy były o wiele za duże. Wyglądały jak oczy znacznie większego zwierzęcia. Nos był płaski i jasnobrązowy.

Duch i człowiek stali jak urzeczeni, gapiąc się na ochoczo obwąchujące ich stworzenie. Jego białą skórę, od głowy po ogon, pokrywały cienkie fioletowe żyłki. Bena korciło, aby dotknąć tej olśniewająco białej skóry pokrytej fioletową siateczką. Czy ten żywy fiolet występuje na skórze czy pod jej powierzchnią? Mimo ciekawości powstrzymał rękę, żeby nie spłoszyć stworzenia.

Świetliście biała skóra była tak cienka i gładka, że wydawało się, iż wszystkie te fioletowe żyłki to... Ben przypatrzył jej się z bliska i uzmysłowił sobie, że to wcale nie są żyłki.

Skórę pokrywały setki wężykowatych napisów i obrazków; wyglądały jak gryzmoły, które bazgrze się z nudów na świstku papieru, rozmawiając przez telefon. Były wśród nich angielskie słowa, liczby i pojedyncze litery,

przedmioty i twarze. Ben rozpoznał zegar, kosiarkę do trawy, ananas i tenisówkę. Ponieważ wiedział, że cokolwiek to jest, lada chwila ucieknie, starał się pilnie zapamiętać jak najwięcej obrazków, tak aby później je zanalizować. Było to o tyle trudne, że na skórze widniały setki różnych znaków i symboli.

W oddali rozległ się krótki, wysoki gwizd, który im dwojgu z niczym się nie kojarzył. Kojarzył się jednak bezuchemu stworzeniu, bo zerwało się natychmiast do biegu.

Zdziwiony Ben zobaczył, że Ling rusza w tę samą stronę. Pokazała przed siebie.

– Właśnie tam uciekł Parrish, gdy się przestraszył, a teraz one też tam biegną. Przypadek? Nie wydaje mi się.

Ben dołączył do Ling. Biegli obok siebie, nie odzywając się. Co prawda nie miał ochoty nigdzie się ruszać, ale nie chciał również zostać sam, ryzykując następne spotkanie z włóczęgą. Idąc z Ling, wybrał mniejsze zło.

Świetnie pamiętał tę ulicę. Znajdowały się przy niej budynki i punkty orientacyjne wyznaczające szlak jego dziecięcych przygód, o których nie myślał od dziesiątek lat. Wielki pomalowany na biało kamień przy podjeździe Olgi Baran, który służył im za bazę, kiedy grali w bejsbol. Dom potwornego pana Shimkusa, mały basen na tyłach domu państwa Kellen, który Ben dostrzegł w przelocie, gdy tamtędy biegli. Rodzice Caroline Kellen pozwalali latem korzystać z basenu dzieciakom z sąsiedztwa, pod warunkiem że będzie nad nimi czuwał ktoś dorosły w charakterze ratownika. Jakimś cudem zawsze udawało im się kogoś takiego znaleźć.

Gina mieszkała przy Cinnamon Street, co zdaniem Bena było najgenialniejszym adresem na świecie. Gdy jako dorosły mężczyzna usłyszał piosenkę *Ulica Cynamonowa* w wykonaniu popowej grupy Roxette, czuł się dotknięty do żywego. Jakby ktoś mu wykradł tę nazwę z pamięci. Cinnamon Street to nie tytuł kiepskiego rockowego numeru, tylko ważne miejsce na mapie jego życia.

Na skraju osiedla ulica opadała długim zakolem na prawo. Skupiska domów przerzedziły się, droga biegła przez las do szkoły podstawowej. Latarnie mżyły światłem. Za jedną z nich wystrzelały w górę trzy ogromne wiązy stanowiące czoło lasu. Pod nimi leżało białe ciało.

Ujrawszy je, Ben i Ling podbiegli i przykucnęli. Spoczywające na boku stworzenie wyglądało, jakby spało. Miało zamknięte oczy, które o dziwo wydawały się o wiele mniejsze, skurczyły się. Łapy były zwinięte pod ciało. Fioletowe obrazki na skórze zaczynały się zacierać. Wkrótce znikną do reszty. Uszy sterczały tam, gdzie zwykle mają je psy. Czymkolwiek było to zwierzę za życia, śmierć przeobrażała je teraz w psa. Gdyby ktoś natknął się na niego przy drodze, toby w sposób naturalny uznał, że biedaczysko wpadło pod samochód. Pewnie chciało przebiec przez ulicę i miało pecha. Zwykła ofiara wypadku. Zdarza się.

– Gdzie pozostałe?

Ben miał w nosie białe psy – obchodziło go jedynie, gdzie jest włóczęga.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie jest ten facet.

Ling powstała i zachwiała się. Z głową odrzuconą do tyłu wyciągnęła rękę i uchwyciła się ramienia siedzącego Bena. Stała mocniej na nogach, nadal spoglądając w górę.

– A jeżeli gdzieś się przyczaił?– zaniepokoił się Ben. Wstał i rozejrzał się dookoła w rtęciowym świetle latarni.

– Nie musisz się już nim przejmować.

– Skąd wiesz? Skoro facet potrafi dziabnąć twojego przyjaciela i zabić jedno z tych ślicznych stworzeń...– Patrząc na Ling, czekał na odpowiedź. Miał nadzieję, że mu jej udzieli. Że jej miły, męski głos trochę go uspokoi.

Milcząc, Ling zadarła palec w górę. Wskazywała na coś, co ujrzała przed chwilą, gdy straciła równowagę. Ben pobiegł wzrokiem za linią jej palca, ale nie zobaczył tam nic oprócz drzew i ciemności.

– Co? Czego mam szukać?

– Tam, na tamtym drzewie. Niedaleko wierzchołka.

U wierzchołka tamtego drzewa wisiała jaskrawopomarańczowa męska koszula; ten odcień niełatwo dawał o sobie zapomnieć. Chociaż była pusta, miała pozapinane wszystkie guziki. Zaplątała się między dwie gałęzie. Ponieważ nie było wiatru, zwisała między nimi jak świecąca flaga albo zagubiony latawiec.

Gdyby było widno i gdyby obeszli grube drzewo, zobaczyliby prążkowane spodnie dyndające luźno z jednej z niższych gałęzi. Na ziemi walał się ciężki roboczy bucior.

– Ho– ho! To jego koszula?– Tak.

– Jesteś pewna, Ling?

– Jestem.– Wpatrywała się w drzewo.

– Co one mu zrobiły? Dokąd uciekł?

Zjawa wzruszyła obojętnie ramionami.

– Nieważne, co mu zrobiły. I tak najpierw zabił jednego z nich.

Leżące na ziemi stworzenie upodobniło się całkiem do martwego, białego psa: wyglądało jak mieszaniec buldoga i boksera.

– Słyszałam o nich, ale nie widziałam ich nigdy przedtem. Nazywają się verze. Jestem pewna, że to one. Przybyły całą sforą, aby cię bronić, Ben. Maskują się pod postacią psów, a kiedy ktoś ich potrzebuje, przybierają taki kształt jak ten tutaj...

– Kto je przysłał? Ling pokręciła głową.

– Prawdę mówiąc, sama już się zagubiłam. Moi przełożeni nie byli ze mną szczerzy, kiedy tłumaczyli, że chcą, abym się zjawiła i miała cię na oku. Odtąd verze będą cię bronić... Sytuacja mnie przerosła. Przykro mi, Ben.– Przebijająca z jej głosu mieszanina beznadziei i zgorzknienia dowodziła, iż Ling mówi prawdę.

– Co to jest verz?– zapytał Ben.

Nadmiar wrażeń tej nocy zmęczył nawet cocker– spaniela. Gdy dorośli łagodnie wypchnęli go z sypialni i zamknęli drzwi, wszedł schodami na piętro i powędrował do ułożonego na tyłach domu pokoju Giny. Billie wiedział, że jest zawsze mile widziany na łóżku dziewczynki.

Drzwi stały jak zwykle otworem, bo Gina nie czuła się dobrze po ciemku. Na jej prośbę rodzice nie zamykali drzwi, żeby widziała światło palące się na końcu korytarza. Lubiła mieć Billiego obok siebie. Ale młody cocker– spaniel był ruchliwy i rzadko kiedy przesypiał spokojnie całą noc. Prędzej czy później zeskakiwał z łóżka, chodził po domu, popijał wodę, obwąchiwał sprzęty i w końcu, zadowolony z siebie, wspinał się z powrotem na piętro i kładł na łóżku dziewczynki. Czasem zrywał się tak kilka razy w ciągu nocy. Gina przyzwyczała się– wejścia i wyjścia psa nie budziły jej ze snu.

Wszedłszy do jej pokoju, wskoczył na nogi wąskiego łóżka, zwinął się w kłębek i ułożył do snu. Wtedy poczuł swędzenie na brzuchu, więc znów podniósł głowę i zaczął się drapać i lizać. Trwało to przez jakiś czas.

Jeśliby w pokoju Giny płonęło światło, można by dostrzec na skórze zwierzęcia osobliwy wzór. Był wielkości monety i składał się z bladych, cieniutkich rysunków i deseni umieszczonych na prawym udzie, tuż przy odbycie. Porastała je sierść i były ledwie widoczne. Jeżeli ludzie w ogóle je zauważali, zwykle brali je za odbarwienie albo znamię. Ale nie Stewart Parrish.

Po skończonej pielęgnacji skóry Billie klapnął na łóżko i zaraz zasnął.

6.

German Landis nie lubiła zakupów. Nie lubiła przymusu związanego z dokonywaniem wyboru. Kiedy musiała coś kupić, to albo miała w ręku gotową listę rzeczy, albo dokładnie wiedziała, czego chce. Wchodziła do sklepu nie po to, aby oglądać towar, ale żeby go kupić. Poproszę biały bawełniany stanik, 34 B. Pół galona soku pomarańczowego i tuzin jaj. Dwa galony sjeny palonej. Nazajutrz po scysji z Benem German zajrzała do swojej małej lodówki i stwierdziła, że musi iść do supermarketu.

Kiedy mieszkali razem, Ben nauczył ją, że gdy człowiek jest zdenerwowany, powinien ugotować coś dobrego lub skomplikowanego. Nawet jeśli potem odda komuś tę potrawę albo wyrzuci ją do śmieci, wysiłek i skupienie potrzebne do jej przygotowania pozwolą mu na chwilę zapomnieć o bieżących kłopotach. W przypadku Bena korzyść była podwójna: wychodził z kuchni z lżejszym sercem i znakomitym jedzeniem. German postanowiła wziąć z niego przykład. Poza artykułami pierwszej potrzeby kupiła białą fasolę, szynkę, piersi z kurczaka i czosnkową kiełbasę, by upiec francuską zapiekankę— swoje ulubione danie. Doszła do wniosku, że wielka cassoulet starczy jej do końca tygodnia.

Ubierając się i szykując do wyjścia, przypomniała sobie, jak Ben opowiedział jej o najlepszej na świecie zapiekance, jaką zjadł w małym miasteczku Castelnaudary w południowej Francji. Tak pięknie wymówił jego nazwę, że German kazała ją sobie powtórzyć jeszcze dwa razy. Nie chciała myśleć o Benie, lecz było to trudne. Nie z każdym mężczyzną czuła się równie swobodnie jak z nim. Nie każdy potrafił ją tak często rozśmieszyć. Wiele jej związków nie wytrzymało próby czasu, a German

była na tyle dorosła, by zdawać sobie sprawę, że wzajemne zrozumienie i ciągły śmiech to na dłuższą metę najlepsze połączenie.

– Nie chcę o nim myśleć– powiedziała głośno i zdecydowanie, chociaż nikt jej nie słyszał. Gdy coś sobie postanowiła, miała zwyczaj mówić to na głos. W ten sposób stawiała kropkę nad i.

Tęskniła za Pilotem. Za tym, by sięgając po jego smycz na stoliku, zapytać zwykłym, naturalnym głosem, czy pies ma ochotę na spacer. Tęskniła do drugiej istoty, która by jej towarzyszyła w obcym, ogromnym świecie.

Supermarket znajdował się niedaleko jej domu. Kiedy życie German stawało się smutne lub dziwne, lepiej dostrzegała to, co się dzieje wokół. Sama przyznawała, że czując się szczęśliwa, bujała w obłoku nieuwagi. Szczęście zaprzętało jej myśli, nie musiała przejmować się niczym innym. Ale dzień dzisiejszy był dniem p o: po zdradzie Bena i po jego wrednych niespodziankach. Po uświadomieniu sobie, jak bardzo pomyliła się co do kogoś, kogo przedtem szczerze kochała.

Idąc w stronę sklepu, German zobaczyła młodą kobietę czekającą na rogu, aż zapali się zielone światło. Kobieta zerknęła na nią; w jej wzroku kryły się podejrzliwość i niemoc.

German minęła zapuszczoną stację obsługi pojazdów z pustymi stanowiskami i hydraulicznymi podnośnikami, na których nie naprawiano żadnych samochodów i gdzie nikt nie tankował benzyny z dystrybutora. Samotny właściciel stał w drzwiach biura i wycierał dłonie brudną szmatą. Popatrzył na przechodzącą German z wyrzutem, jakby to ona była powodem upadku stacji i jego rozczarowania.

Na końcu ulicy ukazał się jasno oświetlony supermarket.

Na parkingu tłoczyli się ludzie i samochody. Kupujący pchali przed sobą metalowe wózki, kierując się do sklepu do aut. do drugiego wejścia, do domu.

German wściubiała nos w wózki innych klientów. Była zdania, że zakupy wiele mówią o człowieku. Często szła do sklepu razem z Benem, bo on uwielbiał robić zakupy i pociągał ją swoim entuzjazmem. Gdyby go nie знаła, to widząc zawartość jego koszyka, wzięłaby go za ciekawego faceta, kulinarnego snoba albo za obu naraz. Nigdy nie kupował więcej niż parę artykułów– zwykle tylko to, co gotował danego dnia. W jego wózku można było znaleźć kapary, bakłażany, świeży koperek, butelkę greckiej anyżówki i dwa udźce baranie, które rzeźnik kroił zgodnie z jego instrukcjami.

– Nie chcę o nim myśleć!– powtórzyła głośno, wchodząc na świeżo położony czarny asfalt na parkingu. Ale German zawsze myślała o Benie, idąc do sklepu na zakupy. Czy mogła temu zapobiec?

Przyspieszyła kroku i lawirując między ruchomymi i nieruchomymi samochodami, przecięła przestronny parking. Przy wejściu dwaj mali skauci ustawili stół do brydża i sprzedawali losy na loterii fantowej. Gdy ich mijiała, patrzyli na nią z nadzieją. Na próżno. German nigdy nie kupiła losu na loterii, nie zagrała w totolotka i nie wzięła udziału w konkursie. Wierzyła w szczęśliwą gwiazdę, ale miała na ten temat własną teorię. Była przekonana, że szczęście wybiera ludzi – że przychodzi do nich, oni zaś nie mogą zbliżyć się do niego, wygrać go ani uwieść. Szczęście jest uparte, wybredne, a nawet krnąbrne, jeśli zadręczasz je prośbami. To najładniejsza dziewczyna na balu, która może wybrać każdego partnera. Biada jednak głupcowi lub pyszałkowi, który by ją zaprosił do tańca. Szczęście podeszło

do German parę razy w jej życiu. Przez krótką, niebiańską chwilę wydawało jej się, że poznanie Benjamin Goulda to największy uśmiech jej losu.

Drzwi supermarketu rozsunęły się przed nią z sykiem. Jak zwykle, wchodząc do tej pieczary, German poczuła się nagle mała i niekompetentna. Wielość i różnorodność wystawionego na sprzedaż jedzenia onieśmiewały ją; wszystkie rozkoszne kombinacje składników, których ona – jako marna kucharka – nie umiała wyczarować. Choćby nie wiadomo jak się przykładała, wszystko, co ugotowała, przypominało smakiem jedzenie serwowane w samolotach. W Benie podobało jej się między innymi to, że chętnie podejmował się gotowania. Ona pochłaniała wszystko do ostatniego okruszka, a potem z przyjemnością zmywała talerze, czego Ben z kolei nie znosił. Był to idealny układ, doskonały pakt, który sam się zawiązuje, gdy ludzie tworzą udany związek. Jak często w życiu zdarza się taka harmonia, zwłaszcza gdy pojawia się nowy partner? Jak często nasze słabości znajdują oparcie w atutach drugiej osoby i na odwrót?

Potok wspomnień o Benie zaskoczył German. Kręcąc głową, podeszła do bramki z metalowymi wózkami i odroczyła jeden na bok. Wyjęła z kieszeni listę zakupów i szybko ją przejrzała. Jeśli się pospieszy, upora się z tym w piętnaście minut. Świetnie.

Doszła do działu z mrożonym mięsem. Podczas gdy próbowała się zdecydować na jedną z dwóch ofoliowanych piersi z kurczaka (zaraz – zaraz, co Ben mówił o wybieraniu kurczaka?), podeszła do niej koleżanka ze szkoły i wciągnęła ją w miłą pogawędkę. Rozgadały się o uczniach, o problemach z upartą administracją i ogólnie o życiu w szkole. German uwielbiała swoją pracę oraz energię i ciekawość uczniów. Ich niecierpliwość i zapał zmuszały ją do wysiłku i skupienia. Reagowali w sposób niebudzący

wątpliwości, czy jej projekt powiódł się czy nie. Ben lubił słuchać, jak German o nich mówi; twierdził, że podchodzi do nich z sercem na dłoni. O tych bardziej utalentowanych mówiła tak, jakby mieli nie dwanaście lat, ale byli w pełni dojrzałymi artystami. Wierzyła, że zostaną nimi, pod warunkiem, że będą nad sobą pracować.

Chociaż German Landis i Dominique Bertaux bardzo się od siebie różniły, Ben uważał, że wiele je też łączy. Obie cieszyły się z drobnych, codziennych nagród. Żadna nie oczekiwała, że życie zaoferuje jej coś nadzwyczajnego, i nie miała o to pretensji. Dominique porównała raz swoje życie do plaży po sztormie. Morze rzadko wyrzuca na brzeg prawdziwe skarby, ale jeśli zbierasz kawałki drewna, szkło od butelek czy inne ciekawe przedmioty, które długo leżały w oceanie, to w końcu natrafisz na coś, co warto zabrać do domu. Gdy Ben opowiedział German tę anegdotkę, jej twarz się rozjaśniła. Nie tylko zgodziła się z tym porównaniem, ale też oznajmiła Benowi, że jeszcze bardziej lubi Dominique. Nie wyobrażała sobie, jak przeżył śmierć swojej dziewczyny, zwłaszcza w tak strasznych okolicznościach.

– Przepraszam.

Zwrócona twarzą do koleżanki German nie zauważyła, że podeszła do nich jakaś kobieta. Usłyszawszy jej głos, German obróciła głowę i ujrzała gapiącą się na nią Danielle Voyles.

– O, witam.– German przedstawiła Danielle koleżance. Zapadło krepujące milczenie– żadna z trójki kobiet nie chciała się odezwać pierwsza.

Danielle miała nasuniętą na głowę czarną wełnianą czapkę, która zasłaniała jej bliznę. Nosila czarny welurowy dres i nowiutkie białe adidasy.

Sprawiała wrażenie odprężonej i najwyraźniej była w dobrej formie. German miała niebawem odkryć, że pozory ją zmyliły. Unikając wzroku German, Danielle zapytała stanowczo, czy może z nią zamienić kilka słów na osobności. Koleżanka ze szkoły pożegnała się i pchnęła swój wózek w stronę alejki z mrożonkami.

– Przykro mi, że przeszkodziłam pani w rozmowie. Ale to bardzo ważne.

– Nie ma sprawy. Jak mnie pani znalazła?

– Odszukałam panią w książce telefonicznej. Ma pani charakterystyczne nazwisko, więc łatwo je zapamiętać. Poszłam do pani domu. Gospodarz powiedział, że widział panią idącą z torbą na zakupy w kierunku supermarketu. Zaryzykowałam i przyszłam tutaj.

German uśmiechnęła się współczująco.

– Sprawiałam pani dużo kłopotu.

– Sądzę, że dopiero czekają nas duże kłopoty.

Ta kobieta oszukała ją wczoraj, kiedy odwiedzili z Benem jej mieszkanie, udając, że go nie widzi. Mimo to German jej uwierzyła. Przekonał ją strach przebijający z głosu Danielle.

– Jakie kłopoty? O czym pani mówi?

– Złożył mi dziś wizytę jakiś człowiek. Wyglądał trochę jak włóczęga. Powiedział, że nazywa się Stewart Parrish i że zna panią i pani chłopaka.

– Nie znam nikogo o tym nazwisku. Parrish? Nie.

– Powiedział, że pani tak powie, i kazał mi dać pani to.– Danielle wyciągnęła rękę do German i otworzyła dłoń.

Co najmniej raz gubimy w dzieciństwie przedmiot, który uważamy za bezcenny i nie do zastąpienia, choć w oczach innych nie przedstawia on

żadnej wartości. Wielu ludzi pamięta tę utraconą rzecz do końca życia. Czasem jest to scyzoryk– talizman, czasem plastikowa bransoletka podarowana przez ojca albo wymarzona zabawka, której się nie spodziewaliśmy, by oto znaleźć ją pod choinką w tamto Boże Narodzenie... Wszystko jedno. Kiedy opisujemy ten przedmiot, tłumacząc, czemu był dla nas taki ważny, nawet ci, którzy nas kochają, zwykle uśmiechają się z pobłażaniem. Rzecz wydaje im się jakimś głupawym, nic nieznaczącym drobiazgiem. Dziecinadą. Jest jednak inaczej. Ci, którzy o tym zapomnieli, utracili cenne, a może i zasadnicze wspomnienie. Przedmiot ten miał w sobie coś istotnego dla naszego młodszego „ja”. Gdy go utraciliśmy– mniejsza o przyczynę– coś zmieniło się w nas trwale i bezpowrotnie.

Przedmiotem, który zagubiła German Landis, był czerwony kamyk. Po jednej jego stronie widniała twarz klauna, nieudolnie namalowana cytrynową farbą. Na pierwszy rzut oka było widać, że napaćkało ją pozbawione talentu dziecko. German była chudą, nieładną i niezdarną dziewczynką. Z reguły nosiła chłopięce ogrodniczki i bawełniane koszulki, bo leżały na niej lepiej niż dziewczęce ubrania. Poza tym spod sukienek wychodziły jej długie, bardzo długie nogi. Ponieważ była szczupła, wysoka i ubierała się na zielono, jeden z klasowych przedrzeźniaczy nadał jej przydomek „modliszka”. Co najmniej raz dziennie ktoś tak na nią wołał, zawsze pogardliwym i drwiącym tonem. German była inteligentna, wrażliwa i nieśmiała– jedyne, o czym marzyła, to aby zniknąć lub się skurczyć. Skoro jednak ani jedno, ani drugie nie było możliwe, starała się jakoś dopasować do rówieśników, ignorując swój koszykarski wzrost, wielkie dłonie i stopy.

Jak wszystkie dziewczyny w trzeciej klasie German zakochała się w Rudim Pauli, złotowłosym księciu ze szkolnego podwórka. Rudi nie miał

sobie równych w podwórkowym bejsbolu, w głośnym bekaniu i opowiadaniu dowcipów. Był duszą towarzystwa. Jeszcze jako dzieciak bawił się światem jak kot myszą, a świat nie miał nic przeciw temu. Chłopcy chcieli zostać jego przyjaciółmi, dziewczęta zaś marzyły, aby podarował im walentynkę na czternastego lutego. Rzecz oczywista Rudi lekceważył German. Była pewna, że Rudi nie wie, jak ona ma na imię, chociaż byli w tej samej klasie. A jeśli wie, zna ją pewnie jako „modliszkę” i tyle.

Któregoś dnia nauczyciel kazał im przynieść do klasy kamień, który mieli pomalować na zajęciach plastycznych. German Przyszła z wielką bryłą kwarcu. Na lekcji zabrała się do malowania skomplikowanego obrazka, który szkicowała w głowie przez cały dzień. Gdy zajęcia się skończyły, poprosiła nauczyciela aby pozwolił jej dokończyć obrazek podczas przerwy.

Nauczyciel zgodził się; dzieciaki wydefilowały gęsiego z klasy. Rudi Paula celowo ociągał się z wyjściem. Kiedy przechodził obok ławki German, jego wciąż mokry od farbki kamyk gruchnął z impetem tuż przed nią. „Proszę. To dla ciebie” – powiedział Rudi i wybiegł z sali, zostawiając German samą. Do końca roku nie odezwał się do niej. Tamtego lata jego rodzina przeprowadziła się do innego miasta.

Kamyk Rudiego był ceglastoczerwony; z jednej strony wymalowano na nim cytrynowy bohomaz przedstawiający twarz klauna. German Landis uważała go za swój Kamień z Rosetty, bo tak wiele dla niej znaczył. Pokazała go jedynie bratu, który nie mógł się nadziwić, że wielki Rudi Paula podarował coś jego niedorobionej siostrze. Po latach napisał o tym piosenkę pod tytułem *Kamyk Rudiego*. Dorosła German odkryła z radością, iż jest to jedyny pozytywny utwór w repertuarze zespołu Kidney Failure.

Kamień Rudiego podniósł zakompleksioną dziewczynę na duchu. A nawet więcej – świadczył o tym, że tak naprawdę German jest dziewczyną, która podoba się Pauli i której daje się prezenty. Od razu stał się jej talizmanem: namacalnym dowodem, że wszystko jakoś się ułoży i że będzie szczęśliwa. Przez pierwszy rok zdarzało się, że zasypiała, trzymając go w rękę. Przechowywała go w specjalnym miejscu na regale z książkami. Kamyk nie opuszczał jej pokoju, ponieważ bała się go zgubić. Rodzice nie zostali wprawdzie dopuszczeni do tajemnicy czerwonego kamienia, ale wiedzieli, że nie wolno im go dotykać, i nie robili tego.

Choć mijał czas i jej życie zmieniało się na lepsze, German zerkała niekiedy na kamyk Rudiego i uśmiechała się, wspominając tę nadzwyczajną chwilę, w której Paula ofiarował jej nadzieję i aprobatę.

Cztery lata później zajrzała któregoś dnia na półkę i zobaczyła ze zdziwieniem, że kamień zniknął. Wypytała rodzinę, czy ktoś go widział. Nie.

Prawdę mówiąc, niespodziewana zguba nie bardzo ją zmartwiła. Dwunastoletnia German miała co innego w głowie. W siódmej klasie działo się tak wiele fascynujących rzeczy. Nowy intrygujący chłopak, który grał w szkolnej orkiestrze na klarncie, powiedział, że być może zadzwoni do niej kiedyś. Przestrzeń jej myśli zapełniały także sympatyczne koleżanki, które wówczas poznała. W istocie czerwony kamień stał się teraz symbolem niezguły, do której German nie bardzo chciała się przyznać. Nie wypierała się osoby, która kiedyś go hołubiła i której był on potrzebny, ale wiedziała, że od tamtej pory się zmieniła; nie była już dziewczynką w głupim kapelusiku ze starej fotografii. Gdy kamyk znikł z jej życia, zrobiło jej się

tylko trochę smutno. Jeszcze mniej zastanawiała się nad tym, gdzie mógł się zawieruszyć.

Dwadzieścia dwa lata później wyjęła go z ręki Danielle Voyles i podniosła do oczu, żeby mu się przyjrzeć. Tak, to on. Nie było wątpliwości. Ponownie miała w ręce kamyczek podarowany jej przez Rudiego.

– Czy to coś znaczy?– spytała Danielle.

– Tak, bardzo dużo. Ten człowiek dał go pani?

Danielle przytaknęła; miała napięty, nieodgadniony wyraz twarzy.

– Co powiedział?

– Chce się dowiedzieć, gdzie jest pani chłopak.

German wpadła w złość, mimo że trzymała w ręce swój talizman.

– Naprawdę? No więc nie wiem, gdzie on jest, a poza tym to nie mój chłopak. I to wszystko? Dał pani ten kamień i powiedział, że chce się zobaczyć z moim chłopakiem?

– Nie, to nie wszystko. Oświadczył, że ma waszego psa i że go zabije. Potem zabije mnie i w końcu panią, jeśli mu pani nie powie. Dodał, że poznaliście się w pizzerii, gdzie miała pani okazję się przekonać, do czego jest zdolny.

Pilota zbudził trzask zamykanych drzwi. Zwykły, normalny odgłos; nikt nie próbował go zagłuszyć ani wślizgnąć się cichaczem do mieszkania. Pies nie ruszył się z wygodnego legowiska. Obserwował drzwi do salonu, czekając na wejście Bena Goulda. Upłynęła dłuższa chwila. Niewykluczone, że mężczyzna poszedł najpierw do toalety. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Pies nie mógł nie zauważyć, że ludzie udają się do toalety wiele razy dziennie. Nie mógł także nie zauważyć faktu, że każda siedziba, którą dzielił z ludźmi, miała wydzielony cały pokój, gdzie opróżniali swoje ciała. Pies

korzystał ze swojej „toalety” gdziekolwiek i nie zwracał sobie tym głowy, jeśli trzeba było iść, to szedł. Psy pozwalały się ułożyć tylko z powodu tej wymiany– ty dajesz mi jedzenie i dach nad głową, głaszcysz mnie milion razy, a ja pilnuję się, żeby nie zmoczyć twoich podłóg i ścian. Nie ma lepszego układu.

– Pilot? Gdzie jesteś?

Głos wołającego przypominał Goulda. Pilot, który dopiero co się obudził, sądził, że to Ben.

– Tutaj. W salonie.

– W salonie? Okej, znajdę cię.

Dziwne słowa: przecież mężczyzna był we własnym domu. Dlaczego miałby znajdować salon? Pilot zamrugał. Nabrał czujności, jego zmysły wyostrzyły się w oczekiwaniu. Na korytarzu zapaliło się światło. Po kilku sekundach w drzwiach salonu odcięła się sylwetka mężczyzny. Pies czuł teraz jego zapach; nie należał on do Bena Goulda.

– Pilot? Jesteś tu?

Sierść zjeżyła mu się na grzbiecie.

– Kim pan jest?

– A tu się chowasz!– padła miła, przyjazna odpowiedź. Pokój zalało światło i Pilot pierwszy raz zobaczył Stewarta Parrisha. Mężczyzna stał uśmiechnięty, trzymając się pod boki.

– Cześć.

Skąd obcy wie, że pies rozumie język ludzi i mówi nim? Jak trafił do tego mieszkania? Skąd zna imię Pilota?

Uśmiechając się, Parrish wszedł do salonu. Pilot uniósł głowę i wciągnął badawczo powietrze. Mężczyzna pachniał ulicą. Ale czuć było od

niego także ciasne, zatechłe klitki i trzymane w kartonach ubrania. Cuchnął tanim jedzeniem: ziemniakami, chlebem, tuszonką, słodkimi napojami i... Była tam jeszcze jakaś woń, której Pilot nie umiał zidentyfikować. Tajemniczy, niepowtarzalny zapach, igrający z psim zmysłem powonienia.

– Rad jestem, że mogę cię wreszcie poznać.

– Skąd pan mnie zna?

– O, wprowadzono mnie w ogólne zarysy– odparł skwapliwie Parrish.– Dowiedziałem się sporo na twój temat.

Żaden się nie odzywał. Pilot mierzył mężczyznę wzrokiem. Parrish wydawał się zadowolony z milczenia, czekając na następne pytanie psa. Miał na sobie prążkowany garnitur i pomarańczową koszulę. Ludzie mylą się, sądząc, że psy nie postrzegają barw. Widzą je, tyle że odbierane przez nie kolory są mniej intensywne, bardziej rozmyte. I tak na przykład fosforujący pomarańcz koszuli Parrisha miał dla Pilota odcień martwego jesiennego liścia.

Mężczyzna podszedł do ulubionego krzesła Bena Goulda i usadowił się na nim. Popatrzył na swoje spodnie i strzepnął z kolan pyłek, którego– o ile Pilot mógł to ocenić– tam nie było. Przyjrzał się pilnie wnętrzu, jak gdyby zapamiętywał szczegóły. Na jego wargach cały czas plątał się nikły uśmiezek. Najwyraźniej czuł się jak u siebie w domu.

– Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się czegoś mniejszego. Z tego, co dotąd widziałem, to całkiem duże mieszkanie.

Pilot czekał.

– Nazywam się Stewart Parrish. Mam za zadanie odszukać Benjaminą Goulda.

– Nie wiem, gdzie on jest, ale i tak nie może pan tam pójść. Parrish wychylił się w stronę Pilota i podparł łokcie na kolanach.

– Ależ mogę. Powiedz mi tylko, gdzie go szukać, a wyniosę się stąd. Widzisz, trochę mi się kiełbasi w głowie. Coś jakbym się obudził z twardej drzemki i musiał poskładać myśli do kupy. Wiem i jednocześnie nie wiem, co jest grane, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Trzeba mnie lekko pchnąć we właściwym kierunku– i już mnie tu nie ma.

– Park Sillicorn.– Pilot powiedział mężczyźnie prawdę, bo poza tą nazwą nie wiedział nic więcej. Nie miał pojęcia, gdzie jest park Sillicorn. Przypadkiem usłyszał, jak Ben wspomina o nim Ling, kiedy rozmawiali. Po chwili oboje zniknęli. Czy przenieśli się do tego parku? Kto wie? Czy ktoś w ogóle wie, gdzie to jest?

– Dziękuję. Do widzenia– rzucił prędko Parrish i również zniknął.

Dłuższy czas Pilot spoglądał na puste krzesło Bena, czując rosnący na sercu ciężar. Czy jest coś gorszego, niż wypaść z gry? Pies nie miał najmniejszej ochoty ruszać się stąd, ani do parku Sillicorn, ani nigdzie indziej. Nie to jednak popsuło mu humor. Był zły, ponieważ wszyscy– prócz niego– wędrowali tam bez najmniejszego wysiłku. Znikali w mgnieniu oka. Znowu czując się jak ostatni niechciany pies, zakała schroniska, Pilot tkwił bez ruchu na swoim legowisku, podczas gdy pozostali przenosili się do parku Sillicorn, jakby wychodzili do sąsiedniego pokoju.

pies wstał powoli i ruszył do kuchni, aby napić się wody. przechodząc obok krzesła swego pana, zatrzymał się i podniósł nogę. Mocz wystrzyknął i spłynął po nodze krzesła. Nie było tego dużo, ot, mała strużka. Mokry protest przeciwko wszystkim, którzy zniknęli w parku Sillicorn.

Gdy w niespełna pięć minut później wczłapał z powrotem do salonu, Parrish ponownie siedział na krześle Bena.

– Niespodzianka! Stęskniłeś się za mną?

– Zgubił się pan?– spytał Pilot, ale nie zerknął na mężczyznę. Wgramolił się do swojego koszyka, obszedł go dwa razy i umościł się, wzdychając z zadowoleniem.

– Skądże, byłem tam. Bardzo ładny park. Mnóstwo drzew. Niestety spóźniłem się: oni akurat wychodzili. Minęliśmy się dosłownie o sekundę. Czy nie wiesz, dokąd jeszcze mogli

się udać?

– Nie mam pojęcia.– Pilot zamknął oczy, mając nadzieję, że mężczyzna zrozumie aluzję i sobie pójdzie.

– Hmm. Wielka szkoda. Naprawdę nic ci nie świta?

– Nie.

– Pozwolisz, że zatrzymam się tutaj i zaczekam na nich? Będę spał na tym krześle.

Pilot otworzył oczy i posłał mężczyźnie jadowite spojrzenie. Jednak ludzie nie rozumieją jadowitych spojrzeń rzucanych im przez psy i także to spojrzenie spłynęło po Parrishu.

– Być może nie wróci dziś wieczorem. Może wróci dopiero za kilka dni. Myślę, że nie byłby zadowolony, gdyby siedział pan tu kilka dni.

– Zgadza się. Wobec tego proponuję ci umowę: zaczekam na niego do rana. Jak nie wróci, wyjdę stąd. Odpowiada ci to?

– Wszystko jedno.– Pilot zamknął oczy i natychmiast zapadł w sen. Po całym dniu biegania poczuł w kościach swój wiek; ogarnęło go znużenie. Przypuszczał, że Parrish zna kobietę– widmo, ponieważ w drodze do parku

Sillicorn rozplynał się w powietrzu dokładnie tak samo, jak wcześniej Ben i Ling. Tak czy inaczej, obcy chyba jakoś się z nimi skontaktuje. Ale teraz – pora spać.

Następnego dnia rano Parrish dotrzymał słowa: wstał i zebrał się do wyjścia, gdy tylko Pilot się zbudził.

– Idę. Nie będę ci się już narzucał.

– Czy mógłbym pana o coś prosić, zanim pan pójdzie? – odezwał się nieśmiało Pilot. – Nie wiem, kiedy oni wrócą, a muszę się wysikać. Czy wzięłby mnie pan na krótki spacer?

– Jasne, z radością! Masz smycz?

– Na korytarzu, koło drzwi.

– No to w drogę. Zostaniesz na dworze, jak długo będziesz chciał. Nie ma pośpiechu.

Parrish wpiął smycz do obroży Pilota i otworzył drzwi wejściowe.

– Ojej, nie pamiętam, kiedy ostatnio wyprowadzałem psa. Fajnie.

W trzydzieści sekund po tym, jak znaleźli się na zewnątrz, Pilot wyszarpnął smycz z ręki Parrisha i pobiegł chodnikiem najszybciej, jak potrafił. Pędził niemalże jak szczeniak, tak bardzo się bał. Myślał jedynie o tym, aby uciec od Stewarta Parrisha.

Długo czekał na obudzenie się mężczyzny. Za każdym razem, gdy śpiący poruszał się na krześle, Pilot błyskawicznie zamykał oczy. Nie chciał, by tamten odkrył, że on nie śpi i że go obserwuje. Nie chciał, aby Parrish czegokolwiek się domyślił. Ucieczka mogłaby się wtedy nie powieść, co teraz, gdy pies wiedział, kim jest ten człowiek, napawało go przerażeniem.

Około piątej rano Pilot na wpół ocknął się ze snu, żeby poprawić się na legowisku. W powietrzu snuła się woń siedzącego nieopodal Parrisha.

Wczorajszej nocy pies nie zdołał jej rozpoznać. Ale w tajemniczym stanie świadomości, między snem i czuwaniem, zmysły odbierają na innej, nieznanej fali.

One poznały tę woń. Pilot momentalnie otrząsnął się ze snu i zaalarmowany podniósł głowę, by chwilę później wolno, wolniutko opuścić ją z powrotem na łapy.

Psy widzą duchy. Widzą choroby płynące ulicami jak mgła. Potrafią dosłyszeć i zwietrzyć to, co niewyobrażalne. Jednak przyjmują to wszystko obojętnie, jako część świata, który na co dzień postrzegają. Podobnie ludzie nie wzdychają nad kwiatem ani nie myślą o owadzie, który wylądował im na nodze. Przechodzimy do porządku nad tym, co znamy, i żyjemy dalej. Ale wystarczy, że otworzymy butelkę zepsutego mleka, zaraz odwracamy się z obrzydzeniem, czując paskudny fetor. To nie zmysły kazały Pilotowi zrywać się do ucieczki, ale czysty instynkt przetrwania.

Życie i Śmierć nie idą w parze. Nie mogłyby z sobą zatańczyć, bo każde chciałoby prowadzić. Współistnieją ze sobą na tej zasadzie, że jedno zależy od drugiego. W istocie gardzą sobą nawzajem, tak jak noc gardzi dniem i na odwrót. Gdyby były bliźniakami, zadusiłyby się w kołysce. Każde pachnie w specyficzny sposób. Wszystko, co żyje, tchnie wonią ciepłą, organiczną, niestałą. Aromat śmierci jest zimny i niezmienny.

Stewart Parrish cuchnął oboma naraz. Klóciło się to ze wszystkim, czego Pilot nauczył się lub doświadczył w swoim życiu. Pies nie poznał tej woni, bo ona nie istniała, a raczej nie p o w i n n a istnieć – podobnie jak zimny ogień czy gorący lód. Nie można być jednocześnie żywym i martwym. A tak właśnie było ze Stewartem Parrishem. Pilot wiedział, że

każda istota, która roztacza woń życia i śmierci, to potencjalnie największe zagrożenie, z jakim kiedykolwiek się zetknął.

No i zaczął uciekać. Gnał, ile sił w nogach. Biegając, myślał jedynie o tym, aby biec jeszcze szybciej. Po pokonaniu połowy ulicy chciał się odwrócić i sprawdzić, czy mężczyzna ruszył zanim w pogoń, ale wiedział, że nie należy tego robić. Oddalić się. Kto wie, jak szybko porusza się tamten, gdy chce cię dopaść.

Nagły skok psa i jego wariackie susy kompletnie zaskoczyły Parrisha, który kręcąc w rozbawieniu głową, usiadł na frontowym stopniu przed budynkiem. Patrzył na biegnącego Pilota, na wlokącą się za nim skórzaną smycz, dopóki zwierzak nie zniknął mu z oczu. Wtedy wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyłowił stamtąd całkiem niezłe cygaro. Oszczędzał je na chwilę ciszy, kiedy będzie mógł usiąść wygodnie, odprężyć się i zapalić w spokoju. Teraz albo nigdy – nie musi już iść z psem na spacer. Wypali sobie cygaro, zrelaksuje się, a potem pójdzie do mieszkania Danielle Voyles, kilka przecznic dalej.

Honduraskie cygaro miało lekko odpychającą słodycz tytoniu, który pierwotnie uprawiano na Kubie, a następnie przeszczepiono do innego klimatu. Podobnie było z Parrishem: przeniesiony na nowy grunt przypominał dawnego siebie, ale nie był nim do końca. W rezultacie cygaro było dobre, ale nie wspaniałe. Ja też jestem dobry, ale nie wspaniały, pomyślał Parrish i parsknął śmiechem.

Pół godziny później zaciągnął się rozkosznie i odchyliwszy głowę do tyłu, wypuścił z siebie ostatni haust dymu. Ciężka szara chmura była tak gęsta, że zawisła nieruchomo nad jego głową. Nie dbając o to, czy

ktokolwiek go widzi, Stewart Parrish wstąpił w tę chmurę cygarowego dymu i zniknął po raz wtóry.

Pojawił się w sypialni dwunastoletniej German Landis. Na szczęście pokój był pusty, dzięki czemu mógł z marszu przystąpić do poszukiwań i nie martwić się zbędnymi szczegółami w rodzaju: „Co pan robi w mojej sypialni?”

Chodził i podnosił różne przedmioty; chwilę ważył je w dłoni, jakby się zastanawiał nad zakupem owoców, po czym odkładał je uważnie na to samo miejsce. Od czasu do czasu mruzczał "Hmm" albo "Nie", ale większość poszukiwań upłynęła w milczeniu. Lalki, piórniki, zegarek. Brał je do ręki, przyglądał im się bacznie, odkładał z powrotem. W końcu zobaczył leżący na regale czerwony kamień. Zdjął go z półki. Co tu robi tak zwyczajna rzecz? Trzymał go w ręku może ze dwie sekundy, gdy na jego twarzy pojawił się uśmiech. „To jest to”, powiedział. Włożył kamyk do kieszeni i wyszedł z sypialni. Teraz musiał odnaleźć Danielle.

– Gdzie jest ten mężczyzna?– spytała German.

– W mieszkaniu pani chłopaka– odpowiedziała Danielle Voyles.

– A nie tutaj? Nie czeka na panią przed sklepem?

Danielle pokręciła głową.

– Powiedział, że zaczeka na nas w domu pani chłopaka.

Dalsze słowa Danielle przerwał komunikat nadany przez system nagłośnienia supermarketu. Coca– colę sprzedawano dzisiaj w siódmej alejce. Uzupełnić zapasy! Podczas gdy powtarzano tę wiadomość, obie kobiety patrzyły na siebie milcząco.

German spojrzała na leżący na jej otwartej dłoni czerwony kamień. Jak ten włóczęga go znalazł? Skąd wiedział, ile ten kamyk dla niej znaczył? Jaką rolę odgrywała w tym wszystkim Danielle Voyles?

– Chyba powinniśmy pójść na policję. Nie wiem, co robić.

– Czy pani wie, gdzie jest pani chłopak?

– Nie. Zerwaliśmy ze sobą. Widziałam go wczoraj, ale krótko, prawie nie rozmawialiśmy.– German korciło, aby jej powiedzieć, że widziała Bena w jej mieszkaniu, podczas gdy ona udawała, że go nie widzi. Mina Danielle sprawiła jednak, że trzymała język za zębami.

Skierowały się w stronę wyjścia.

Danielle przystanęła i chwyciła German za rękaw, zmuszając ją także do zatrzymania się.

– Ten mężczyzna powiedział coś jeszcze. Zapytałam go, czemu uwziął się akurat na mnie. Przecież nie znam pani i nigdy nie widziałam pani chłopaka. Odparł, że oboje powinniśmy umrzeć, ale tak się nie stało. Jak pani wie, ja miałam wypadek. A co się stało pani chłopakowi?

– Nic– odrzekła German.– Kiedyś zginęła jego dziewczyna, ale Ben? Nie.

Nie uszły dalej niż kilkanaście kroków, gdy German zatrzymała się ponownie.

– Upadł.– Mówiła wolno, jakby zbierała rozproszone myśli.– Upadł i doznał poważnego urazu głowy. Zaraz po tym, jak się poznaliśmy. Zabrano go do szpitala. Miał wewnętrzny wylew, o, tutaj.– Przyłożyła palec do skroni, pokazując Danielle.– Był w stanie krytycznym. Przez kilka dni walczył o życie. Ale nie umarł.

Gdy nadeszły kobiety, Stewart Parrish siedział dokładnie na tym samym stopniu przed budynkiem Bena Goulda. Podobało mu się tutaj. Widział całą ulicę i mógł obserwować, co się dzieje na osiedlu. Pogawędził ze starszym panem z Czarnogóry, który przyjechał w odwiedziny do wnuków. Usłyszawszy, skąd staruszek się wywodzi, Parrish przeszedł na albański, czym sprawił mu wielką frajdę. Potem pogadał z krągłą nastolatką w czerwonym dresie idącą na zajęcia z aerobiku. Wszyscy, z którymi rozmawiał, byli otwarci i przyjaźnie nastawieni. Nawet wobec kogoś takiego jak Stewart Parrish, komu, jak widać, nie wiodło się najlepiej. To było miłe. Podobało mu się, że ci ludzie nie osądzają go powierzchownie.

Nie podnosząc się ze schodów, zapalił następne cygaro, gdy z budynku wyszedł gospodarz i zapytał Parrisha, co tu robi.

Stewart wyjaśnił, że czeka na powrót Bena Goulda albo jego dziewczyny, German. Jest ich starym przyjacielem ze szkoły i spodziewa się, że zjawią się lada moment. Jego jowialny, serdeczny sposób bycia uspokoił gospodarza, który wrócił do siebie, zostawiając Parrisha w spokoju. Ranek pięknie się ułożył. Nie było żadnych problemów z Danielle Voyles. W pięć minut po tym, jak się spotkali, drżała ze strachu niczym osika. Nie trzeba jej było do niczego namawiać. Ręce tak jej się trzęsły, że kamień Rudiego, który jej wręczył, wypadł jej z dłoni.

A oto i one: dwie eleganckie kobiety szły chodnikiem w to lekko zachmurzone przedpołudnie. German Landis była dużo wyższa, niż zapamiętał. Ale przecież odkąd ją zobaczył, minęło parę miesięcy, a poza tym nie był wtedy w pełni władz umysłowych. Jego umysł przypominał kubek na śmieci pełen fragmentów i odpadków. Gdy kobiety zbliżyły się doń

na kilka kroków, wstał i równocześnie poruszył głową w geście przypominającym ukłon.

– Dzień dobry.

Kobiety nie odpowiedziały. Wszyscy troje byli świadomi, kto tu rozdaje karty.

– Danielle dała pani kamień? German skinęła głową.

W pierwszym odruchu chciał je zaprosić, by przysiadły się do niego na stopniu. Wiedział jednak, że się nie zgodzą, mając mu za złe sposób, w jaki je tu sprowadził. Dobra, walimy prosto z mostu.

– Chciałbym porozmawiać z pani chłopakiem, panno Landis.

– Nie wiem, gdzie on jest. Nie jesteśmy już ze sobą.

Włóczęga nie krył zdziwienia.

– Rozstaliście się?

– Tak.

– Ho– ho, to gruba sprawa. Niemniej proszę mi powiedzieć, gdzie on jest.

Mimo strachu German skrzywiła się na moment w skurczu

– Mówiłam, że nie wiem, gdzie on jest.

Parrish poskrobał się po podbródku i spojrzał gdzieś nad jej ramieniem.

– To mi nie wystarczy.

– Gdzie Pilot?– spytała German, zaskakując samą siebie.

– Nic mu nie jest. Ale będzie, jeśli nie pomoże mi pani znaleźć Bena.

– Sprawdzał pan w jego mieszkaniu?– Wskazała na budynek.– W pracy? Wie pan, gdzie Ben pracuje?

– Tak. Nie ma go tam. Uniosła ręce w geście poddania.

– W takim razie nie umiem panu pomóc.

– Chcę pani coś pokazać.– Już wcześniej, widząc zbliżającą się kobiety, wyciągnął ten przedmiot z kieszeni. Teraz obrócił lewą dłoń i otworzył ją. German i Danielle zobaczyły leżący na niej zaostrzony kuchenny nóż.– Pamięta pani?– spytał.

German potwierdziła. Przypuszczała, że to ten sam, którym tamtej strasznej nocy ugodził klienta w restauracji. Odwróciła wzrok.

– Dobrze. Widzi pani ten srebrny motocykl zaparkowany na końcu ulicy? Tego nowego harleya V–Roda?

Obie popatrzyły w tamtą stronę, lecz motocykl stał tak daleko, że z początku go nie zauważyły.

– Celuję w jego przedni reflektor.– Machnął ręką, prawie od niechcenia, jakby strząsał coś z palców. Nóż przeciął powietrze jak strzała wystrzelona z łuku. Po paru sekundach– o wiele za wcześnie– rozległ się trzask osypującego się szkła.– Mam nadzieję, że facet wykupił polisę. Danielle, czy mogę prosić, żebyś przyniosła mi nóż? Powiesz nam, czy trafiłem w reflektor.

Danielle dotknęła blizny na skroni.

– Przepraszam, ale okropnie rozbolała mnie głowa.– Idź po mój nóż– powtórzył okrutnym tonem.– Jak wrócisz, to usiądziesz i odpoczniesz. German i ja mamy ze sobą do porozmawiania.– Parrish nawet nie spojrzał na Danielle, która zerknęła trwożliwie na German i oddaliła się. Parrish wskazał na stopień.

– Usiądź.– Gdy oboje siedzieli, zapytał.– Nie masz pojęcia, co się dzieje, prawda?

– Nie. Wiem tylko tyle, ile powiedziała mi Danielle.

– No właśnie. Po co masz wiedzieć? Pomóż mi tylko odszukać twojego chłopaka i będziesz wolna.

– Ale mówiłam już, że...

– Słyszałem, co mówiłaś, German. Nikt jednak nie zna Bena lepiej od ciebie. Powiedz mi, gdzie powinienem go szukać. Po to tu przyszedłem.

Zamyśliła się. Zastanawiała się długo, lecz nic nie przyszło jej do głowy.

– Jeżeli jest w mieście...

– Nie ma go. Wrócił do rodzinnego miasteczka.

Zdumiona podniosła głos.

– Co takiego?! Kiedy wyjechał? Parrish zlekceważył jej pytanie.

– Jak się nazywał jego najlepszy przyjaciel z wczesnej młodości? Chodzi mi o wczesne dzieciństwo, kiedy Ben miał cztery, pięć lat?

– Gina Kyte – odparła German bez wahania. Kiedy mieszkali razem, Ben często opowiadał jej o Ginie i ich wspólnych eskapadach. Nazywał ją swoją pierwszą miłością; mówił, że to najczystsze uczucie, jakie znał, które opierało się nie na fizyczności, ale na czystej adoracji. Kochał Ginę całym sercem. Budząc się każdego ranka, cieszył się, że jest na tej samej planecie co Gina.

– Gina, właśnie. Gdzie ona mieszkała?

– Przy Cinnamon Street. – German nie podejrzewała, że jej informacja ma jakiegokolwiek znaczenie.

Parrish uśmiechnął się wolno.

– Żartujesz.

– Nie. Gina Kyte mieszkała przy Cinnamon Street. Ben nieraz mi to mówił.

– Cudownie. Cóż za nazwa! A zatem Cinnamon Street. Dziękuję bardzo.

Ku jej zaskoczeniu, Parrish wyciągnął do niej rękę. Po momencie wahania uścisnęła ją.

German czekała na dalsze pytania, ale Parrish milczał. Popatrzyła na niego. Miał pogodny wyraz twarzy. Najwidoczniej samo gapienie się na ulicę sprawiało mu radość. W końcu German nie wytrzymała.

– Co się dzieje? Po co tu przyszedłeś? Czemu nas prześladujesz?– wyrzuciła z siebie.

– Kiedy Benjamin Gould poślizgnął się na ośnieżonej ulicy i uderzył głową w chodnik, powinien był umrzeć, a jednak żyje. Danielle Voyles została śmiertelnie ranna, gdy rozbił się samolot, ale ona również nie umarła. Są i inni ludzie: ostatnio zdarza się to coraz częściej. Ludzie nie umierają, chociaż powinni. Coś się zepsuło. Wysłano mnie, abym ustalił, o co chodzi– odpowiedział jej, nie odrywając wzroku od ulicy.

– Dźgając ludzi nożem? Grożąc im śmiercią? Kim jesteś? Skąd wiesz, kto powinien umrzeć, a kto nie? Kto cię wysłał?

– Porządek Naturalny. Wysłał mnie odwieczny ład wszechświata, German. On jest moim szefem.

– Dlaczego pchnąłeś nożem tego człowieka?– Pytała dalej, jakby nie chciała dopuścić do siebie jego odpowiedzi.

– Dlatego, że stał po złej stronie. Był jednym z łobuzów, którzy pozwalają na zmiany tam, gdzie nic nie powinno się zmieniać. Przysięgam ci, że to my jesteśmy dobrymi ludźmi. Powinnaś nam sprzyjać.

– Sprzyjać śmierci?– zdobyła się na ton sarkazmu. Parrich mówił nadal tym samym łagodnym głosem.

– Czy lubisz porządek? Czy jesteś porządna, German?

– Zazwyczaj tak– odparła zaskoczona. – Czy lubisz ból?

– Nie.

– Podoba ci się, kiedy panuje chaos albo kiedy życie wymyka ci się spod kontroli?

– Nie.– Co on wygaduje?

Danielle szła w ich stronę, trzymając w wyciągniętej ręce nóż Parrisha; nóż dyndał, zwisając z dwóch palców, jakby w ogóle nie chciała go dotykać. Tak naprawdę miała ochotę uciec, ale przecież włóczęga znał jej adres.

– Cieszysz się, że żyjesz?

German odsunęła się, sądząc, że Parrish chce ją skrzywdzić.

– Że żyję? Tak, cieszę się.

Wydał wargi.

– Dlaczego? Życie jest chaotyczne, pełno w nim bólu i cierpienia. Nie można na nim polegać. Nic nie trwa w nim raz na zawsze, nic się nie utrzymuje, niczemu nie można zaufać w stu procentach. Gdyby jakiś człowiek miał wszystkie te cechy, nie chciałabyś go znać.– Mówił spokojnie i rozsądnie. Nie starał się jej przekonywać na siłę. Stawiał tezy i argumentował.

Rozumiejąc teraz, o co mu chodzi, German zaproponowała.

– Wiem, o czym mówisz: Zygmunt Freud nazwał to popędem śmierci. Uczyłam się o tym w college'u.– Uniosła palec wskazujący, jakby przygotowywała się do zacytowania wyuczonej na egzamin formułki.– „Śmierć oznacza ustanie bólu, koniec chaosu, koniec kontroli ze strony rzeczy większych i potężniejszych od ciebie, czy to będą ludzie, czy przeznaczenie, czy Bóg. Nic nie jest pewniejsze niż śmierć, jeśli bowiem

jesteś martwy dziś, będziesz martwy także jutro. Ludzkość pragnie trwałości, a nie przemijania. Śmierć jest trwała".

– Właśnie!– ucieszył się Parrish. Jej wiedza zrobiła na nim wrażenie. Nie będzie musiał tracić czasu na tłumaczenia. Jednak następna uwaga German zachwiała jego pewnością siebie.

– Wiesz, co powiedział nam profesor, gdy objaśnił teorię Freuda? Zacytował pisarza E. M. Forstera: „Śmierć niszczy człowieka, lecz idea śmierci go zbawia".

Danielle podeszła do nich i zamierzała się odezwać, ale wyczuła wiszące w powietrzu napięcie.

– Bardzo poetyckie, ale co to ma znaczyć?– Tym razem w głosie Parrisha zadźwięczała ironia.

– Dla mnie oznacza to, że życie staje się tym piękniejsze i cenniejsze, im mocniej uświadamiamy sobie, że umrzemy. Z reguły dociera to do nas, gdy lekarz albo ktoś inny informuje nas, że jesteśmy śmiertelnie chorzy. Wtedy jest za późno, bo czujemy już tylko strach.

Danielle dodała z nagłym ożywieniem:

– To jakbyś płynął statkiem pasażerskim po oceanie i cały czas siedział w kabinie. Dopiero pod koniec wycieczki, kiedy statek zawija do portu, wychodzisz na pokład i widzisz, jak tam pięknie.– Umilkła zakłopotana swoim wybuchem emocji. Od wypadku nieustannie czytała i rozmyślała na ten temat.

– Guzik prawda– uciał obcesowo Parrish.– Nie wiecie, o czym mówicie.– Zszedł na chodnik i łypnął złośliwie najpierw na jedną kobietę, a potem na drugą.– Nie macie pojęcia, że mało brakowało, abym przed

chwilą...– Urwał i podrapał się w policzek.– Pies. Prawie zapomniałem o psie.– Podniósł lewą rękę i zacisnął ją w pięść.

Dwadzieścia pięć kwartałów dalej Pilot zamarł w pół kroku. Truchtał rażno chodnikiem, chcąc jak najdalej zostawić za sobą półmartwego człowieka. Choć bolące nogi i stawy hamowały nieco tempo jego ucieczki, poruszał się całkiem zwawo– aż nagle stanął jak wryty.

Jakaś siła poderwała go na sześć metrów w górę i rzuciła w kierunku, z którego przybiegł. Choć zwierzak próbował się bronić, nie był w stanie się jej przeciwstawić. Był pewien, że to koniec.

Leciał w stronę budynku Bena Goulda z taką szybkością, że znalazł się tam w niecałe siedem minut. Po drodze stopniowo wytracał wysokość, tak iż w momencie, gdy dotarł do schodów, na których siedziała German, jego nogi znów zetknęły się z chodnikiem. Zatrzymawszy się, patrzył przerażony wokół siebie. Zobaczył dwie kobiety, a potem zwróconego tyłem Stewarta Parrisha odchodzącego ulicą.

7.

Im dalej Ben i Ling zapuszczali się w las, tym robiło się ciemniej i posepniej. Wiszące na drzewie ubranie, które zobaczyli chwilę wcześniej, do cna popsuło im humory. Noc nadciągnęła wraz ze swoją świtą. Otaczające ich drzewa pochłaniały mrok, jak asfalt pochłania letni upał. Nocne odgłosy i zapachy wyraźnie różnią się od dziennych. Mężczyzna i kobieta szli gęsiego poboczem drogi, która biegła przez las. Tylko samochody jadące w jedną lub drugą stronę rzucały czasem snopy światła.

– Daleko jeszcze?– zapytała Ling.

– Do szkoły? Nie pamiętam już. Minał szmat czasu.– Idący na przodzie Ben mówił przez ramię do Ling, która kroczyła zaraz za nim. Zjawie ani trochę nie było to w smak. Wąskie pobocze nie pozwalało na bezpieczne przejście. Oboje byli ubrani w ciemną odzież, więc któryś z kierowców mógł ich nie dostrzec. Ling zdążyła trzy razy powtórzyć, że nie uważa tej pieszej wycieczki za szczęśliwy pomysł. W końcu Ben nie powstrzymał się od pytania: „Boisz się, że ktoś cię przejedzie i zabije czy co?”

To on uparł się, aby poszli tędy do szkoły, choć dawno już zapadła noc i przy drodze nie było latarni.

– Dlaczego musimy tam iść?– spytała Ling, gdy Ben uszedł paręnaście kroków.

– Nie wiem– przyznał.– Ale czuję, że tak trzeba. Kobieta– widmo wzięła się pod boki i nabrała powietrza.

– Trzeba?

– Owszem. Nie idź, jeśli nie chcesz.

– To nie tak, Ben: ja muszę iść, nawet jeśli nie chcę. Nie rozumiesz. Zatrzymał się.

– Nie rozumiem, bo milczysz jak zaklęta, Ling. Lecę na oślep. Nie mówisz tego, co wiesz, więc muszę zdać się na własny instynkt. Nie mam wyboru. W tej chwili instynkt każe mi przejść przez ten las i pójść do szkoły. Więc to zamierzam zrobić.

Po piętnastu minutach, gdy oboje mieli wrażenie, że znaleźli się w środku pierwotnego lasu, Ben skręcił w lewo i ruszył w głąb. Ling ucieszyła się, że schodzą z niebezpiecznej dróżki, ale dlaczego tutaj?

– Dokąd idziesz?– zwróciła się do jego pleców. Nie odpowiedział; szedł prosto przed siebie. Zjawą ruszyła za nim.

– Ben?

Cisza. Zrównała się z nim i spróbowała go skłonić, żeby na nią spojrzeć. Nic z tego.

– Jesteś nieuczciwy, Ben. Nie mogę ci powiedzieć tego, co chcesz wiedzieć, bo mi nie wolno. Zakazali mi tego i kropka. Gdyby to ode mnie zależało, wszystko bym ci wyśpiewała, chociaż w porównaniu z tym, co się dzieje ostatnio, nie ma tego za wiele. Uwierz mi, Ben.

Nadal patrzył na wprost.

– Jacy oni? Kto ci zakazał?

– Nie mogę ci powiedzieć – odrzekła półgłosem.– Świetnie.– Wysunął się naprzód. Duch nie miał wyboru – musiał snuć się o kilka kroków za nim.

Wokół robiło się coraz ciemniej. Szum samochodów stawał się coraz cichszy, aż wreszcie zamienił się w miękki szmer, jakby droga została wiele mil za nimi. Nieprzywykła do chodzenia w ciemnościach, szczególnie po

lesie pełnym konarów i występów, Ling okropnie się męczyła. Za to Ben poruszał się

W pewnej chwili wpadła na leżący wykrot, zatoczyła się i obila sobie boleśnie lewą łydkę.

– Cholera! Do bani!– zawyła Ling, przyswajając sobie następne ludzkie uczucie, z którego chętnie by zrezygnowała. Milcząc, maszerowali dalej. Mimo że Ben wciąż prowadził, Ling nie przypuszczała, aby wiedział, dokąd lezie w tych egipskich ciemnościach.

– Jadasz?– odezwał się.

– Co?– Czują pulsujący ból w łydce. Na próżno usiłowała wypatrzeć jakąś drogę. Nie była pewna, czy dobrze go usłyszała. Pytanie padło ni stąd, ni zowąd.– Co masz na myśli?

– Czy się żywisz? Czy duchy coś jedzą?

– No pewnie ,że jemy!– prychnęła.

– Martwe dusze i nietoperze?

– Bardzo śmieszne. Wczoraj wieczorem zjadłam smaczną zupę z dyni. Przepis wzięłam z książki kucharskiej Nigela Slatera.

– Czytasz Nigela Slatera?

– Jestem duchem, Ben, a nie analfabetką. Tak się składa, że ja też lubię gotować, i nieraz korzystałam z twojej biblioteczki. Masz nader eklektyczny gust: ładna różnorodność. Może tylko przydałoby ci się więcej książek o kuchni dalekowschodniej.

– Ach tak?

– Tak uważam.

– Niby której dalekowschodniej kuchni?– W jego głosie pobrzmiwał ton oburzenia. Mimo to zwolnił trochę, aby mogła go dogonić.

– Na przykład tajskiej. Nie zauważyłam tajskich książek kucharskich w twojej bibliotece.

Zachnął się.

– Uwielbiam tajskie jedzenie, ale gdzie miałbym dostać odpowiedni gatunek chilli? W tych stronach go nie uświadczysz.

Po co kupować książkę kucharską z przepisami na potrawy, których nie da się ugotować?

Ich wzajemne relacje odrobinę się poprawiły. Słuchając uwag Ling na temat gotowania, Ben zdał sobie sprawę, że duch zna się na rzeczy, co stworzyło między nimi naturalną więź. Gdy napotykamy kogoś, kto podziela nasze fascynacje, osoba ta natychmiast staje się naszym amigo. Wałęsając się po ciemnym lesie, Ben i Ling rozmawiali o miedzianych patelniach, nożach santoku, tajskim chilli i Johnie Thornie.

– Thorne to jeden z moich mistrzów. Zjawa uśmiechnęła się.

– Wiem.

– Ling, kiedy zaczęłaś mnie śledzić?

– Prawie pół roku temu, — Bez oporu wyjawiała mu, jak do tego doszło: została poinformowana, że zbliża się jego zgon, i wysłana na ziemię, żeby pomóc mu w etapie przejściowym. Miała uporządkować jego sprawy po śmierci, na tym polegało zadanie duchów. Tyle że Benjamin Gould nie umarł.

– Poinformowana przez kogo, Ling? Kto udzielił ci informacji na mój temat?

– Nie mogę powiedzieć. Przykro mi.

– W porządku. Mów dalej.

– Chwileczkę– słyszałeś coś?

Słyszał. Gdy oboje umilkli, w ich stronę napłynął cichy śpiew dziecięcych głosików. Co dzieci robiły w lesie o tej porze? Było to dziwne i intrygujące.

Nie wiedząc, czego się spodziewać, ruszyli w stronę, z której dobiegał śpiew. Pomyśleli jednocześnie, że to może być pułapka, lecz żadne się nie odezwało.

Michale, przewieź nas na brzeg, alleluja. Michale, przewieź nas na brzeg, alleluja.

Słyszeli każde słowo znajomej jak poranek piosenki, które śpiewały dzieci.

– Co te dzieciaki tu robią?

– Śpiewają, zdaje się. W miarę jak głosy małych śpiewaków rosły w siłę, Ben i Ling mimowolnie przybliżyli się do siebie; jak gdyby ta bliskość miała ich uchronić przed nieznanym zagrożeniem.

W pobliżu trzasnęła sucha gałązka. Zatrzymali się, bo żadne z nich nie spowodowało hałasu. Coś poruszyło się w ciemnościach. Pojawił się jakiś biały kształt, jakby wychynął znikąd.

– Ben, to jest verz.

Obok nich stało jedno z białych stworzeń i przyglądało się im.

– Co robimy?

– "Michale, przewieź nas na brzeg, alleluja". Wtedy Ling zrozumiała.

– Stoi tu i pilnuje dzieci. Strzeże ich.– Spojrzała na Bena i skinęła głową, pewna, że ma rację.

– A więc wiesz, kim są te dzieciaki? Rozumiesz, dlaczego instynkt przywiódł mnie w to miejsce?– zapytał hardo. Było to retoryczne pytanie: wiedział, kim są te dzieci, równie dobrze jak Ling wiedziała, po co verz przy

nich waruje.– To ja tam śpiewam. Ja i Gina Kyte. Jej ojciec zabierał nas na nocne wycieczki do lasu. Był skautmistrzem. Przypomniałem to sobie. Pokazywał nam, jak się rozbija namiot i rozpala ogień. Kładł się spać wcześniej. My siedzieliśmy przy ognisku i śpiewaliśmy piosenki, dopóki nie zmorzył nas sen.

– Patrz, jest ich więcej.

Raptem, nie wiedzieć kiedy, zebrało się paręnaście verzów. Zjawiały się w okamgnieniu. Patrzyły na dwoje dorosłych, ale nie wyglądały groźnie.

– Myślisz, że możemy przejść?

– Tak. Gdyby chciały nam zrobić krzywdę, już by to uczyniły.

Ben miał słuszość: kiedy ruszyli, verze rozstąpiły się przed nimi. W oddali błysnął płomień ogniska. Milczeli. Ling nie spuszczała oka z białych stworzeń, nie całkiem pewna ich zamiarów. Pamiętała, jak skutecznie rozprawiły się ze Stewartem Parrishem.

Mimo słabego światła uwydatniły się ich indywidualne cechy. Niektóre były większe i pulchniejsze od innych. Część miała nieforemne, grubo ciosane łby, inne zaś były bardziej zaokrąglone. Żaden z verzów nie miał uszu, wszystkie za to spoglądały swoimi wielkimi, czujnymi ślepiami.

– Jak sądzisz, co zrobiły z Parrishem?– Ling zastanawiała się na głos.

– Z tym facetem na drzewie?

– Z tą kością na drzewie. Tak.

– Bo ja wiem. Jesteś duchem, powinnaś wiedzieć.

– Byłam oszczędna w słowach, bo nie chciałam cię straszyć, Ben. Ale uwierz mi, ten facet w pomarańczowej koszuli dysponował przerażającymi mocami. A jednak verze powstrzymały go na tyle skutecznie, że ulotnił się w powietrzu.

– Mówiłaś, że pilnują dzieciaków. Jestem jednym z nich, jako dorosły, a ty jesteś moim duchem, więc może nas też pilnują.

Na łączce było ich jeszcze więcej. Mały Ben i Gina Kyte siedzieli koło siebie przy niewielkim ognisku i śpiewali piosenkę. Ojca Giny nie było nigdzie widać. Verze siedziały albo leżały; niektóre zdawały się spać, zwinięte w kłębek jak grzeczne pieski.

– „Michale, przewieź nas na brzeg...”

Dorośli stali parę kroków za dziećmi i obserwowali tę scenę, usiłując zrozumieć jej sens. Ben naliczył dziewięć verzów; był ciekaw, ile jeszcze kryje się w ciemności. Ling zastanawiała się, czy fakt, że jest ich tutaj tak wiele, oznacza poważne niebezpieczeństwo.

Zjawa nie miała niestety żadnego pomysłu, co dalej robić. Wiedziała, że ma moce, które mogą pomóc Benowi. Cieszyła się, że udało im się uniknąć konfrontacji z Parrishem. Poza tym jednak czuła się zagubiona jak dziecko.

Pogrążona w ponurych rozmyślaniach, nie usłyszała pytania, jakie zadał im chłopiec.

– Odpowiedz mu.– Ben musiał pacnąć ją w rękę, żeby zwrócić jej uwagę.

– O co zapytał?

– Czy lubisz pianki.

– Co takiego?– Ling całkiem się zacięła. Dorosły Ben odpowiedział zamiast niej:

– Tak, bardzo je lubimy.

– Chcecie piec je na ogniu razem z nami?

– Jasne.

Dzieci przyjęły obecność dorosłych bez zdziwienia. Po prostu przestały śpiewać i odwróciły się do nich.

– Gina lubi mocno spieczzone. Ale ja nie. Spalenizna ma ohydny smak.

– Nawet ich nie dotykasz do ognia. Pewnie są zimne w środku.– Gina patrzyła, jak jej cukierek zapala się, puchnie i czernieje z jednej strony. Prędko cofnęła patyk i zdmuchnęła płomień.

Ben i Ling podeszli do siedzących przy ognisku dzieci. Kątem oka popatrywali na verze; zwierzaki nie poruszały się.

– Jak chcecie, możecie spać z nami. Tutaj nic wam nie grozi. Ale będziecie musieli spać na ziemi, bo nie zmieścicie się w namiocie.– Chłopiec nawet na nich nie spojrział.

– Skąd wiesz? Skąd wiesz, że nic nam nie grozi? Zajadając swój przysmak, mały Ben zignorował pytanie mężczyzny. Gina ostrożnie odrywała małe kęski od swego przypalonego cukierka.

Po chwili dziewczynka sięgnęła do dużej torebki, która leżała na jej kolanach. Wyciągnęła stamtąd różową piankę i nadziała ją na ostro zakończony patyk. Podała go Ling i odsunęła się, aby zrobić jej miejsce przy ognisku. Dzieci nie ustąpiły miejsca dorosłemu Benowi. Czuł się niewyraźnie, stojąc tak nad nimi.

W końcu chłopiec znów się odezwał:– Ja nie wiem. Ty wiesz.

Ling utkwiała w nim spojrzenie. Gina wyciągnęła z paczki i zjadła następny cukierek, gapiąc się w ognisko.– Co wiem?

– Że nic ci nie grozi, jeśli spędzisz tu noc.

– Skąd niby mam wiedzieć?– Mężczyzna nachmurzył się.

– Stąd, że ja wiem, a ja jestem tobą.– Chłopiec wstał i popatrzył na niego.– To wszystko wzięło się z ciebie – my, ten las, ten ogień.

– A verze? Ja ich nie stworzyłem.

– One mają chronić twoją pamięć, nic więcej– wyjaśnił chłopiec.

Mężczyzna spojrzał błagalnie na zjawę, ale ta pokręciła odmownie głową. Ben nie domyślał się, jak trudno jej nad sobą zapanować. To była decydująca chwila. Ling nie chciała mu sugerować niczego, co mogłoby na niego wpłynąć.

– Mówiłaś, że nie będę w stanie porozmawiać z tymi dziećmi– oznajmił, jakby czytał w jej myślach.– Że będę mógł im się jedynie przyglądać.

Siedzący przy ognisku duch wyprostował się odrobinę.

– Co słychać u Mary Helen Cline?– Dorosły Ben zwrócił się do chłopca.

– Nienawidzę Mary Helen Cline– oznajmiła Gina, nie podnosząc głowy.

– Bo gra lepiej od ciebie w bejsbol– sprowokował chłopiec.

– Nie. Bo jest głupia.

– ...bejsbol.

– ...głupia

– ...besjbol.

Mężczyzna wpadł im w słowo:

– Nie odpowiedziałeś mi, co u Mary Helen, Ben.

– Nie wiem, co u niej. Czemu mnie pytasz?– Chłopiec zmarkotniał.

– Nie kłam. Doskonale wiesz, dlaczego cię pytam.

Duży Ben Gould patrzył na małego – pierwszy z uśmiechem na twarzy, drugi z cierpką miną. Ben podszedł do Ling i zasygnalizował gestem, żeby się podniosła.

– Pozwól ze mną na momencik, dobrze? Chcę ci coś powiedzieć.

Odeszli od ogniska i namiotu, akurat na tyle daleko, by dzieci nie mogły ich usłyszeć.

– Pamiętam tę noc, Ling. Przypomniałem ją sobie, jakby to było wczoraj, gdy zobaczyłem te cukierki na patykach. Rodzice Giny nie pozwalali nam ich jeść, bo psuły nam się od nich zęby. No wiesz, cukier. Ale Gina przemyciła raz torebkę pianek i smażyliśmy je na ogniu, kiedy jej ojciec poszedł spać. Tego dnia Mary Helen Cline pocałowała mnie na placu zabaw, kiedy graliśmy w besjbol.

Ling uśmiechnęła się.

– A więc?

– To wszystko należy do mnie, Ling. Mały mówił prawdę. To jest coś, co przeżyłem. Kilka miesięcy temu powinienem był umrzeć. Nie mam prawa rozmawiać ze swoim młodszym „ja”. Chłopiec powiedział, że verze mają tylko chronić moje wspomnienia. Że przypomina mi tylko o tym, co sam dobrze wiem. Rozumiesz?

Ling zaprzeczyła.

Ben odetchnął głęboko i skupił się na tym, co chce powiedzieć.

– Nie umarłem w godzinie mojej śmierci. Wysłali cię, abyś mnie zabrała– o tam.– Zadarł kciuk, wskazując na niebo.– Przyszłaś na czas, tyle że ja nie umarłem. Coś zbuntowało się we mnie: „Nie, nie jestem jeszcze gotowy. Sam zdecyduję, kiedy mam odejść: Ja. Nie bogowie. Nie Bóg, Śmierć ani nikt inny” To samo przydarzyło się zapewne Danielle Voyles. Gdy rozbił się samolot, powinna była umrzeć. W jej mózgu utkwiał odłamek metalowego długopisu. Mimo to nie umarła. Oglądałem świat jej oczami, ponieważ oboje przeżyliśmy własną śmierć... Muszę odgrzebać w

pamięci jak najwięcej wspomnień. Tam kryje się odpowiedź na pytanie, dlaczego wciąż żyję.– Ben mówił mocnym, wyrażającym pewność siebie głosem. Wskazał na chłopca.– Przed momentem z nim rozmawiałem. Nawiązałem dialog z własną przeszłością, Ling. Zaczynam sobie przypominać szczegóły. I o to chodzi– żeby moje wspomnienia odżyły na tyle, abym zdołał jakoś się w tym połapać.

– Ale kto nasłał na ciebie Parrisha, Ben?

– Na razie nie wiem. Ktoś, kto chce mnie ukatrupić i uciszyć. Ktoś, kto boi się tego, co się ze mną stało. Kto chce, aby wszystko zostało po staremu. Czyli tak jak wtedy, gdy wystarczyło powiedzieć „umrzyj” i umierałeś. Coś jednak się zmieniło. Danielle i ja jesteśmy żywym świadectwem tej zmiany. Ludźmi wskrzeszonymi z martwych. Łazarzami.– Urwał na chwilę.– Im więcej sobie przypomnę, tym bezpieczniej będę się czuł. Jestem tego pewny. Jak tylko zobaczyłem te dzieciaki przypiekające cukierki na ogniu, przypomniałem sobie tę noc, kiedy obozowaliśmy tutaj i piekliśmy słodczyce w tajemnicy przed panem Kyte'em. Następnie przypomniałem sobie, że tego samego dnia Mary Helen Cline pocałowała mnie na placu zabaw. Zapytałem o nią chłopca. Wił się jak piskorz, widziałaś. Tam stoję ja– ośmioletni. Gadałem z sobą samym. Mówiłaś, że to niemożliwe, Ling, a jednak...

– Zgoda, gadałeś. Teraz będziesz musiał ustalić, kto jest twoim wrogiem. A potem znaleźć sposób, aby nas stąd wyciągnąć i wrócić do twojego czasu.

Ben potarł się energicznie rękoma po czubku głowy.

– To wszystko jest moim czasem, Ling. Muszę znaleźć sposób, żeby wrócić do właściwej chwili. Kto wie, może ten chłopiec mi w tym pomoże.

8.

Co się stało pani psu?

– Nie rozumiem?

– Proszę spojrzeć na niego. Siedzi tak od kilku minut. Pies warował przy drzwiach wejściowych i gapił się na nie w napięciu. Jak gdyby chciał skoczyć na kogoś, kto przed sekundą zadzwonił, by wejść do środka.

German Landis i Danielle Voyles siedziały na kanapie w salonie Bena Goulda i dyskutowały na temat Parrisha.

– Pilot zachowuje się tak czasami, kiedy wie, że Ben wraca do domu.– Wypowiedziane w czasie teraźniejszym zdanie zabrzmiało dziwnie w jej uszach. Był to jeden z tych miłych drobiazgów wypełniających życie z Benem, o których German zapomniała. Wspomnienie sprawiło, że poczuła się jeszcze bardziej samotna niż przedtem.

– A wraca?

– Proszę?

– Czy pani zdaniem Ben wróci wkrótce do domu?

– No cóż, nie wiem. Nie mam pojęcia.

Odezwał się dzwonek u drzwi. Pilot stęzał w bezruchu i tylko trzepał ogonem o parkiet.

German wstała z kanapy i poszła otworzyć. Przed drzwiami stał mały chłopiec. Przesunął po niej wzrokiem od stóp do głów, aż zatrzymał się na jej twarzy. Odślonił zęby w szerokim uśmiechu. Coś go rozbawiło, pomyślała German. Jego twarz wydawała jej się znajoma, jakby już gdzieś ją widziała.

– Witam. W czym mogę pomóc?

Zamiast odpowiedzieć; chłopiec stwierdził z podziwem:

– Ojej, mówił, że pani jest wysoka, ale nie tak.

– Owszem. Kto ci powiedział, że jestem wysoka?

– Pani ma na imię German, prawda?

– Nie inaczej.

– Więc przyszedłem, żeby pani pomóc.

– Super.– Uśmiechnęła się. Czy to jakiś skaut, który chce jej sprzedać ciasteczka? Czy skauci sprzedają ciasteczka? Był za mały, żeby chodzić po domach i nawracać na swoją wiarę. Chce jej pomóc? Ten chłopczyk był parę lat młodszy od jej uczniów. Może dlatego wyglądał znajomo, że kojarzył jej się z uczniami.

– Cześć– zawołała do niego Danielle stojąca po drugiej stronie salonu.

Uśmiechnął się, lecz patrzył na psa, który stał koło German i wpatrywał się w niego z wytężeniem. Pilot nie należał do tych puszczałskich psów, które rzucają się na pierwszego lepszego gościa, jaki zjawi się w ich mieszkaniu, i zasypują go soczystymi całusami. Co to, to nie. Pilot był obserwatorem, mózgowcem. Starannie badał przybysza i dopiero po upewnieniu się, że ten jest w porządku, podchodził do niego, aby go powąchać lub stuknąć na powitanie głową.

Ten mały chłopiec nakazywał jednak szczególną ostrożność. Miał zapach Bena Goulda. Psy odczytują woń człowieka niczym odcisk palca. Jest ona swoista, niezmienna i nie do podrobienia. Możesz wylać na siebie butelkę wody kolońskiej, wykapać się cztery razy pod rząd, umrzeć... Nic to nie zmieni: mimo aromatycznego kamuflażu człowiek zachowuje swoją niepowtarzalną woń. Pies ani razu nie spotkał dwóch ludzi, którzy by mieli identyczny zapach.

– Czy to Pilot?

Zarówno German, jak i pies drgnęli na dźwięk tego imienia.

– Tak. Skąd wiesz, jak się wabi?

Chłopiec, ponownie lekceważąc jej pytanie, zwrócił się w głąb salonu.

– A pani nazywa się Danielle Voyles?

– Tak. Skąd wiesz?– Podeszła i stanęła obok German.– Pani też pomogę.

– Dobrze. Ale kim jesteś?– spytała Danielle miłym, rzeczowym tonem.

– Pani ulubioną piosenką są *Straszne pocałunki*– powiedział do German.– A pani *Pod moim kciukiem*. Zgadza się?– Obydwie kobiety skrzywiły się z przekąsem. Patrząc na Danielle, mówił dalej:– W nocy pani chrapie, ale brzmi to całkiem przyjemnie, coś jak mruczenie kota. Tak przynajmniej mawiał pani chłopak.

Chłopiec poprosił o szklanekę wody.

German chciała go zapytać o mnóstwo rzeczy, ale w tej chwili była tak skołowana, że cieszyła się, że może odejść od drzwi wejściowych. Wędrowka do kuchni, tam i z powrotem, da jej trochę czasu na poskładanie myśli.

Wracając przez salon, przeszła obok dwóch wielkich okien. Na parapecie drugiego stały trzy zdjęcia oprawione w stylowe orzechowe ramki. Podarowała je Benowi, kiedy tutaj mieszkała. Wcześniej fotografie tkwiły w czerwonych plastikowych oprawkach, które Ben kupił przed laty w sklepie z tanioczą. Irytowały ją– wiedziała bowiem, ile te zdjęcia dla niego znaczą. Któregoś dnia kupiła trzy drogie ramki, wsunęła w nie zdjęcia i bez wielkiego halo postawiła je z powrotem na parapecie. Ben natychmiast je

dostrzegł. Zaskoczyło ją to, jak bardzo się wzruszył. Uwielbiał te fotografie; wiedział, że zamieniła te ramki z myślą o nim, a przy tym nie afiszowała się ze swoim gestem. Danielle przyjrzała się tym zdjęciom i się uśmiechnęła.

Pierwsze przedstawiało rodzinę Bena siedzącą przy stole na pikniku. Padał deszcz i wszyscy mieli na sobie płaszcze. Na drugim widniała jego ukochana babka na parę lat przed jej śmiercią. Na głowie miała niebieską bejsbolówkę z nadrukiem Chicago Cubs. Trzecie zdjęcie wykonano na obozie letnim, gdy Ben miał dziewięć lat. W jednej ręce trzymał łuk, a w drugiej strzałę.

German minęła zdjęcia i nagle stanęła i zamrugała raptownie kilka razy. Myśląc intensywnie, cofnęła się jak lunatyczka, by spojrzeć na jedno z nich. Przygryzła dolną wargę i zadrżała; dreszcz przebiegł jej po plecach. Ta fotografia oraz incydent ze Stewartem Parrishem, który zdarzył się dziś przed południem, dowodziły niezaprzeczalnie, że logika umarła, a racjonalne hipotezy można wyrzucić na śmietnik.

Dwie minuty później stała znów przy drzwiach mieszkania Bena. Podawała chłopcu szklankę wody i zapytała:

- Jesteś Ben, prawda?
- Dziękuję. Tak, jestem Ben.
- Ile masz lat?
- Osiem.– Zagulgotał głośno, wypijając duszkiem wodę.
- Gdzie jest duży Ben?

Danielle patrzyła na German jak na obłąkaną. Chłopiec przestąpił przez próg.

- Jeśli mam wam pomóc, to muszę wejść.

Po półgodzinie zachciało mu się jeść, toteż German zrobiła mu pulchną kanapkę z masłem orzechowym. Pamiętała, by wziąć białe pieczywo i odkroić skórkę, której nie lubił. W rogu niemal pustej lodówki znalazła puszkę bezalkoholowego piwa korzennego, którą także dała chłopcu, ponieważ dorosły Ben chętnie je pił.

Zasiedli przy kuchennym stole. Kobiety patrzyły, jak mały Ben pochłania kanapkę i czka donośnie, wlewając w siebie napój gazowany. Ilekroć mu się odbijało, wydawał się zadowolony z siebie.

– A zatem, Ben, jak się tu dostałeś?

– Przyjechałem na piosence– wydukał przez usta sklejone gęstym masłem orzechowym.

– Co proszę?

– Przyjechałem na piosence. Tak się tu dostałem.

– Nie rozumiem.

Wzruszył ramionami, jakby mówił: No to masz kłopot.

– Czy mógłbyś mi to wytłumaczyć?– poprosiła German, starając się panować nad złością.

Chłopiec odłożył kanapkę i pociągnął wielki łyk piwa korzennego.

– Pani podoba się piosenka *Pod moim kciukiem*. Jak puścili ją w radiu, przyjechałem na niej.

– Ale jak?! Jak się jeździ na piosence? Na czym to polega?

– Nie wiem. Jeździ się i już. To proste.

– Skąd przyjechałeś? Gdzie byłeś przedtem?

– W Crane's View. German zdążyła poinformować Danielle, że tak nazywa się miasteczko w stanie Nowy Jork, w którym Ben dorastał.

– Przyjechałeś tu z Crane's View na piosence?

– No, chyba mówiłem.– Wepchnął do ust ostatni kawałek kanapki i potrząsnął puszką, sprawdzając, czy zostało w niej trochę piwa.– Chcecie, panie, żebym wam pokazał? Macie radio?

– Na lodówce.

Chociaż chłopiec rozmawiał z German, obrócił się ku Danielle.

– Niech pani je włączy i znajdzie jakąś piosenkę. Coś, co pani pamięta z dzieciństwa.

Danielle odsunęła krzesło i podeszła do lodówki. Włączyła radio i kręcąc gałką, śmigając przez dziesiątki stacji radiowych, podczas gdy German i Ben przyglądali się jej.

– Co mam nastawić?

– Coś, co podobało się pani, jak była mała.

Danielle stała odwrócona plecami, dlatego German i chłopiec nie widzieli uśmiechu, który wypełził jej na twarz. Akurat! W domu małej Danielle prawie nie słuchało się muzyki. Jej rodzice byli żarliwymi świadkami Jehowy, sprzeciwiającymi się „innym śpiewom”. Radio włączano jedynie po to, aby słuchać nadawanych z Kalifornii wykładów, które szczególnie im się podobały. Jediną piosenką, którą Danielle pamiętała z dzieciństwa, nie licząc hymnów ze śpiewnika *Chwalcie Jehowę*, był popularny spiritual pod tytułem *O, szczęśliwy dzień*.

Sunąc przez radiowe rozgłośnie, Danielle pomyślała, że trafienie na tę konkretną piosenkę graniczyłoby z cudem.

German odczekała chwilę, po czym znów skupiła uwagę na Benie.

– No więc, jak się tu znalazłeś?

W salonie rozległ się potężny huk. Szkło; łoskot i brzęk tłuczonego szkła. Wszyscy troje popatrzyli na siebie z minami pytającymi „A to co znowu?”

Nie musieli długo czekać. W następnej sekundzie do kuchni wpadło białe zwierzę i rzuciło się na chłopca. Mały Ben wrzasnął. Kobiety były zbyt zdumione, aby się poruszyć.

Chłopiec zerwał się z krzesła, przebiegł przez kuchnię i wspiał się na ścianę. Zaczął pełznąć po gładkiej powierzchni jak pająk. Przypadając do ściany, otarł się o stojącą koło lodówki Danielle, z ręką wciąż na pokrętle radia. Długo potem czuła na skórze jego dotyk.

Biały pies (czy aby na pewno pies?) stał bezpośrednio pod chłopcem i gapił się na niego jak na obiad. Żaden nie wydał z siebie dźwięku. Mały Ben patrzył w dół z mieszaniną strachu i wściekłości. Duże ślepia psa były spokojne. Zwierzak nie miał uszu.

Danielle odsunęła się pomału od lodówki i zrobiła krok w stronę stołu i German. Sześcioro oczu wpatrywało się w uczeponego ściany chłopca. Jego wzrok skakał między nimi wte i wewte, ale zawsze wracał do białego zwierzęcia.

Po jakimś czasie mały Ben wpełzł wyżej na ścianę i przesunął się na kuchenny sufit. Przystanął pośrodku na czworakach i opuścił głowę, ponownie lustrując wnętrze.

Słyszając hałas, Pilot wybrał ten właśnie moment, aby wejść do kuchni. Szaleństwa związane z półmartwym włóczęgą, ucieczką i powrotnym lotem tak go wyczerpały, że zostawił ludzi i poszedł do sypialni uciąć sobie drzemkę. Ujrzał teraz obie kobiety, verza i chłopca o zapachu Bena zwisającego głową w dół z sufitu. Pilot nigdy nie widział wiszącego na

suficie człowieka. Zerknął na verza i przywitał się z nim milcząco. Nie musiał obwąchiwać jego siedzenia– wiedział już, że wszystkie verze pachną identycznie. Nie dziwił się również jego obecności, gdyż verze są jak karetki pogotowia: pojawiają się, kiedy ludzie mają kłopoty i potrzebują pomocy z zewnątrz. Pilot nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że kobiety także widzą to stworzenie. Dopiero byłby zaskoczony.

Wiszący chłopiec odezwał się dziwnym, szeleszczącym językiem, którego nie rozumiały ani kobiety, ani pies.

Pilot poprosił verza, aby przetłumaczył słowa chłopca.

– Wie, że go zabiję, i pyta, czy może wybrać rodzaj śmierci.

– Może?

– On? Gdzie tam!– Verz opuścił wzrok i zerknął uważnie na Pilota.

German była wewnętrznie rozdarta– z jednej strony miała ochotę uciec, ale z drugiej pragnęła pomóc małemu Benowi. Widok chłopca pełzającego po ścianie i zwisającego z sufitu sprawił jednak, że ogarnęły ją wątpliwości.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?– zapytał mały Ben. Verze mówią oczami.

– Zobaczyłem, że skradasz się ulicą. Domyśliłem się, że spróbujesz takiego podstępu, więc po prostu poszedłem za tobą.

Na odwróconej twarzy chłopca pojawił się uśmiech.

– Bystry jesteś. Ale musisz przyznać, że ja też wykazałem się nie lada sprytem. Udawałem chłopca, aby zdobyć ich zaufanie. W ten sposób dostałem się do mieszkania Goulda. Za parę minut jadłyby mi z ręki. Gdybyś nie przyszedł, już bym załatwił Danielle.

Reszta zebranych w kuchni słyszała bezsensowną szwargotanie dobywającą się z gardła chłopca. Pilot czekał, aż verz powie mu, o co chodzi, ale tłumaczenie dobiegło końca.

– I co teraz, verzu?

– Spadniesz, a ja cię zabiję.

– Mam lepszy pomysł.

– Serio? Jaki?

– Puść mnie wolno, a zdradzę ci pewną tajemnicę.

– Najpierw mi ją zdradź, potem się zastanowię, czy cię puścić.

– Kłamiesz.– Chłopiec uśmiechnął się.

– Podobnie jak ty.

– A więc bezapelacyjnie zamierzasz mnie zabić?

– Bezapelacyjnie.

– Dobrze– pisał chłopiec.– Jeśli mam umrzeć, czy zechcesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie, które od dawna mnie dręczy? Dlaczego on dostał do pomocy ducha, a ona nie?– Wskazał głową na Danielle Voyles.

– Bo ona nie potrzebuje pomocy ducha. Ani nikogo innego. Sama rozumie, co się dzieje. Jak sądzisz– czemu się tu zjawilem? Ponieważ intuicja podpowiedziała jej, że coś jest z tobą nie tak.

– Myślisz?– Chłopiec odpadł od sufitu. Obrócił się z wdziękiem w powietrzu i wylądował w niskim przysiadzie tuż obok Danielle. Nagły manewr zaskoczył verza. Gdy mały Ben skoczył powtórnie, tym razem rzucając się do gardła Danielle, biały pies nie mógł go powstrzymać.

Danielle instynktownie uniosła ramiona i skrzyżowała je twarzą. Chłopiec zawahał się na ułamek sekundy. To wystarczyło, aby istota

podszycwajęca się pod małego Bena Goulda powróciła do swojej prawdziwej postaci.

Śmierć jest tym, czego ludzie boją się najbardziej, choć każdy inaczej wyobraża sobie moment jej nadejścia. Danielle Voyles widziała już raz własną śmierć. Ujrzawszy ją po raz drugi, wpadła w złość.

– Niedoczekanie twoje!– zawołała i cisnęła w istotę radiem. Potem wyskoczyła na półtora metra w powietrze i wylądowała na lodówce. Działała bez namysłu: jej ciało wrzasnęło „skacz!” i skoczyła. Stała na lodówce przyczajona do następnego skoku, w razie gdyby istota zaatakowała ją ponownie.

Ale uprzedził ją verz. Dał susa i wbił zęby w coś, co jeszcze chwilę temu było małym Benem. „Chłopiec” przemienił się w bezkształtną postać, której jedynym celem było dopaść Danielle.

Verz zacisnął szczęki i ruszył wolno do tyłu, wlokąc za sobą wijącego się chłopca. Chciał go wytaszczyć z kuchni, tak aby pozostali nie widzieli, jak go zabija.

Bo też nikt nie chciał tego oglądać. Pilot zastygł w bezruchu. German Landis odsunęła się gwałtownie, by uniknąć kontaktu z mijającym ją verzem. Danielle ciągle tkwiła na lodówce i obserwowała wydarzenia z góry. Jak ja to zrobiłam?– pytała samą siebie. Jakim cudem wyskoczyłam tak wysoko? Nie zdawała sobie wciąż sprawy, że po prostu naśladowała chłopca. Chcąc uciec, postąpiła tak samo jako on.

Przemierzając kuchnię, verz poślizgnął się na mokrej podłodze i stracił równowagę. Zaskoczony otworzył na moment pysk– potwór wyszarpnął się i ponownie natarł na Danielle. Zeskoczyła z lodówki i przykleiła się do

ściany, tak jak parę minut temu uczynił to chłopiec. Spoglądała z góry na swojego nowego wroga, który zajął teraz jej miejsce na lodówce.

Verz rzucił się na potwora. Potwór skoczył za Danielle W ułamku sekundy odepchnęła się od ściany, przeskoczyła przez całą kuchnię i wylądowała obok German Landis, wybałuszającej na nią zdumione oczy.

Potwór nie ustąpił. Tym razem jednak napotkał w powietrzu verza, który chwycił go za gardło i ściągnął gwałtownie do podłogi. Obaj spadli na Pilota. Pies był zbyt powolny, aby przed nimi uskoczyć.

Przestraszony i sparaliżowany Pilot ugryzł pierwszego, który mu się nawinął, i tak się złożyło, że był nim verz. Biały zwierzak miał tylko jedno zadanie: bronić Danielle Voyles. Nic innego się nie liczyło i nic nie mogło mu w tym przeszkodzić. Toteż bez wahania przeciągnął pazurami po brzuchu Pilota i rozdarł mu skórę.

Pilot zaskowyczał z bólu i zaczął się miotać, omal nie uwalniając się przy tym od walczących. Wówczas verz odsunął się i pozwolił rannemu psu bezpiecznie się wyczołgać. Istota, którą trzymał w szczękach, słabła i wiotczała z każdą chwilą. Mimo to nie poluźniał uścisku; chciał mieć pewność, że potwór nie żyje.

– Stój.

Panował taki tumult, że nikt nie dosłyszał rozkazu. Światem zawładnął chaos.

– Stój! Nie zabijaj go.

Tym razem krzyk Danielle przebił się przez wrzawę; wszyscy popatrzyli na nią.

– Nie zabijaj go. Daj mu odejść. Masz go wypuścić.

Verz natychmiast otworzył pysk. Istota osunęła się bezwładnie na podłogę. Była czerwona, rdzawa, niemal brązowa. Nie była to jednak czerwień krwi, tylko prawdziwa barwa jej skóry. Śmiertelnie ranna, nie miała siły się ruszyć. Verz strzaskał jej kark. Z trudem nabierała powietrze.

Danielle, nie okazując strachu ani wahania, podeszła do niej i usiadła na piętach. Umierający na podłodze potwór śledził ją spod półprzymkniętych powiek. Danielle złapała go obiema rękami i mocno wbiła mu palce w skórę. Jego oczy stanęły w ślup. Wydał z siebie odgłos przypominający ciche westchnienie. Danielle nadal zagniała jego skórę, jakby urabiała ciasto na chleb. Po jakimś czasie czerwone ciało potwora zapadło się w sobie. Nie żył – ale nie miało to już znaczenia, gdyż Danielle odnalazła to, czego w nim szukała, i umieściła z powrotem we własnym ciele. Dlatego nie kazała verzowi go zabijać. Potrzebowała go żywego, by odebrać coś, co należało do niej.

Czuła teraz, jak porusza się w niej, szukając miejsca swego pochodzenia. Nie było to miłe uczucie. Jakby w jej klatce piersiowej przesuwiał się zimny pręt. Może to coś chciało uciec. Może nie da się odzyskać czegoś, co kiedyś nas opuściło. Czegoś, czemu pozwoliliśmy odejść. Danielle czekała jednak i w końcu ruch ustał. Ostrożnie dotknęła tylnej części swego kręgosłupa.

– Jest tutaj. Zatrzymało się.– Pozostali nie mieli pojęcia, o czym ona mówi.

Martwa istota zaczęła płowieć. Po kilku sekundach znikła. Nie odrywając rąk od kręgosłupa, Danielle spojrzała na German Landis i pokazała podbródkiem miejsce, w którym leżał potwór.

– Odebrałam to, co kiedyś należało do mnie. Straciłam to, kiedy byłam małym dzieckiem. No, a właściwie oddałam. Ze strachu oddajemy kawałki naszych jaźni. Nikt nas do tego nie zmusza, nie okrada nas. Po trochu sami oddajemy to, co w nas najlepsze: co nas scala i ocala...– Urwała i wzięła głęboki oddech. Wstrzymała powietrze w płucach i wypuściła je wolno.– Muszę usiąść– dodała. Przeszła przez kuchnię i usiadła ciężko przy stole.

Pozostała trójka trwała bez ruchu. Pilot zerknął na verza. Ten zakomunikował mu milcząco, że nie wie, o czym ta kobieta mówi. Pilot mu nie uwierzył. Verz był po prostu dyskretny.

Danielle popukała się dwoma palcami w pierś.

– Rodzimy się ze wszystkim, czego nam trzeba do szczęścia i spełnienia. Ale gdy świat zaczyna nas przerażać, rozmieniamy się na kawałki, aby zażegnać niebezpieczeństwo. To rodzaj wymiany: nie chcesz się bać, więc rezygnujesz z części siebie. Oddajesz swoją godność, dumę, odwagę... Po co ci godność, jeśli żyjesz w ciągłym lęku? Więc pozbywasz się jej– na razie. Później tego żałujesz, gdy okazują się potrzebne. Ale duma, godność i odwaga zniknęły. Nie możesz się na nich oprzeć. Czy masz trochę chleba? Pokażę ci, jak to działa.

German wyjęła podłużną bułkę z drewnianego pojemnika na chleb i podała ją Danielle. Ta położyła ją na otwartej dłoni.

– Tak wyglądamy po urodzeniu się. Każdy z nas jest cały i pełny.– Oderwała kawałek pieczywa. Po chwili cała bułka była poskubana, jakby podziobały ją ptaki. Strzepnęła okruchy na podłogę i przydepnęła je butem. Gdy podniosła nogę, kawałki bułki były brudnymi, płaskimi, bezkształtnymi krążkami. Niektóre przykleiły jej się do podeszwy.

Danielle odkleiła jeden z nich i spróbowała go dopasować do bułki, ale nie udało się jej. Wyciągnęła brudny krążek w stronę German.

– Wyobraź sobie, że oddałam ten kawałek siebie, kiedy się bałam. Zmieniono go i odesłano do mnie w takim stanie.– Wskazała stopą miejsce, w którym jeszcze przed chwilą leżała martwa istota.– Gdy ten stwór umierał, nagle dojrzałam przez skórę jego serce. Rozpoznałam je. Była to część mnie, którą przed laty oddałam. Ulepili z niej serce potwora i wysłali go, żeby się ze mną rozprawił.

German pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Skąd wiesz to wszystko? Tego nie można wiedzieć. Twarz Danielle nie wyrażała żadnych emocji.

– Zobaczyłam jego serce– odezwała się po chwili.– Biło coraz wolniej. Od razu je poznałam. Więc sięgnęłam po nie i odebrałam swoją własność.– Ponownie dotknęła pleców.– Możesz odzyskać utracone kawałki siebie, jeżeli je odnajdziesz i rozpoznasz.

Benjamin Gould obudził się, łapiąc oddech przez sierść. Otworzył oczy, ale upłynęło kilka długich sekund, zanim uprzytomnił sobie, że ni to oddycha, ni się dusi. Uczucie było nieprzyjemne; mimo to nie bał się.

Najpierw ujrzał leżący tuż przed sobą wielki, biały kształt. Cokolwiek to było, zakrywało dolną połowę jego twarzy, zasłaniając mu usta i nos. Im bardziej przytomniał, tym trudniej było mu oddychać. Poza tym to coś było ciężkie. Ben strząsnął je z siebie i spróbował usiąść. Niestety, gdy wysunął ramiona, aby się podeprzeć, jego ręce zanurzyły się w masie ciepłej sierści. Wtedy wpadł w popłoch.

– Precz!– wykrztusił.– Zejdźcie ze mnie!– Zaczął się rozpychać, szamotać i kotłować na ziemi.

Cztery verze, które spały na nim i wokół niego, nie lubiły być popychane, ale nie odezwały się. Miały za wszelką cenę chronić życie tego człowieka. Skoro każe im zejść, to zeszły.

– Spaliście na mojej twarzy!– mruknął i przetarł dłonią usta. Zadrżał z zimna i pomasażował się po ramionach, spoglądając na niewielki namiot, w którym spały dzieci i pan Kyte. Widok przedstawiał się o wiele ładniej niż parę godzin temu, kiedy Ben usnął zwinięty w kłębek przy ognisku. Oczami wyobraźni zobaczył siebie śpiącego w tym namiocie, spowitego w gruby, puchowy śpiwór. Czerwony. Śpiwór czerwony jak zachód słońca i wypełniony gęsim puchem, który okrywał go aż po ciepłą szyję. W wyobraźni Bena nie było miejsca na grube białe zwierzęta bez uszu, które wylegiwały się na nim jak na dywanie.

Doskwierał mu głód, chłód i pustka myślowa. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że zbudził się w środku nocy

Nawet Ling gdzieś przepadła– nie miał kogo się poradzić. Ponieważ czuł się zagubiony, opuszczony i oszołomiony pośród ciemności, powiedział do siebie z całą powagą:

– Chcę wrócić do domu. Tylko wrócić do domu.

Momentalnie znalazł się w swojej rześkiej oświetlonej łazience i patrzył na własne odbicie w lustrze. Dotknął gładkiej tafli nad umywalką, aby się upewnić, że to nie przywidzenie. Cofnął rękę i dotknął twarzy. Otworzył szafkę z lekarstwami. Zobaczywszy w środku znajome buteleczki (pamiętał, jak je kupował), zamknął apteczkę. Podniósł mokrą kostkę mydła i podsunął ją pod nos. Pachniała gorzkimi migdałami. To też się zgadzało. German podarowała mu na urodziny ekskluzywne migdałowe mydło. Co się stało? W jaki sposób przeniósł się z lasów Crane's View do własnego

mieszkania? Czy miał na to jakiś wpływ? Raz jeszcze przyjrzał się w lustrze swojej twarzy.

Drzwi za nim rozwarły się. Stała w nich German Landis, ubrana w jego bluzę i krótkie spodenki. Była tak wysoka, że bluzka ledwie sięgała jej do pępka. Miała na sobie damskie białe bawełniane bokserki, które szczególnie lubiła i których widok zawsze wykręcał Benowi serce. Jej twarz była przytępiona i obrzmiała od snu.

– Cześć– powiedział łagodnie. Nie odezwała się. Gapiła się. Co German robi w jego mieszkaniu? Na co patrzy?

Po raz drugi Ling zmaterializowała się na opuszczonej desce sedesowej w łazience Bena. Tym razem jednak German ją dostrzegła. Zobaczyła niską, niepozorną kobietę wyłaniającą się nie wiadomo skąd; stała na toalecie z rękoma skrzyżowanymi na wątlej piersi jak dzinn uwolniony z butelki w filmie o Sindbadzie Żeglarzu.

Ling natychmiast się zorientowała, że German ją widzi. Żałowała, że jej nie uprzedzono: zadbałaby o makijaż.

– Na sedesie stoi jakaś kobieta– oświadczyła spokojnie German.

Ben zerknął tam i skinął głową.

Ling zeszła na podłogę i podszedłszy do German, wyciągnęła rękę w geście powitania. Spełniła się chwila, o której od dawna marzyła. Pozna kobietę, którą kocha.

– Miło mi. Mam na imię Ling.

German obrzuciła zjawę spojrzeniem, jakim nie chciałbyś być obrzucony przez osobę, wobec której żywisz uczucie miłości. Popatrzyła na Ling jak na znaczek pocztowy, na butelkę keczupu, nieaktualny rozkład jazdy autobusów. Jej oczy były obojętne. Ot, rejestrowały otoczenie, i tyle.

– Kim pani jest?

Pierwszy raz od ukazania się Ling spojrzała na Bena, oczekując odeń wskazówki, co ma odpowiedzieć.

– Powiedz jej.

Duch nie zdążył jednak się odezwać. Ben uniósł raptem rękę, nakazując jej milczenie.

– Coś się stało– oznajmił.

Obie spojrzały na niego zniecierpliwione.

– Ojejku. Niemożliwe, Ben. Potrząsnął głową.

– Nie, nie o to chodzi.– Gapił się na wprost, jakby śledził coś ważnego, co rozgrywało się tuż przed nim. Spojrzał szybko na German.– Ma kłopoty. Danielle Voyles ma kłopoty.– Nie mówiąc ani słowa więcej, wybiegł z łazienki. Kobietom nie zostało nic innego, niż pójść za nim.

– Pilot?– zawołał na korytarzu.– Pilot, gdzie jesteś?

Pies leżał na swoim legowisku, drżąc przed tym, co miało zaraz nastąpić.

– Gdzie jesteś, Pilot?

Może mnie nie znajdzie, myślał pies. Może jest tak roztrzęsiony, że zapomni o mnie i pójdzie sam. Wiedział, że bez jego pomocy Ben nie uratuje Danielle Voyles.

Drzwi sypialni otworzyły się i do wnętrza wdarło się światło z korytarza.

– A, tu jesteś. Idziemy.

– Stary za jestem.

Ben okręcił się na pięcie, ale zatrzymał się w drzwiach.

– Co?

Tym razem Pilot bąknął coś kompletnie niezrozumiałego. Jeden wybałuszał oczy na drugiego.

– Nie rozumiem.– Ben czuł niemal, jak jego umysł wygina się, usiłując nadać psim słowom jakiś sens. Zdawał sobie sprawę, że częściowo wciąż jest zawieszony między swoją przeszłością w Crane's View a teraźniejszością.

– Mówi, że jest zbyt stary, żeby z tobą iść– przetłumaczyła stojąca na korytarzu Ling.

Ben przemierzył sypialnię, chwycił zwierzaka za kark i wyciągnął go z legowiska.

Ling uznała to za nie najlepszą taktykę, ale milczała.

Kiedy pies stanął na ziemi, Ben oparł się przed nim na kolanach i dłoniach. Patrzył Pilotowi prosto w oczy.

Ling spodziewała się, że udzieli mu ostrej bury. A jednak nie zrozumiała ni słowa z tego, co powiedział. Natomiast pies zrozumiał go świetnie, bo wyprostował się i zaczął wściekle merdać ogonem. Gdy Ben skończył „mówić”, Pilot wybiegł z sypialni i przyskoczył do drzwi wejściowych.

– Co mu powiedziałaś? Co to był za język?

Ben wstał i przeszedł obok niej.

– Wilczy.

9.

Po chodniku maszerowali mężczyzna, pies i dwie naburmuszone kobiety mające wszelkie powody do niezadowolenia. Jedna z nich była duchem, mężczyzna powinien być martwy, pies to inkarnacja dawnej dziewczyny umarłego, wysoka kobieta zaś znalazła się tutaj wskutek pecha, bo zakochała się w dwóch pozostałych.

Wszyscy troje pytali mężczyznę, skąd wiedział.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jesteśmy?
- Skąd wiedziałeś, jak tu wrócić bez mojej pomocy?
- Skąd znasz język wilków?

Ben zignorował ich. Nie umiał odpowiedzieć na te pytania, więc postanowił milczeć, zachowując rezolutną minę. Miał nadzieję, że swoim postępowaniem przekona ich – przynajmniej na jakiś czas – że wie, co robi.

Gdy kobiety zrozumiały, że nie chce z nimi mówić, zwróciły się do siebie nawzajem. German nie miała oczywiście pojęcia, że ta mała, chodząca za nimi kobietka śledzi ją już od wielu miesięcy. Że mogłaby sporządzić szczegółowy wykaz tego, co German Landis lubi i czego nie lubi. Że Ling jest w niej zakochana i że studiuje jej życie równie skwapliwie, jak kościelni uczeni badają pradawne teksty religijne.

Korzystając ze sposobności, Ling chciała poinformować German o tysiącu spraw. I zadać milion pytań, które nurtowały ją od tamtej niezapomnianej chwili, gdy ujrzała czytającą kobietę i uprzytomniła sobie raptem – jakby dostała obuchem w głowę – że ją kocha.

– Naprawdę nie wiesz, co się stało z Danielle? – zapytała jej ulubienica, maszerując rażno.

– Nie. Jestem ograniczona do Bena– odparła Ling. Aby dotrzymać German kroku, musiała szybko przebierać swymi krótkimi nogami.

– W jakim sensie ograniczona?

– Wiem tylko, co się dzieje z nim. Nie widzę myśli innych ludzi.– Ling przemilczała fakt, że potrafi wejrzeć w cudzą przyszłość, co uczyniła w dniu, kiedy zobaczyła German i sprawdziła, ile tamtej zostało życia.

– A więc o czym on myśli? Czemu nie odpowiada na nasze pytania?

– Zastanawia się, jak uratować Danielle– skłamała Ling. Nie chciała niepotrzebnie denerwować German. Prawda była o wiele bardziej niepokojąca: odkąd tutaj wrócili, Ling nie potrafiła czytać w myślach Bena.

Owszem, spełniło się jej marzenie: Ona, zjawa, komunikowała się z German, ale przecież nie na tym polegało jej zadanie. Jak miała pomóc Benowi, jeśli o jego zamiarach wiedziała równie mało jak jego była dziewczyna?

– Jeżeli jesteś duchem, to czemu cię widzę? I jak to możliwe, że rozumiem, co mówi Pilot?

Usłyszawszy swoje imię, pies obrócił się do German, aby sprawdzić, czy go potrzebuje.

Te pytania również musiały pozostać bez odpowiedzi. Ale Ling domyślała się co nieco i mogła nadać swoim domysłom przekonujący wydźwięk.

– Od chwili, gdy Ben nie zgodził się umrzeć, otacza go coraz więcej niewytłumaczalnych zjawisk. I wszystko się zmienia. Nic w jego świecie nie jest dane raz na zawsze. Teraz mnie widzisz i rozumiesz, co mówi pies, ale jutro może się to zmienić. Znaleźliśmy się jakby w polu siłowym Bena i każda zmiana, która go dotyka, odbija się też na nas.

Idący na czele pochodu Ben odezwał się do Pilota:– Wiesz, co masz robić, jak dojdziemy na miejsce? Pies nie odpowiedział.

– Pilot?

– Myślałem, że to polecenie, a nie pytanie– mruknął zaczepnie kundel.

Ben rozumiał jego zły humor.

– Sam bym to zrobił– dodał miękko.– Nie wyciągałbym cię z domu, gdybym umiał dogadać się z verzami.

Pilot zdecydował, że też ma coś do powiedzenia.

– Trzeba się liczyć z tym, że będą tam potwory. Ben skinął milcząco głową.

– Potwory, mordercy i inne zagrożenia. A ty każesz mi iść. Mam gdzieś powody, jakimi się kierujesz. To nie fair. Jestem za stary.

– Daj spokój, Pilot. Tylko ty możesz porozumieć się z verzami.

– A ona?– Obydwaj wiedzieli, że Pilot ma na myśli Ling. Mężczyzna przechylił się i zniżył głos, żeby kobiety go nie dosłyszały.

– Ona nic nie umie. Tylko jeszcze o tym nie wie.

– O, bardzo dziękuję za tę pokrzepiającą wiadomość. Wreszcie czuję się bezpieczny.

Ben się nie odezwał. Co powiedzieć sarkastycznemu psu?

– Zreasumujmy, Ben: masz niezdolnego do użytku ducha, podstarzałego psa i dziewczynę, która jest kompletnie zielona. Ale– ale, przecież ty też jesteś ciemny jak tabaka w rogu, więc do niczego się nie nadajesz. Czterech słabeuszy ma uratować tę kobietę, tę Danielle, przed potworami i zabójcami?

– Może nikogo tam będzie.

Pilot nie był przekonany.

– Chcesz wejść pierwszy?

Aby nie patrzeć psu w oczu, Ben miał lekko odwróconą głowę, więc on pierwszy spostrzegł unoszącą się sto metrów dalej różową mgiełkę. Był to niezwykły widok: różowa jak cukierek mgła kłębiła się na wysokości kostki u nogi dorosłego człowieka, sunąc w ich stronę nad chodnikiem.

– Jezu, co to?

Pilot zatrzymał się, ujrawszy mgłę. Kobiety jej nie widziały, choć obie patrzyły w tym samym kierunku.

– O co chodzi? Co widzicie?– spytała Ling.

Pilota ogarnęły wątpliwości. Czy ma powiedzieć prawdę, wyjaśnić, że zbliżający się do nich obłoczek to rak? Że jeśli zatrzyma się i spowije kogoś z nich, będzie to oznaczać wyrok śmierci?

Nowa, wyostrzona świadomość Bena pozwalała mu dostrzec tę mgłę, ale nie rozumiał, czym ona jest. Różowa mgiełka? Chyba nigdy wcześniej jej nie widział?

– Co się stało, Ben? Na co patrzysz?– odezwała się German.

– Jak to na co?! Nie widzisz tego?

– Czego?– spytała Ling.

– Tej mgły. Różowej mgły.

German spojrzała na Ling. Twarz ducha pobladła. Choć zjawa nie widziała tej mgły, zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Mgła była tuż– tuż. Pilotowi przemknęło przez głowę, aby spróbować uciec, ale nic by to nie dało. Możesz gnać przez cały dzień, ale jeśli jesteś naznaczony przez los, mgła odnajdzie cię wszędzie. Przypomniał sobie tamtą noc, gdy ją zobaczył, idąc w towarzystwie rottweilera. Jego

przewodnik żałował wtedy, że nie jest człowiekiem, bo nie widziałby tej przerażającej mgły

Przepełnęła nad chodnikiem, po czym omyła lekko buty Bena. Nic nie poczuł. Przypominała różowy papierosowy dym. Przez chwilę nic się nie działo, a potem obłoczek uniósł się nad jego butami i macka dymu wślizgnęła się pod nogawkę dżinsów. Gdy dotknęła jego nagiej skóry Ben wypowiedział z naciskiem jedno krótkie słowo:– Nie.

Zaskoczony zimną krwią Bena, Pilot stał jak zahipnotyzowany. Mimo wszystko miał nadzieję, że mgła nie przyszła po niego.

Ben jeszcze nie skończył. Wyciągnął rękę i schwycił różowy dym, jakby miał do czynienia z żywym stworzeniem– węgorzem albo żmiją. Zacisnął na nim dłoń i szarpnął energicznie. Różowy język, który wspiał się po jego nodze, wysunął się ze spodni.

– Nie. Nie. Nie– powtarzał Ben. Przeciągnął dym przez zaciśniętą pięść, nadając mu kształt jasnoróżowej liny, która opadała na chodnik obok nich.

– Co ty wyrabiasz, Ben?– zdziwiła się German, patrząc na jego dziwaczne ruchy. Ling także nie widziała mgły, ale domyśliła się, że dzieje się coś ważnego. Milczała, ale była czujna.

Ben pociągnął rękoma w przeciwne strony. Różowa mgła pękła. Część, której w ogóle nie dotknął, momentalnie się ulotniła. Drugi kawałek leżał u jego nóg.

Pilot popatrzył na Bena z szacunkiem. Przez całe swoje psie życie widział, jak rak snuje się w powietrzu, zmierzając do swego celu. Był bezwzględny panem wszystkich żywych istot, szeryfem, który nie brał

więźniów. A teraz ten przeciętny człowiek zatrzymał go i rozerwał na kawałki. Jak tego dokonał?

– Przyszedł po mnie– uspokoił go Ben.– Nie musisz się martwić, nie ciebie szukał.– Podniósł koniec liny z ziemi i sprawnie owinął ją sobie wokół ramienia.– Pewnie jeszcze przyjdzie, ale po co się przejmować na zapas? Naprawdę.– Uśmiechnął się półgębkiem, ale zaraz spoważniał.

German podeszła do nich, lecz Ben pokręcił głową.

– O nic na razie nie pytaj. Mam twarde orzech do zgryzienia i muszę się skupić.

Rozzłościła się.

– Nie mów tak do mnie, Ben! Nie odsuwaj mnie na boczny tor. Czemu stoimy? Co się stało? Co ty tam robisz?– Patrzyła na jego ręce kreślące w powietrzu tajemnicze pętle.

Ben bez słowa ujął w dłoń koniec różowej liny i przesunął nim po policzku German. Choć jego ręce wydawały się puste, poczuła na twarzy coś mokrego i ciepłego. Cokolwiek to było, wniknęło w jej kark i rozlało się po jej ciele z siłą i szybkością światła.

Ling i Pilot zobaczyli, że ich wysoka towarzyszka łagodnieje i odpręża się. Jej postawa promieniowała spokojem. Wyglądała, jakby zaszczepiono jej potężny środek uspokajający. Zachwiała się i potknęła, o mało się nie przewracając. Gdy później się na tym zastanawiała, doszła do wniosku, że jej ciało ogarnęła przyjemna bezradność podobna do stanu, jaki towarzyszy nam tuż po orgazmie. Stan kompletnej bezwładności: radosne spadanie bez obawy zderzenia się z twardą powierzchnią. Kontury rzeczy rozmazały się; jej ciało zdawało się lekkie jak puch. W istocie German nie miała już ciała, ale zrozumiała to dopiero znacznie później, gdy wyjaśniono jej, co się stało.

Pocierając German różową liną, Ben naznaczył ją śmiercią. Ponieważ jednak nie była to jej śmierć, German doświadczyła jej bez obawy zarażenia się nią. Czuła to, co tuż po śmierci odczuwa każda żywa istota: niewyobrażalny spokój, lekkość, cudowną wolność duszy uchodzącej z ciała, które więziło ją przez tak długi czas.

Wyraz jej twarzy jednak prawie się nie zmienił. Nie okazała upojnego zachwytu. Wyglądała co najwyżej na oszołomioną.

– Dotknąłeś jej mgłą, Ben! Po co? Co to da?– dopytywała się Ling.

– Ma prawo poznać przynajmniej część prawdy. Wciągnąłem ją w zabawę, wiesz o tym.

Objął German ramionami i trzymał ją, dopóki nie poczuł, że dziewczyna odzyskuje siły. Przyjrzała mu się tępym wzrokiem, ale bez cienia wrogości. Patrzyła na swego byłego chłopaka, jak gdyby był latarnią na ulicy.

W pobliżu stał zaparkowany samochód. Ben podprowadził tam German, uznając, że zanim ruszą dalej, powinna odpocząć, oparłszy się o coś solidnego.

– Co masz mu do zarzucenia, Ling? Czemu jesteś na niego zła?– Pilot podszedł do zjawy.

– Pokazał jej coś, czego nie wolno mu pokazywać.

– Bo dotknął ją mgłą?– Pilot sądził, że Ling również ją widziała.

Skinęła słowa.

– Tak jest. Nie zrobił jej krzywdy tylko dlatego, że mgła przyszła po niego, a nie po nią.

– Co się stanie, jak dotkniesz mgły przeznaczonej dla kogoś innego?

– Pokaż Pilotowi, Ben– poleciała mu Ling.– Niech się przekona. Siedzi w tym po uszy, tak samo jak German.

Upewniwszy się, że German nic nie jest, Ben zostawił ją przy samochodzie. Podniósł różową linę z ziemi i zbliżył się do ducha i psa. Raz jeszcze zerknął na Ling, jakby chciał sprawdzić, czy nie zmieniła zdania.

– Tak, zrób to.

Musnął liną czubek łba Pilota i zrobił krok w tył. Pies jęknął i się zachwiał.

– Teraz ja. Mnie też dotknij.

– Dlaczego?

– Rób, co ci każę.– Ling wyciągnęła rękę. Dotknął jej. Nie było żadnej reakcji. Ling nic nie poczuła. Patrzyła wprost na niego bez mrugnięcia powieką.– Nic. Wiedziałam, że tak będzie. Nawet nie widzę tej liny. Dlaczego, Ben? Czy wiesz? Powiedz mi, muszę to wiedzieć.

Powiedział jej prawdę.

– Twoje moce cię opuściły, Ling. Prawie wszystkie. Już niemal niczym nie różnisz się od zwykłej kobiety. Wiedziałem o tym, jak tylko zjawiałaś się w mojej łazience. Jeżeli zostały ci jakieś resztki dawnej mocy, one także wkrótce wyparują. Nie możesz na nich polegać.

Ling przyjęła jego rewelacje dość spokojnie. Zależało jej tylko na poznaniu prawdy, tak aby dostosować się do nowych warunków.

– Skąd wiesz? Skąd wiesz o tym wszystkim? Położył dłoń na klatce piersiowej i rozcapierzył palce.

– To nie ja. To część mojej jaźni. Ukryta we mnie siła, której nie znam i nad którą nie panuję. Przeniosła mnie tutaj z lasów Crane's View. Ja nie przyłożyłem do tego ręki. Ta sama siła uratowała mnie od śmierci. Tkwi

gdzieś we mnie, głęboko ukryta. Przejęła kontrolę nad moim życiem. Jest mną, jest moja. I niech mnie szlag trafi, jeśli wiem, skąd się wzięła! Tak samo przedtem dowiedziałem się, że Danielle naraża się na niebezpieczeństwo. Przyszło to do mnie jak wiatr.

– Twoja wola wyprzedza twoją świadomość– orzekła Ling. Była pewna, że ma rację.

– Proszę? Co to znaczy?– Ręka Bena opadła wolno wzdłuż piersi.

– Twoja wola uznała, że należy działać. Dostyc wahania. Czas przejąć kontrolę.

Ben milczał zamyślony.

– Czy możesz ujawnić mi coś, o czym wiedzą duchy i co by mi pomogło?

Ling uśmiechnęła się.

– Za późno. Jak słusznie zauważyłeś, prawie się od ciebie nie różnię. Ale jestem pewna, że oceniam to właściwie. Pomyśl tylko, Ben: rozmawiasz z duchami i psami. Czy to nie nadzwyczajne? Co więcej, postawiłeś tamę własnej śmierci. Podróżowałeś w czasie. Przeniosłam cię do parku w Crane's View i do sutereny w domu Giny Kyte, a ty wróciłeś tutaj o własnych siłach. Czy trzeba więcej dowodów? Jakaś tajemnicza siła, dotychczas usypiona, obudziła się w tobie i zawołała „Pora działać!” Przypuszczam, że jest to twoja wola.

– I powstrzymuje śmierć?– zapytał Ben.

– Tak. I powstrzymuje śmierć.

10.

Danielle Voyles wzięła balsam do ust i obracając słoiczek w ręce, przyglądała mu się, jakby trzymała bezcenny wytwór dawno zaginionej cywilizacji. Nazywał się Carmex; sprzedawano go w małych białych słoiczkach z żółtą nakrętką. Opakowanie było puste, i to od lat. Ale na nocnym stoliku Danielle zajmowało szczególne miejsce. Sądziła, że zapodziała je podczas przeprowadzki do nowego mieszkania; zdenerwowała się. Myślała o nim, odkąd German Landis wyznała jej, jak ważny był kiedyś dla niej czerwony kamyk Rudiego.

Pamiętając o dantejskich scenach w mieszkaniu Benjamin Goulda, Danielle poszła prosto do sypialni, aby się upewnić, że Carmex leży na swoim miejscu. Pusty słoiczek był bowiem jej talizmanem. Pierwszą rzeczą, jaką ukradła.

Uwielbiała kraść i była zręczną kleptomanką, lecz dowiedziała się o tym, dopiero gdy miała dwanaście lat. Któregoś dnia, pod wpływem impulsu, zwędziła ten idiotyczny krem z osiedlowego drugstore'u, dlatego że tak chciała i że nikt jej nie widział. Ten spontaniczny czyn w znacznej mierze zaważył na jej życiu.

Jako dziecko głęboko wierzących rodziców, Danielle Voyles późno doświadczyła smaku ryzyka, ekscytacji czy adrenaliny. Ale najlepsza była radość, ogromna radość, jaką czuła, gdy po wszystkim szła ulicą, trzymając skradzioną rzecz w kieszeni, czując, jak parzy ją w dłoń. Kiedy wyszła spokojnie z drugstore'u, w głębi duszy umierała ze strachu. Przedmiot ten na zawsze już należał do niej, bo kradnąc go, wykazała się sprytem i odwagą.

Kradła tak często, że z upływem czasu stała się tyleż wprawna, ile zblazowaną złodziejką. Obecnie rzadko uciekała się do kradzieży, ale gdy czegoś potrzebowała i gdy okoliczności były sprzyjające, brała to bez żadnych oporów.

Podczas szpitalnej rekonwalescencji Danielle nieraz zastanawiała się, czy aby jej nieprawdopodobny wypadek nie był jakąś kosmiczną karą za grzech kleptomanii. Świat odplacił jej pięknym za nadobne. Zapłata przyjęła formę lotniczego wypadku i kawałka metalu, który utkwiał w jej czaszce.

Zacząła studiować teksty religijne. Czyżby Bóg przypomniał sobie o niej i po zapoznaniu się z faktami wymierzył jej surowy wyrok? Czy konsekwencje trwają nadal? Patrząc na słoiczek po kremie do ust, Danielle zadała sobie po raz kolejny pytanie: Co by było, gdybym wtedy nie ukradła tego świństwa? Może te wszystkie przeżycia byłyby mi oszczędzone? Może nie dostałabym w głowę odłamkiem długopisu? I nie musiałabym patrzeć, jak bezuche zwierzę ciągnie po podłodze kuchni martwego czerwonego potwora?

Obracała słoiczek w dłoni i pytała wciąż „co by było, gdyby...?” Szansa, że znajdzie odpowiedź, wślizgnęła się bezszelestnie jak kot stąpający po salonowym dywanie.

Gdy Danielle podniosła głowę i skupiła wzrok, odkryła, że stoi we wnętrzu małego drugstore'u. Nie był to przytłaczający rozmiarami sklep, gdzie alejki ciągną się w nieskończoność, oferując setki rozmaitych witamin i aspiryn. Starczył rzut oka, by się zorientować, że jest to mały rodzinny interes, który zaopatruje okolicznych mieszkańców w podstawowe artykuły. Niektóre półki były puste, widocznie właściciele nie zdążyli uzupełnić

zapasów. Były wśród nich produkty, których Danielle nie widziała od czasów dzieciństwa.

Na końcu czterometrowej alejki ukazała się dwunastoletnia Danielle Voyles. Miała na sobie prostą sukienkę w marynarskim błękitcie, którą dorosła Danielle natychmiast sobie przypomniała. Włosy dziewczynki opadały tuż za uszy. Wyglądała uroczo, choć nie odznaczała się niczym szczególnym. Uwagę zwracał jedynie poobijany skórzany neseser, który trzymała w ręce— jakoś nie pasował do jej małej dłoni. Jak gdyby torba należała do jej ojca, który na moment gdzieś się oddalił, by zaraz wrócić.

Idąca alejką dziewczynka patrzyła na dorosłą Danielle nie— widzącymi oczyma. Coraz to przystawała, by wziąć coś do ręki, niemniej zbliżała się wolno do samej siebie.

Dorosła kobieta obserwowała ją z zachwytem przemieszonym z odrobiną niepokoju. Widok dwunastoletniej Danielle— nie wyblakłej postaci ze starej fotografii, ale żywej, oddychającej dziewczynki, nucącej coś pod nosem— był zbyt podniecający i surrealistyczny, żeby nie obudzić jej entuzjazmu. Ta piosenka... Oczywiście! Dziewczynka nuciła sobie *O, szczęśliwy dzień*.

W tej samej chwili zaszła jakaś zmiana. Zaczęło się od guzików.

Matka uszyła jej tę błękitną sukienkę, gdy Danielle miała jedenaście lat, i pozwoliła jej wybrać takie guziki, jakie chce. Spojrzawszy teraz na nie, dorosła Danielle przypomniała sobie wyraźnie moment, w którym je kupowała. Duże, okrągłe, białe guziki nabrały żółtego odcienia, aż w końcu stały się zielone. Zmieniły również kształt. Białe krążki zwinęły się w bananowożółte półksiężyce, które z kolei przeszły w zielonkawę żabki. Dziewczynka powoli podchodziła w stronę dorosłej Danielle.

Jako nastolatka Danielle nosiła zwariowaną, seksowną sukienkę z żółtymi guzikami w kształcie półksiężyców. W jej domowej garderobie wisiała podomka, w którą przebierała się po przyjściu z pracy. Zapinało się ją na małe zielone żabki. Tknięta złym przeczuciem, przeniosła spojrzenie z guzików na twarz zbliżającej się dziewczynki. Nie była to już twarz dwunastolatki. Wprawdzie jej ciało nie zmieniło się, ale rysy twarzy stały się nieostre, rozmazane; dziewczynka miała jakieś pięć, sześć lat.

Zatrzymała się przy jednej z półek i zdjęła stamtąd mały żółto–biały słoiczek Carmeksu. Rozejrzała się ukradkiem dokoła, po czym odkręciła wieczko i zanurzyła pół palca w pachnącym kremie. Posmarowała nim swoje małe usta. Zakręciła wieczko i ruszyła w stronę półki, aby odłożyć krem na miejsce. W połowie drogi opuściła rękę do boku. Jeszcze raz upewniła się, że nikt nie nadchodzi, i wsunęła Carmex do przedniej kieszonki sukienki.

Dorośla Danielle zdała sobie nagle sprawę z dwóch rzeczy, które na zawsze zmieniły to, jak postrzegała samą siebie.

Mimo że pierwszej kradzieży dokonała, mając lat dwanaście, prawdziwą sprawczynią była sześciolatka Danielle. Nie uczennica siódmej klasy, która niedawno odkryła istnienie chłopców i wstydziła się nosić do szkoły stary neseser swego ojca. Nie. To nie ta Danielle była złodziejką.

Rzeczywiście, jej ciało miało dwanaście lat, kiedy stojąc w drugistorze, usłyszała w głowie wrzask „Ukradnij to!” Jednak to gotowa do ryzyka sześciolatka odepchnęła od siebie wątpliwości i podwędziła krem.

Danielle uświadomiła sobie po raz pierwszy, że o naszym postępowaniu decyduje suma jaźni, które w nas żyją. Nie tylko „ja” tu i teraz. Nie sposób przewidzieć, która z nich zdominuje pozostałe.

Drugi wniosek wypłynął z pierwszego: wszystkie nasze jaźnie–zarówno dawne, jak i dzisiejsze– determinują nasze życie.

Danielle Voyles nie zaczęła kraść w wieku dwunastu lat. Zaczęła kraść, gdy jej sześciolatnia jaźń kazała tak zrobić dwukrotnie starszej Danielle.

Kobieta nakryła usta drżącą dłonią. Miała dwadzieścia dziewięć lat i zmarnowane życie. Nie tylko z własnej winy. Jak duża część jej szarej egzystencji była skutkiem niewłaściwych decyzji podjętych przez niewłaściwe jaźnie? Ile razy powinna była okazać więcej cynizmu albo zaufania, być starsza lub młodsza niż osoba, do której należało ostatecznie zdanie?

Oczywiście tamta sześciolatka ciągle żyła w dwunastoletniej Danielle. Żyła w niej nawet teraz. Stanowiła fragment jej historii, jeden z pierwszych pierścieni w „drzewie” życia Danielle Voyles. Jednak minutę temu kobieta nie miała pojęcia, że to dziecko nie tylko nadal w niej żyje, ale że co najmniej raz odegrało kluczową rolę w kształtowaniu jej przeznaczenia.

Ktoś pociągnął ją ze rękaw. Danielle opuściła wzrok i zobaczyła dwunastoletnią dziewczynkę w błękitnej sukience. Już miała jej przytaknąć, ale powstrzymała się i pokręciła głową. Nie, to nie w porządku. Nie rozumiała, co się dzieje. Przecież dziewczynka jej dotknęła: a więc musiała ją widzieć.

– Do zobaczenia przed sklepem– rzuciła tamta i obróciła się w stronę wejścia.

Cóż było robić? Danielle ruszyła za nią.

Zobaczyła przez okno, że na dworze siąpi deszcz. Podchodząc do wejścia, spostrzegła również, że mimo mżawki parking przed drugstore'em

roi się od ludzi. Po obu stronach placu stały raptem dwa samochody, na środku zaś ustawiono cztery długie stoły i ławy. Wszystkie miejsca były zajęte przez kobiety i dziewczynki. Danielle przemknęło, że to pewnie jakiś zlot skautek i ich matek, a może klubowe spotkanie kobiet z własnymi córkami.

Z powodu szarówki oraz odległości, jaka dzieliła ją od parkingu, nie przyjrzała się twarzom zebranych, dopóki nie wyszła na zewnątrz. Deszczyk był ciepły i przyjemny, choć uporczywy. W powietrzu niósł się zapach smażonego na grillu mięsa, mokrego betonu i drzew.

Danielle omiotła spojrzeniem stoły, szukając dziewczynki w błękitnej sukience. Zamiast niej znalazła inne wersje samej siebie: przy czterech stołach siedziały małe, młode i starsze Danielle Voyles.

Gdy trochę ochłonęła, nie oparła się pokusie, żeby wejść na parking. Kobiety zignorowały ją. Jadły żeberka z grilla i sałatkę ziemniaczaną, rozmawiały i wybuchały śmiechem. Dwie dziewczynki, obie mniej więcej w tym samym wieku, bawiły się w kosi–kosi–łapki. Dwudziestopięcioletnia kobieta upominała malutką Danielle o twarzy wysmarowanej czekoladą. Na końcu ławy sterczała samotna nastolatka, pochłonięta lekturą opasłego romansu (Danielle wciąż zaczytywała się w opasłych romansach), nawijając na palec pukiel długich włosów.

– Czy jest pani głodna?

Danielle obróciła się i ujrzała dziewczynkę w błękitcie unoszącą papierową tackę, na której leżały smakowicie wyglądające żeberka i porcja sałatki. W drugiej ręce miała kubek wypełniony brązowym płynem. Zapewne Dr. Pepper, jej ulubiony napój.

Bez słowa przyjęła poczęstunek i powędrowała za dziewczynką. Siedzące przy stołach kobiety zdawały się jej nie dostrzegać, choć odsunęły się na bok, robiąc miejsce na ławie. Dziewczynka klapnęła obok niej, oderwała spory kawał żeberka z tacki Danielle i od razu zaczęła jeść. Lewy policzek umazała sobie przy tym sosem. Otarła go wierzchem dłoni i wróciła do ogryzania kości. Było jasne, że mała woli jeść, niż rozmawiać, więc Danielle sięgnęła po swoją porcję. W ciszy mogła obserwować otaczające ją kobiety.

Każda miała inny głos. Jedne były piskliwe i drażniące, inne znowu niewyraźne i mrukliwe. Skupiła się na paru wybranych kobietach, aby sprawdzić, czy uda jej się dopasować głosy do twarzy. Rzadko się z sobą zgadzały. Dziewczynka mająca najwyżej dziesięć lat dudniła nisko i ochryple. Danielle przysłuchiwała jej się przez chwilę, nim się zorientowała, że mała jest przeziębiona. No oczywiście! W dzieciństwie, ilekroć łapała katar, głos obniżał jej się o oktawę, upodabniając się do żabiego kumkania. Chociaż chłopcy zaklinali się, że brzmi to ładnie i seksownie, Danielle miała wrażenie, że rechocze jak żaba.

Tymczasem mała dziewczynka siedząca naprzeciw niej postawiła na blacie papierowy kubek i beknęła głośno. Zlekceważono ją. Dorosłej Danielle także to nie przeszkadzało— do dzisiaj czkała na całe gardło, zwłaszcza gdy była sama i piła napój gazowany.

Rozpoznawała ubrania, torebki, fryzury. Pamiętała trzymane na kolanach lalki, tytuły czytanych powieści, żółty ołówek z bulwiastą gumką w kształcie śmiesznego klauna. Taniego niebieskiego walkmana z czarnymi słuchawkami, przez które na okrągło słuchała piosenek Chely Wright, bo idealnie wyrażały ból rozdzierający jej serce.

Zobaczyła kobietę w czarnym jedwabnym szlafroku, z głową owiniętą grubym białym bandażem przypominającym jakiś makabryczny kokon. Jej oczy i nos były obwiązane gazą. Jedząc, ostrożnie unosiła widelec do ust. Danielle kupiła ten czarny szlafrok w Victoria's Secret na krótko przed wypadkiem, żeby zaimponować mężczyźnie, który właśnie pojawił się w jej życiu. Jeden z najdroższych ciuszków w jej garderobie. Ktoś świsnął go z sali, w której leżała, tuż przedtem, jak wypisano ją ze szpitala. Obok kobiety stało kilkuletnie dziecko i gapiło się z rozdziawioną buzią na tę tajemniczą czarno–białą mumię, przeżuwającą pomału kęski mięsa.

Nie bacząc na mżawkę, Danielle jadła żeberka i od czasu do czasu zerknęła na swoje dawne klony. Ogarnął ją spokój. Nadstawiała ucha, by łowić prowadzone przy stole rozmowy. Ktoś opowiedział ten stary, ale wciąż zabawny dowcip o ginekologu i bakłażanie. Danielle już o nim zapomniała. Puenta zabrzmiała dokładnie tak, jak ją wówczas opowiadała. Inna Danielle mówiła o swoim chłopaku– że jest mu potrzebne nowe auto i że zamierza kupić subaru. Tym samochodem jechała, gdy nieopodal rozbił się samolot. Słuchała, obserwowała i jadła.

Wkrótce– zbyt wcześnie– zaczęły do niej docierać historie, których wolałaby nie usłyszeć. Kłamstwa, opowiedziane z pełną świadomością, wykręty, mające usprawiedliwić jej fatalne decyzje, złe zachowanie, kiepski humor. Większość z otaczających ją kobiet i dzieci miała coś na sumieniu; były to tchórzliwe, zahukane i słabe Danielle z różnych etapów jej życia. Prawie wszystkim marzyło się, aby fortuna wskazała na nie palcem i włożyła im koronę na głowę. W głębi serca jednak nie wierzyły, że tak się nie stanie, ponieważ na to nie zasłużyły. Mała, młoda czy stara Danielle Voyles nie wyróżniała się niczym szczególnym. Całe życie kłamała i

pozowała, udając kogoś, kim nie była, a wszystko po to, żeby jej znajomi i przyjaciele– koleżanki z podwórka, bracia i siostry w wierze, potencjalni narzeczeni czy koleżanki z pracy– docenili jej urodę, inteligencję, poczucie humoru.

Przez całe życie chciała pod każdym względem uchodzić za lepszą, niż była naprawdę. Brakowało jej rozumu, urody i środków. Danielle Voyles stanowiła bladą kopię osoby, której obraz usiłowała sprzedać światu. Pomimo kłamstw i podstępów jej autoreklama odniosła dość umiarkowany sukces.

– Przepraszam, czy mogę się przysiąc?

Uniosła wzrok i zobaczyła swoje lustrzane odbicie. Ubranie, buty i uczesanie pytającej odwzorowywały ją dokładniej niż jakakolwiek inna kobieta.

– Tak, oczywiście.– Przesunęła się na ławie, zmuszając dziewczynkę w niebieskiej sukience do usunięcia się. Jej siostra bliźniaczka miała tackę z tym samym jedzeniem, które parę minut temu ona dostała od dziewczynki i które przy pomocy tejże zdążyło już prawie zniknąć.

– Jak to jest?

– Proszę?

– Jak wygląda przyszłość?

Danielle popatrzyła na swój klon, sądząc, że tamta żartuje.

– Jak wygląda przyszłość? Czy nie jesteśmy w tym samym wieku?

Nosimy te same rzeczy. Wyglądamy podobnie...

– Jest między nami dziesięć minut różnicy.

– Dziesięć minut?

– Jestem dziesięć minut młodsza od ciebie. Spójrz na mój talerz– jest pełny. Ja zaczynam jeść, a ty już skończyłaś.

– Żartujesz sobie?

– Bynajmniej. Rozejrzyj się. Jak widać, my wszystkie jesteśmy tobą. Tyle że ja jestem ci najbliższa w czasie. Chciałabym więc, żebyś mi powiedziała, co nas czeka w przyszłości.

– Przecież to absurd! Siedzę tutaj, przy tym stole, i rozmawiam z tobą: to jest przyszłość. Czy wyglądam inaczej? Czy widzisz między nami jakąś różnicę? Jesteśmy identyczne. Jakim cudem miałabym wiedzieć o czymś, czego ty nie wiesz?

Danielle numer dwa spojrzała na nią jak na największą idiotkę chodzącą po kuli ziemskiej.

– Jesteś ode mnie starsza o sześć tysięcy sekund. Czy zdajesz sobie sprawę, ile myśli, decyzji, odczuć i pytań zrodziło się przez ten czas w twojej głowie?– Skrzywiła się.– Zapewniam cię: różnimy się od siebie. Jesteś naszą wspólną przyszłością.– Zagarnęła gestem siedzące przy stołach Danielle. Wszystkie patrzyły tylko na nią.– Wiesz, co się z nami stanie. Bez względu na etap życia, na jakim jesteśmy, wiesz, co nastąpi później. To czyni cię kimś szczególnym.

Wskazała na kobietę z obandażowaną głową, która także siedziała zwrócona do nich przodem, z rękoma skrzyżowanymi na mokrym od deszczu blacie.

– A ona? Ciągłe martwi się, jak będzie wyglądać po zdjęciu bandażu. Czy nie pogorszy jej się wzrok? Albo słuch? Nikomu o tym nie mówi, ale czasami niedosłyszy. Czy ta wada się nasili?

Wskazała na dziewczynkę w błękie.

– Co z nią? Czy nadal będzie kradła po sklepach? Czy pokazała swoją prawdziwą naturę? A może ten Carmex to była jednorazowa kradzież? Chce cię zapytać, czy jest już na zawsze potępiona w oczach Boga?

Danielle spojrzała na dziewczynkę; tamta miała zmartwioną minę.

Od stołu wstała dwudziestoparoletnia Danielle.

– Chyba jestem w ciąży– odezwała się.– Boję się kupić domowy test ciążowy w aptece. Boję się, że wynik będzie pozytywny.

Gdy Danielle miała dwadzieścia dwa lata, poznała w nocnym klubie przystojnego rudzielca, który okazał się wręcz bajecznym kochankiem. Kochali się, kiedy i gdzie się tylko dało. Seks nigdy jej tak nie kręcił. Mimo że brała tabletki antykoncepcyjne, przez trzy nerwowe tygodnie była przekonana, że zaszła w ciążę. Długotrwały stres sprawił, że świat wokół niej skurczył się do rozmiarów dziurki od klucza. Starsza Danielle pokręciła głową.

– Nie jesteś w ciąży. Nie martw się. Po prostu spóźnia ci się okres.

Twarz dwudziestolatki pojaśniała. Klasnęła szybko w dłonie jak mała dziewczynka.

– Prawie wszystkie mają pytania. Obejdź stoły i odpowiedz im, jeśli chcesz.

– Kto ich nie ma? Czy są takie Danielle, które nie mają żadnych pytań?

Bliźniaczka uśmiechnęła się i skinęła z uznaniem.

– Dobre pytanie. Owszem, te które są zadowolone z życia.

– Dlaczego sama im nie pomożesz? Jesteś tylko dziesięć minut młodsza ode mnie. Tak samo dobrze wiesz, co się z nimi stanie.

– Nie jesteś tą samą osobą, którą byłaś przed dziesięcioma minutami– odrzekła natychmiast tamta, jakby spodziewała się tego pytania.– Może dowiedziałaś się czegoś, o czym ja nie wiem. Może rozwiązałaś problem, który mnie wciąż się wymyka.

Danielle ponownie przyjrzała się młodej kobiecie, która bała się, że jest w ciąży. Tamta szczebiotała coś do swojej sąsiadki, śmiejąc się z wyraźną ulgą. Danielle wiedziała, że wkrótce rudy przystojniak rzuci ją bez pardonu i w najmniej spodziewanym momencie. Dziewczyna nie będzie w stanie zdecydować, co bardziej ją boli– jego odejście czy fakt, że przestali się kochać. Pół roku później mężczyzna wysłał jej wiadomość tekstową, w której zasugeruje (jego słowo), aby poddała się badaniu na obecność wirusa HIV, gdyż okazało się, że jest chory na AIDS. Pod koniec koszmarnej tygodnia, samotna i przerażona, zrobi badania, które dadzą wynik negatywny.

Czy powinna ją o tym uprzedzić? Podejść do tej tryskającej radością młodej kobiety i ostrzec ją. Wolnego, najgorsze przed tobą. Facet, z którym jesteś, na zawsze odmieni twoje spojrzenie na mężczyzn. Od tej pory będziesz ich traktować inaczej. Nikt nie zaspokoi głodu, jaki zostawi po sobie rudzielec. W końcu rozbije ci serce w drobny mak i przerazi cię do szpiku kości. Zaczнешz nienawidzić mężczyzn, seksu, siebie...

– No więc? Odpowiesz im?

– Nie wiem. Nie mogę się zdecydować.

W końcu się zgodziła. Starannie redagując i cenzurując swoje odpowiedzi, wysłuchiwała pytań, a potem usiłowała sobie przypomnieć, w jakim stanie umysłowym była w wieku, w którym jest jej rozmówczyni. Czy tamta poradzi sobie z przekazanymi informacjami? Danielle ujawniała tylko

tyle, ile uznała za niezbędne. Gdy jej odpowiedzi mogłyby przynieść więcej szkody niż pożytku, dyplomatycznie kierowała rozmowę na inny tor.

Niedoszła ciężarna zapytała, czy jej obecny chłopak to ten jedyny do końca życia. Danielle zaprzeczyła i uspokoiła ją. To nic, odkryje w nim wiele nieprzyjemnych cech. Gdyby za niego wyszła, później gorzko by tego żałowała. Dopóki są ze sobą, powinna czerpać radość z seksu i nie spodziewać się po tym facecie zbyt wiele.

Pocieszyła kobietę z obandażowaną głową. Wprawdzie zostanie jej blizna, ale wróci do zdrowia oraz w pełni odzyska wzrok i słuch. Choć trudno w to uwierzyć, owo straszne doświadczenie w pewien sposób ją wzmocni: Danielle nauczy się doceniać i smakować piękno życia.

Nie wspomniała o nocnych koszmarach i atakach paniki, które będą ją dręczyć miesiącami po wyjściu ze szpitala. Czasami, wyszedłszy z domu, będzie miała urojenia. Godziny jej dni nasyci czarna rozpacz, która każe jej zamknąć się w czterech ścianach małego mieszkania, odizolować się od zdradliwego świata.

Przesuwając się między stołami, Danielle łagodziła obawy, rozpraszała wątpliwości, podnosiła na duchu. Pytania ciągle kapały, podobnie jak deszcz. O dziwo, nikt nie dociekał, co się stanie na dłuższą metę, za kilka lat; każda z Danielle interesowała się swoim życiem w tym momencie, no, może tydzień czy miesiąc później. Dzieci nie pytały o swoją dorosłość, dorosłe nie pytały, co będzie za rok. Życie było teraz.

– Moja kolej.

Danielle z ulgą oddzieliła się od reszty. Była zmęczona. Jadła placek pekanowy, nadziewając go na biały plastikowy widelec. Bliźniaczka usadowiła się obok niej i powtórzyła dobitnie:

– Moja kolej.

Danielle umieściła w ustach kawałek placka i zaczęła go żuć. Skorupka orzecha uraziła ją w ząb; skrzywiła się, przymykając jedno oko. Gmerając palcami w ustach, wyłowiła skorupkę i położyła ją na skraju tacki. Odchrząknęła.

– Ty też masz do mnie pytanie?

– Owszem.

Uśmiechnęła się i odkroiła następną porcję ciasta.

– Słucham– zachęciła.

– Czemu o nic ich nie zapytałaś?

– Co proszę?– Tego się nie spodziewała. Przestała przeżuwać i utkwiała wzrok w swojej młodszej o dziesięć minut bliźniaczce. Czy ona rzeczywiście oczekuje odpowiedzi?

– Dlaczego miałabym je o cokolwiek pytać. Należą do przeszłości. Nic mi po ich odpowiedziach. Było, minęło.

– Nie chcesz pamiętać, kim byłaś? Przypomnieć sobie szczegółów, które zatarły się w pamięci? Nie uważasz, że mogłoby ci to pomóc?– Każde kolejne zdanie jej bliźniaczki brzmiało coraz głośniej, coraz bardziej natarczywie.

Danielle skupiła uwagę na swoim deserze. O ile pierwsze pytanie wydało jej się dziwne, o tyle przy następnym uznała, że jej bliźniaczka dzieli włos na czworo. Nie interesowało jej to.

– Wszystko jedno.

– To nie jest odpowiedź.

– Wszystko jedno.

Bliźniaczka musnęła dłonią po stole. Tacka Danielle wyleciała jej z ręki i upadła na ziemię daleko od miejsca, gdzie siedziały.

– Co jest?!

– Obudź się. Najwyraźniej nie dociera do ciebie sens tego, co się tutaj dzieje. Rozejrzyj się, głuptasie. Masz przed sobą całe życie. Nie jesteś go ciekawa? Odpowiedziałas na pytania, a sama nie zadałaś ani jednego. Jak można tak ignorować własną historię?

– O co mam pytać, he?– odszczeknęła urażona Danielle.– O co mam ją pytać?– Machnęła dłonią w kierunku nastolatki, która wciąż ślęczała nad książką.

Bliźniaczka podeszła do nastolatki i poprosiła, aby ta przysiadła się do nich. Wzdychając melodramatycznie, dziewczyna zamknęła książkę i powiedziała: „W porządku”. Bliźniaczka zaczęła ją wypytywać o jakieś drobiazgi. Nastolatka odpowiadała cierpliwie, lecz było widać, że marzy jedynie o tym, by zostawiono ją w spokoju i pozwolono czytać.

– Jaki był najgorszy sen w twoim życiu? Pamiętasz go?

Dziewczyna ożywiła się. Wyrzuciła z siebie jednym tchem, jakby nie mogła nadażyć:

– Pewnie. Jak byłam mała, przyśniło mi się coś tak okropnego, że ciągle to pamiętam. Śniło mi się, że miałam wypadek samochodowy. No, może nie tak całkiem samochodowy, bo jechaliśmy ulicą i nagle gdzieś na polu, niedaleko nas, rozbił się samolot. Odpadały od niego różne części i leciały w naszą stronę. Jedna uderzyła mnie w głowę. Zupełnie jakby ktoś nas ostrzelał. Miałam straszego pietra.

Danielle popatrzyła z niedowierzaniem na nastolatkę, a potem kazała kobiecie powtórzyć jej słowa, aby potwierdzić to, co usłyszała.

– Śniłaś, że jedziesz samochodem i nagle rozbija się obok ciebie samolot?

– Tak. I jeden ze szczątków uderza mnie o, tutaj.– Dziewczyna wskazała na skroń.

Danielle, zapominając o nastolatce, spojrzała na swoją bliźniaczkę.

– Czy to prawda? Że wypadek przyśnił mi się, kiedy byłam w jej wieku?

Tamta skinęła głową.

– Dlatego nalegałam, żebyś zadała im pytania.

– To ja śniłam o tym wypadku?

– W najdrobniejszych szczegółach.

To, co opowiedziały jej inne Danielle, sprawiło, że w końcu się załamała. Opuściła głowę na pierś i się rozplakała. Tak wiele historii i wspomnień ulatuje w niebyt. Zdumiewające, piękne sny. Lęki, nadzieje, rozterki. Najwyraźniej zapomniała o wszystkim, co ważne i ciekawe.

– Ale jak? Jak mogłam zapomnieć o tak dużej części mojej przeszłości?– Zwróciła się do opanowanej dwudziestopięcioletniej Danielle Voyles, ale jej pytanie oraz proszący ton głosu nie przypadły tamtej do gustu; odmaszerowała, kręcąc głową. Danielle jeszcze raz zapytała swoją najbliższą bliźniaczkę:

– Dlaczego tak wiele zapominamy?

– No właśnie: dlaczego?

– Okej. Pytam ciebie.

– Ty krasiwaja.

– Co?

– Ty krasiwaja. Nie pamiętasz?

– Nie.

– To po rosyjsku: „Jesteś piękna”. Danielle otarła z twarzy deszcz i łzy.– Ty...?

Bliźniaczka powtórzyła wyraźnie, jak nauczycielka obcego języka pracująca nad wymową swojej uczennicy.

– Ty krasiwaja.

– Nie, nie pamiętam.

– Tak mówi pan Malozemoff– wtrąciła się dwunastolatka w niebieskiej sukience, która bez przerwy kręciła się nieopodal.

Nazwisko wydało się Danielle znajome, lecz nie mogła go z nikim powiązać.

– Mówi tak czasem, gdy wchodzę do jego sklepu kupić gumę do żucia albo coś takiego.

Słowa małej poruszyły lawinę wspomnień. Gdy jako dwunastolatka wchodziła do sklepu ze słodyczami pana Malozemoffa, chudy jak szczapa Rosjanin zawsze stał w drzwiach, palił papierosa i się uśmiechał. Czasem odzywał się do dzieci po rosyjsku, żeby je rozbawić. Lubił Danielle i było mu jej żal. Słyszał o jej surowych, religijnych rodzicach, ponadto dziewczynka nie miała chyba wielu przyjaciół. Kiedyś więc powiedział do tej szarej myszki: „Ty krasiwaja”. Gdy spytała, co to znaczy, przetłumaczył: zarumieniła się z radości. Przy następnej wizycie poprosiła nieśmiało, aby zapisał to zdanie na kartce. Później powtarzał je czasem, pod warunkiem że byli sami, nie chciał bowiem wprawiać jej w zakłopotanie. Nikt inny nie powiedział Danielle, że jest piękna. Ale jak to bywa– dawno już zapomniała i o panu Malozemoffie, i o małym, ale ważnym komplemente.

– Jak mogłam zapomnieć?– Urwała, aby wyrównać oddech.– Jak mam sobie przypomnieć po tylu latach?– Spojrzała na swoją bliźniaczkę i nagle coś drgnęło w jej umyśle.– Jakim cudem ty pamiętałaś pana Malozemoffa? Jesteś ode mnie o dziesięć minut młodsza, a ja nie pamiętałam go dziesięć minut temu.

– Jestem twoją przeszłością– wyjaśniła bliźniaczka.– Gdy przeminął mój czas, stałam się częścią historii Danielle Voyles. Dołączyłam do innych. Wtedy wie się wszystko to, co i one.

– Zatem istnieję ja, która żyję w tym momencie.– Danielle położyła obie ręce na piersi.– I istniejecie wy. Między nami jest coś w rodzaju ściany. Wy pamiętacie wszystko, co zaszło w moim życiu. Ja pamiętam tylko niektóre urywki, bo żyję w tej chwili.

– Tak jest.

Nasunął jej się obraz świetlików. Danielle nie należała do ludzi, którzy myślą metaforami, teraz jednak jej wspomnienia przybrały formę robaczków świętojańskich. Jako mała dziewczynka biegała po podwórku za domem i łapała je do słoika. Przyglądała im się parę minut z bliska, po czym wypuszczała z powrotem w letnią noc. Chyba im to nie przeszkadzało. Zrobiło jej się smutno, gdy uzmysłowiła sobie, że wspomnienia całego życia przypominają tak naprawdę zamknięte w słoiku świetliki.

– Lilak.

– Co?

– Lilak. Przez całą wiosnę sklep pana Malozemoffa pachniał bzem. Na ladzie stały w wazonie wielkie krzaki lilaka.– Danielle ucieszyła się, przypomniawszy sobie ten drobny szczegół.

– Chodzi ci o te obwisłe fioletowe kwiaty, które trzyma w sklepie?–
spytała dziewczynka.

– Tak. Zawsze stawiał ten wazon na gablocie z cygarami. Pamiętam.
Szkoda, że tak mało. Chciałabym przypomnieć sobie całe życie. Ale jak?
Jak przywołać to, co minęło?

Bliźniaczka wycelowwała kciukiem w kobiety siedzące przy czterech
drewnianych stołach.

– Może warto by z nimi jeszcze trochę porozmawiać?

TTLRR

11.

Coś tu jest nie tak.

– Teraz nam to mówisz?

Stali we troje na chodniku przed blokiem Danielle Voyles. Pilot, który był z nimi parę minut temu, nagle oddalił się w niewiadomym kierunku.

– To był twój pomysł, Ben. Mówiłeś, że Danielle może mieć kłopoty, więc przyszedliśmy tutaj. Teraz mówisz, że coś jest nie tak. No więc co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? Wejść do budynku i sprawdzić, czy nic jej się nie stało?

– Czuję po prostu, że coś się nie zgadza. Nie dam głowy, że Danielle jest w domu. Kiedy szliśmy tutaj, myślałem, że będzie trzeba jej pomóc. Wydawało mi się, że ma kłopoty. Ale coś się zmieniło. Wszystko wygląda jakoś inaczej...

– Świetnie. Bardzo odkrywczą obserwacją: „wszystko wygląda jakoś inaczej”.

– Czy możesz przez chwilę nie ironizować, Ling? Muszę nad tym pomyśleć.

Zjawa podeszła do drzwi.

– Szkoda czasu. Wejdem tam i się rozejrzę. Ben powstrzymał ją ruchem ręki.

– To nie najlepszy pomysł. Nie możesz już robić tego, co dotychczas, Ling. Nie wiadomo, czy tam jest bezpiecznie.

– A co miałyby mi się stać?– prychnęła drwiąco.– Miałabym umrzeć? Nie cofając ręki, Ben uszczypnął ją mocno w ramię.

– Auu!– Ling wyrwała się i zaczęła rozcierać obolałe miejsce.– Zgłupiałeś? Co ty wyrabiasz?

– Pokazuję ci, czym jest ból. Ty też go odczuwasz. Tak, Ling, możesz umrzeć, i to w strasznych męczarniach. Czy wiesz, dokąd po śmierci idą stare duchy przemienione w ludzi? Bo ja nie. Powiedzieli ci to przed zesłaniem?

– Ben?– powiedziała German.

Świdrował Ling spojrzeniem, aby się upewnić, że dokładnie go rozumiała.– Ben?– Co?

– Patrz.– German wskazywała przed siebie. Na drugim końcu chodnika, pod latarnią, zebrała się grupka zwierząt; oprócz Pilota były tam dwa psy, dwa koty i kilka wielkich szcurek. Zwierzęta wyglądały, jakby się naradzały.

Nagle ruszyły w stronę ludzi. Zbliżywszy się na odległość kilku kroków, zeszły z chodnika i skierowały się do budynku. Pilot minął ich najbliżej, nie odzywając się, jakby w ogóle ich nie widział. Gdy jednak znalazł się przed drzwiami wejściowymi, okręcił się i wrócił po własnych śladach.

– Idziemy się rozejrzeć– oznajmił Benowi.– Dla was jest tam zbyt niebezpiecznie. Czekać na nasz powrót.

– Pilot...

Ignorując Bena, pies oddalił się truchtem.

Zwierzęta mieszkały w okolicy, tak więc świetnie znały blok Danielle. Szczury obeszyły budynek i dostały się do wnętrza przez wybite okienko piwniczne, które służyło im od lat. Po otrzymaniu od szcurek sygnału „droga wolna” do akcji wkroczyły koty.

Pilot ustawił się w połowie drogi między frontem a tyłem budynku, aby mieć pewność, że szczury i koty weszły bez problemu do środka. Wtedy szczechnął w umówiony sposób do dwójki psów stojących na trawniku, pod otwartym parterowym oknem. Natychmiast rzuciły się na siebie. Warcząc głośno i miotając się, wyglądały, jakby rzeczywiście zamierzały

zagryźć się na śmierć. Z bliska było jednak widać, że cała ta awantura jest udawana; zwierzęta nie robiły sobie krzywdy.

Po chwili z bloku wyskoczył dozorca, wymachując pomarańczową miotłą.

– Wynocha, kundle! Precz stąd!

Psy odsunęły się w stronę ulicy, lecz nie przestały na siebie naskakiwać, mimo że dozorca usiłował wepchnąć między nie miotłę. Pilot, widząc, że mężczyzna na dobre wdał się w walkę, wkradł się do bloku przez otwarte drzwi.

Szczury i koty myślą odmiennie. Szczury są dużo bardziej inteligentne, ale też chciwe – kusi je łatwy zysk. Natomiast koty cechuje na ogół większy dystans do świata. Przestają jeść tuż po zaspokojeniu głodu. Gdy ktoś lub coś je nudzi, wychodzą bez oglądania się na cudze uczucia. Nie mają natury dyplomatów i nie tolerują głupców. Życie wydaje im się w równym stopniu zabawne i żalosne. I nie uważają tego za wewnętrzną sprzeczność. Czyż nie można jednocześnie uśmiechać się i wzdychać?

Gdy tylko szczury weszły do bloku Danielle, zaczęły z miejsca szukać czegoś do jedzenia, choć nigdy by się do tego nie przyznały. Zapominając o danej Pilotowi obietnicy, pozostały wierne swojej szczurowatości: najpierw jedzenie, potem praca. Obwąchując podłogę piwnicy, szukały przekąsek, a nie Danielle Voyles. Były w tym budynku parę dni wcześniej, lecz wielolet-

nie doświadczenie nauczyło je, że w tym czasie mogły się tu pojawić zgubione, porzucone i pozostawione smakołyki.

Podczas gdy szczury myszkowały po kątach i zakamarkach, koty opanowały klatkę schodową na parterze. W trakcie ulicznej narady szczury poinformowały, że dozorca zwykle zostawia uchylone drzwi do piwnicy, aby jego kot mógł tam schodzić. Poza tym mężczyzna nienawidzi psów, dlatego odgłosy walki z pewnością wywabią go z bloku.

Tak szczury, jak i koty mają niezwykle wyostrzony zmysł powonienia, tyle że posługują się nim w różnym celu. Szczury to przyziemni pragmatycy: łowią woń niebezpieczeństwa, jedzenia i partnera— inne zapachy ich nie interesują. Liczy się tylko chwila obecna. Jeśli samiec jest podniecony seksualnie i pożąda samicy, która niedawno urodziła młode, to załatwia sprawę, pożerając jej potomstwo. Szczurze życie to nie sielanka. Przywyknij. Zdaj się na swój nos, najedz się i zmiataj, bo wszyscy cię nienawidzą i życzą ci źle. Żadne inne zwierzę nie wyczuwa zagrożenia równie szybko i bezbłędnie jak szczur.

Pilot, zwracając się do nich o pomoc, wiedział, że musi uzupełnić ich wąską praktyczność o poetycką wrażliwość, tak więc „wezwał do akcji” wszystkie koty, które akurat krążyły w pobliżu i były chętne do pomocy. Koty wachają powietrze tak, jak zawodowi kiperzy oceniają smak wina. Nabierają w nozdrza odrobinę powietrza i długo, z rozmysłem opłukują nim głowę, „wsluchując się” we własne wrażenia. Szczury także potrafią ocenić poszczególne składniki powietrza, ale te subtelności zupełnie ich nie obchodzą, gdyż nie łączą się z natychmiastową nagrodą. Koty traktują zapachy tak poważnie, że czasami udają, iż są zajęte pielęgnacją sierści, gdy tymczasem główkują, by nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków.

Pilot dobrze pamiętał zapach Danielle Voyles i jej mieszkania, które kiedyś odwiedził. Opisał je swoim towarzyszom i poprosił, aby stwierdzili, czy woń, którą wyczują po wejściu do środka, będzie żywa. Zwierzęta bowiem, w odróżnieniu od ludzi, używają zapachu w czasie teraźniejszym i przeszłym. Natychmiast wiedzą, czy coś lub ktoś znajduje się ciągle na miejscu czy nie. Dlatego Pilot poprosił o pomoc jedne i drugie. Szczury najprędzej wyczuwają niebezpieczeństwo. Ale gdyby się okazało, że Danielle nie ma w mieszkaniu albo że coś jej

Pilot chciał usłyszeć w tej sprawie zdanie kotów. Zazwyczaj koty, szczury i psy odnoszą się do siebie z pogardą. Pilot zebrał dziś tę grupę, ogłaszając formalny apel o „rozejm w walce z chaosem”, czyli RoWaCh. Było to o tyle wyjątkowe, że od wielu pokoleń żadne zwierzę nie prosiło o RoWaCh. Wydarzenie to musiało odbić się szerokim echem w całym królestwie zwierząt. Niektórzy twierdzili, że pierwszy RoWaCh zapanował na Arce Noego. Bo jak inaczej udałoby się przetrwać tak licznym gatunkom zwierząt na tak małej przestrzeni bez wzajemnego pożarcia się i rzezi, z której ocaleliby tylko najlepiej przystosowani? Inni uważali, że RoWaCh zaczął się znacznie wcześniej – może nawet w erze dinozaurów. Zdania były podzielone.

Zwierzęta uczą się ogłaszać rozejm w młodości. Jednak wezwanie to jest ryzykowne i niebezpieczne. RoWaCh ogłoszony w niewłaściwym czasie lub z niewłaściwego powodu mógłby zdradzić ludziom jedną z wielkich tajemnic Natury: tę mianowicie, że w razie potrzeby zwierzęta – wszystkie bez wyjątku – rozumieją się nawzajem. W chwili urodzenia poznają dwa języki: własnego gatunku i uniwersalny. Tylko ludzie zapominają tego uniwersalnego języka, gdy osiągają wiek, w którym zaczynają mówić.

Staruszka wychodziła z mieszkania, gdy zobaczyła przemykającego się korytarzem kota. Nie lubiła kotów. Były brudne, bałaganiarskie i głośne. Koty to naciągacze. Odbierają człowiekowi wszystko, a potem umierają. Tak samo jak mężczyźni. Ale przynajmniej mężczyźni mówią twoim językiem i od czasu do czasu można się do nich przytulić. Kto by się chciał przytulić do porośniętej brudną sierścią kulki?

– Uciekaj stąd, a sio!

Kot obrzucił staruszkę, wścibską sąsiadkę Danielle Voyles, tak lekceważącym spojrzeniem, że ta miała ochotę go udusić.

– Nie słyszysz, co do ciebie mówię?!– zawołała tonem rozkazu,– Precz!

Wtedy zjawił się drugi kot, który był jeszcze brzydszy. Czar– no– pomarańczowy. Wyglądał jak dynia, która uchowała się po święcie duchów. Dwa bezańskie koty płaczą się po jej bloku? To pewnie wina dozorczy– i jego zawszonego kocura. Może zaprosił te dwa typki na obiad? Może zamierzają w nocy balować, jeść i oglądać telewizję?

Ona nie dopuści do tego. Staruszka zrobiła krok w stronę łobuzów, aby pokazać im, kto tu rządzi, gdy raptem zza ich pleców wyszły trzy wielkie szczury. Zwierzęta ruszyły ku niej zwartym szeregiem jak czarne charaktery w filmie kowbojskim. Szczury jej nie przeszkadzały. Były szczwane i wredne, wiedziały, czego chcą. Podobnie jak staruszka. W głębi ducha podziwiała je za nieustępliwość. Ale nie teraz. Kto wie, jakie niegodziwe zamiary leży się w tych łebkach? Jak wiadomo, zwierzęta w grupie stają się niebezpieczne, choćby były to dwa koty i trzy szczury wędrownie. Pięć zwierząt z ostrymi jak brzytwa zębami zbliżało się do staruszki. Wsunęła

drżący klucz z powrotem do zamka, pchnęła drzwi na oścież i dała susa do mieszkania.

Nie przejęły się tym, że kobieta je widziała. Za parę minut opuszczą budynek, więc żeby im coś zrobić, musiałyby się posłużyć bronią. W dalszym ciągu posuwały się korytarzem. Doszedłszy do mieszkania Danielle Voyles, cała piątka pochyliła się i wetknęła nosy w szczelinę pod drzwiami. Zwierzęta wciągnęły powietrze jak na komendę.

Pilot pokonał ostatni stopień klatki schodowej i wspiał się na piętro. W tym momencie zwierzęta odwróciły się od drzwi Danielle i skoczyły do ucieczki. Biegły w jego stronę korytarzem z przerażonymi minami.

– Stójcie!– zawołał Pilot. One jednak minęły go pędem, zbiegły po schodach do piwnicy i wysypały się przez dziurę w oknie, nie zatrzymując się ani na sekundę. Jeden ze szczurów był tak zatrwożony tym, co wyczuł w mieszkaniu Danielle, że pędząc chodnikiem, dostał ataku serca i umarł. Jego pobratymcy nawet nie spojrzeli na dygoczące ciało.

Stojąca na chodniku trójka ludzi zobaczyła, jak zwierzęta wypadają z bloku i znikają na horyzoncie. Nikt się nie odezwał; na szczęście szczur, który umarł ze strachu, upadł zbyt daleko od nich, żeby ktoś to zauważył. Dwa psy, które zamarkowały walkę na trawniku, ulotniły się zaraz po tym, jak reszta zwierząt dostała się do budynku.

– Pilot został w środku. Ciekawe, co się stało?

– Sama chciałabym wiedzieć.

– Wchodzimy?

– Kazał nam czekać.

– Tak, zanim pojawili się oni.– Ling wskazała podbródkiem w kierunku uciekinierów.

– Co myślisz, German?– spytał Ben, ale nie zdążyła mu odpowiedzieć.

Ni stąd, ni zowąd rozległ się dziwny, przenikliwy pisk. Nie brzmiał jak krzyk ani wołanie o pomoc. Był głośny, niepokojący i tajemniczy.

– A to co, do diabła?

Ben, German i Ling zlustrowali blok Danielle Voyles, a następnie popatrzyli po sobie czujnym wzrokiem, jak gdyby pytali „co to takiego?”

Pisk powtórzył się, ale ciągle nie mogli go rozpoznać. Pewne było tylko to, że dochodził z wnętrza budynku, przed którym stali. Gdyby Ling zachowała swoje właściwości ducha, z pewnością by go rozszyfrowała. I pognałaby na oślep szybciej niż koty i szczury.

Siódmy zmysł podszeptał coś Benowi. Szybko dotknął karku nad ramieniem, jakby użądliła go tam pszczoła.

– Zaczekajcie tutaj. Ja wejdę do środka.– Żadna z kobiet nie zaprotestowała, zresztą nie odniosłoby to najmniejszego skutku. Cokolwiek Ben przed chwilą wyczuł, nasiliło się to teraz pochłaniając całą jego uwagę.– Zaczekajcie tutaj– powtórzył zamyślony i ruszył do budynku.

– Ben– zawołała nieśmiało German; nie miała pojęcia, co powie Benowi, jeśli się odwróci. On jednak szedł przed siebie, nie oglądając się. Jego imię zamarło na jej ustach, a obraz odchodzącego Bena zawisł nieruchomo przed jej oczami.

Nie biorąc pod uwagę tego, że drzwi wejściowe mogą być zamknięte na klucz, Ben przekręcił gałkę i pociągnął je do siebie. Wszedł między ciszę i głęboki cień. Nie bał się; był ciekawy.

Gdzie się podziiali wszyscy mieszkańcy tego bloku? Przecież tu zawsze panuje swoisty szum. Kroki na korytarzu, rozmowy i śmiechy zza

zamkniętych drzwi, włączony telewizor albo grająca muzyka. Tymczasem w bloku trwała głucha cisza. Jak makiem zasiał. Dlaczego? Gdzie dozorca? Pięć minut temu ciskał się po frontowym trawniku i wrzeszczał na psy. Gdzie jest jego mieszkanie?

Ben przemierzył korytarz i znalazł się na przeciwległej klatce schodowej. Danielle mieszkała na pierwszym piętrze. Tam się skierował. Nadal panowała cisza. Słyszeć było tylko szuranie jego butów na wyłożonych dywanikiem schodach.

Zatrzymał się i rozejrzał na lewo i prawo, sprawdzając, czy jest sam. Nikogo nie było. Ruszył w stronę mieszkania Danielle. Przemierzył połowę korytarza, gdy nie wiedzieć skąd buchnęła naraz głośna muzyka. Był to dyskotekowy przebój z lat osiemdziesiątych, znany Benowi tylko dlatego, że jego siostra lubiła tę piosenkę: *Mój zakazany kochanek* zespołu Chic. Muzyka dobiegała chyba z jednego z mieszkań na końcu korytarza. Ben przypomniał sobie wścibską staruszkę, przez którą poprzednio miał kłopoty. Czyżby to tam włączono tę piosenkę? Stara jędza słuchała Chiców?

Podszedłszy ostrożnie do drzwi, zobaczył, że są leciutko uchylone. Ponieważ na korytarzu zalegała cisza, Ben był pewien, że muzyka wypływa właśnie stąd. Spróbował zerknąć do mieszkania, ale szpara była zbyt wąska. Pchnął wolno drzwi czubkiem buta.

Pośrodku zagraconego salonu stara kobieta tańczyła rozebrana do naga. Zwrócona plecami do drzwi, płaśała dziko w rytm dyskotekowej muzyki. Nie był to ugrzeczniiony walc, gawot ani cza– cza. W momencie gdy Ben zerknął przez uchylone drzwi, staruszka wykonywała skomplikowaną sekwencję kroków disco dance. Opuściła ramiona i zakreśliła biodrami, dodając własne ruchy rąk. Wymyśliła ten taniec w

klubie Flip Flop w Bakersfield, słuchając wieczornego koncertu Glorii Gaynor, która śpiewała *Przetrwam*. Po dziś dzień zaklinała się, że Gloria, spostrzegłszy jej taniec, z podziwem skinęła jej głową ze sceny.

To była najwspanialsza noc w życiu Brendy Schellberger. Poszła na ten koncert z Howardem Smolakoffem, jedynym mężczyzną, którego naprawdę kochała. O trzeciej nad ranem wrócili do jego mieszkania, gdzie Howard ubłagał ją, aby zdjęła ubranie i *zatańczyła* nago tylko dla niego, tak samo jak tańczyła przez całą noc w klubie. Brenda czuła się seksowna, pożądana i zjednoczona z kosmosem, toteż nie dała się długo prosić. Zrzuciła ciuszki i oparła drżące ręce o nagie biodra, podczas gdy Howard nastawił płytę Donny Summer. Tańczyła non stop przez piętnaście minut; ani razu nie spojrzała na niego, by zbadać jego reakcję. Miała to gdzieś. Nie zależało jej na publiczności— tańczyła dla siebie, przepojona radością, w oku cyklonu szczęścia, jakim było życie. Aprobata, pochwała ani pożądanie Howarda nie były jej potrzebne, chociaż cieszyła się, że dzieli z nią ten niebiański czas.

Rozmyślała o tej jedynej w swoim rodzaju nocy przez resztę swego jałowego życia, średnio dwa razy w miesiącu. To był jej probierz, jedyna konkretna gwarancja, że szczęście przychodzi czasem, nawet do takich ludzi jak ona.

Ostatecznie Howard okazał się słabym, flegmatycznym maminsynkiem, który nie umiał się zaangażować uczuciowo i stopniowo wyciekł z jej życia. Lecz przecież nie był to ten sam Howard, dla którego tańczyła tamtej nocy. Mieli za sobą jedną trzecią wspólnej drogi, a ona była pewna, że znalazła swojego mężczyznę, i rozkwitała u jego boku. Tamtej nocy wszystko idealnie się ułożyło; dlatego Brenda Schellberger przez

następne lata wracała myślami do tych paru godzin triumfu i harmonii. Przez lekko uchylone drzwi Ben Gould zobaczył starą Brendę przeżywającą ponownie szczytowy moment swego życia. Później zaczęła się równia pochyła.

To samo przeżywali wszyscy mieszkańcy bloku. Bez względu na to, w jakim byli wieku, każdy z nich na swój sposób przeżywał jeszcze raz najwspanialszy moment życia. Co gorsza, każdy chciał go wydłużyć w nieskończoność. Gdy zwierzęta zorientowały się, o co chodzi, wpadły w popłoch i uciekły, a po chwili Pilot zaczął dziwnie. Ben miał się niebawem przekonać, że winna tego stanu rzeczy jest Danielle Voyles.

To ta milcząca nastolatka. Zwykle tak bywa, nieprawdaż? Cicha nastolatka siedząca samotnie na końcu ławy i czytająca grubą książkę w miękkiej oprawie. Ta, której przyśnił się wypadek na wiele lat przedtem, nim rzeczywiście się zdarzył. Danielle podeszła do niej na końcu i po raz wtóry zapytała, czy dziewczyna chciałaby się czegoś dowiedzieć o swoim przyszłym życiu. Nastolatka zaznaczyła palcem czytany ustęp, zatrasnęła książkę i zripostowała krótko: „Nie”. Jej reakcja zaskoczyła Danielle— inne jaźnie ochoczo dzieliły się pytaniami i intuicjami dotyczącymi ich wspólnego życia. Ale nie ona. Wyraz jej twarzy wskazywał jasno, że nie chce rozmawiać o przyszłości ani o nią pytać. Przerwała lekturę, bo jest dobrze wychowana, a nie dlatego, że chciałaby (wzorem innych Danielle) dowiedzieć się, co ją czeka.

– Nie chciałabyś poznać swojej przyszłości? Nie masz żadnych pytań?

– Nie.

– Ho– ho. Dlaczego?

– Bo jest mi dobrze. Nie chcę, żeby coś się zmieniło. Wiem, że tak będzie, ale nie chcę o tym słyszeć.– Przekręciła trzymaną w rękę książkę i spomiędzy kartek wymsknął się kawałek papieru. Zdjęcie. Dziewczyna pisnęła i chwyciła je, zanim upadło na mokrą ziemię. Upewniła się, że nic mu się nie stało, po czym przyłożyła je troskliwie do piersi, jakby chciała z powrotem tchnąć w nie trochę ciepła.

Starsza Danielle zapytała, czy może je obejrzeć. Dziewczyna podała jej fotografię. Kobieta od razu poznała widniejącego na obrazku chłopaka. Uniosła wzrok. Obie uśmiechnęły się Ho siebie bardzo podobnymi uśmiechami. Danielle ostatni raz zerknęła na zdjęcie. Oddała je nastolatce i wypowiedziała magiczne imię: „Dexter”. Tamta przytaknęła i wsunęła zdjęcie do książki.

Dexter Lewis był największą miłością w życiu młodej Danielle. Również w późniejszych latach przyznawała, że z nikim innym nie tworzyła równie dobrego związku. Dani i Dex. Dex i Dani. Miłość na wieki. Druga klasa liceum: czy kiedykolwiek czuła się tak szczęśliwa lub zadowolona?

– Nie chcę pani wypytywać, bo nie chcę znać swojej przyszłości. Chcę, żeby wszystko było tak jak teraz.– Dziewczyna podniosła wyżej książkę.– Mam książki, Dexter mnie kocha, wszystko idzie doskonale. Oby to się nigdy nie zmieniło. Ale pani mi powie, że to się zmieni, prawda? Że Dexter mnie rzuci albo że trafi się coś okropnego jemu, mnie albo moim najbliższym. Nie chcę o tym słyszeć! Nie obchodzi mnie, co stanie się jutro. Czy jutro może być lepsze niż dzisiaj?– Nastolatka umilkła na chwilę.– Widzi pani te wszystkie kobiety? O nic ich nie pytałam. O nic. Ani pani, ani one nie możecie mi dać większego szczęścia, mówiąc mi o przyszłości. Tylko je zepsujecie i tyle.

Dziewczyna miała absolutną rację. Dexter w końcu odszedł dotknęło ją nieszczęście i nigdy już nie czuła się tak spełniona i beztroska jak obecnie.

– Czy Dexter zabrał cię do Lotosowego Ogrodu? Oczy dziewczyny złagodniały.

– Ach, tak! Byliśmy tam dwa tygodnie temu, żeby uczcić trzeci miesiąc naszej znajomości. Zjedliśmy królewską kolację. Pyszne jedzenie. Siedzieliśmy w pięknym ogrodzie z kolorowymi latarniami. Było pięknie.

Latarnie. Danielle kompletnie zapomniała o wiszących na drzewach zwiewnych papierowych latarniach, które huśtały się w wieczornej bryzie. Usiadła na ławie obok nastolatki.

– Proszę, opowiedz mi o tym.

– Opowiedzieć? Po co? Przecież pani wie. Była tam pani.

– Tak, ale to było dawno temu. Prawie wszystkie szczegóły wyleciały mi z głowy. Bardzo bym chciała jeszcze raz o tym usłyszeć. Opowiedz mi?

Nastolatka chętnie przypomniawszy sobie najwspanialszy wieczór w swoim życiu.

– Stałam akurat koło szkolnej szafki. Dexter podszedł do mnie i powiedział, że w najbliższy weekend wypada trzeci miesiąc, odkąd jesteśmy parą. Jak to uczymy?

Mając tę wizytę świeżo w pamięci, dziewczyna pamiętała wszystko: kolorowe lampiony w ogrodzie, kelnerkę z wybitym zębem i jej marne dowcipy o chińskiej muzyce pobrzękującej w tle. Pamiętała, jak Dexter tłumaczył jej, że słowo „krokodyl” pochodzi od greckich słów „kroko” i „drilo” i znaczy...

– Kamienisty robak– wtrąciła Danielle. Jej młodsza jaźń skinęła głową i ciągnęła dalej.

Im dłużej mówiła nastolatka, tym więcej przypominała sobie dorosła. W miarę jak odtwarzała w pamięci ten olśniewający wieczór, jej terażniejszość stawała się coraz bledsza. Danielle zanurzyła się we wspomnieniach dziewczyny, jak gdyby wkraczała do basenu, począwszy od płycizny. Gdy woda zakryła ją po czubek głowy, poddała się jej wręcz z entuzjazmem, pograżając się w szczegółach.

Kobieta aż nadto dobrze знаła zdrady, rozczarowania, nieszczęścia i mierność, które złożyły się na resztę jej życia. Zdawała sobie sprawę, że ta wieczorna randka to wyjątkowa oaza na pustyni jej życia. Dziewczyna uważała ją natomiast za zapowiedź wspaniałych rzeczy, które ją czekają. Kolacja z Dexterem stanowiła tylko przedsmak, przystawkę do wielkiej uczty, którą miała być dorosłość.

W szkole średniej klasa Danielle czytała na języku angielskim sztukę *Nasze miasto* Thorntona Wildera. Danielle na zawsze zapamiętała słynną finałową scenę, w której martwa Emilka wraca do jednego z poranków młodości, by popatrzeć na swoją rodzinę przy śniadaniu. Jest wzruszona prostym pięknem i bogactwem, które kryją się w tak zwyczajnym zdarzeniu. Woła do nich, aby pielęgnowali w sercach tę chwilę. Na próżno – żywi nie słyszą umarłych.

O ile Danielle żyła, o tyle randka z Dexterem Lewisem dawno już umarła. Mimo to, podobnie jak fikcyjna Emilka, także ona dostała szansę przeżycia tamtego wieczoru od nowa. Im dłużej słuchała dziewczyny, tym bardziej jej pamięć przybierała realne kontury. Poczowała smak ciepłych naleśników i zapach wody kolońskiej English Leather, której używał Dexter.

Przeżycie stawało się coraz wyrazistsze; jej życie sprzed kilku godzin zanikło.

Przez większość czasu nasze „teraz” jest nudne i nijakie. Siedzimy przy stole. Idziemy do kuchni. Idziemy do toalety. Idziemy na spacer. Ucinamy sobie drzemkę. Szafujemy czasem, bo i tak nikt go nam nie odbierze. Nie pamiętamy naszych dni, bo większość z nich przypomina bezwonne powietrze. Co robiłeś przedwczoraj po południu? Kiedy ostatnio śmiałeś się do rozpuku? Albo zjadłeś coś, co sprawiło, że zamknąłeś oczy i westchnąłeś z lubością? Dlatego pamiętamy chwilę, gdy w powietrzu rozszedł się upojny aromat.

Któż by nie skorzystał z okazji, aby powrócić do niegdysiejszej idylli, zwłaszcza gdyby mogła ona trwać wiecznie? Niekończąca się kolacja z Dexterem. Czy zostalibyśmy tam jak najdłużej, czy wrócili do codziennego kieratu, w którym można co najwyżej oczekiwać weekendu, ulubionego serialu, takiego sobie seksu albo wygodnego łóżka? Wszyscy znamy te nadzwyczajne sny, w których spotykamy z dawien dawna wytęsknioną osobę. Nasz ideał. Wszystko jest doskonałe, sen – o dziwo – staje się coraz lepszy. I wtedy się budzimy. „Nie, jeszcze nie teraz!” – prosimy błagalnie. „Jeszcze parę minut!” Ostatni pocałunek, wspólny posiłek, spacer po plaży o zachodzie słońca. Staramy się rozpaczliwie zapaść ponownie w sen, odzyskać tę chwilę, tę osobę, a przede wszystkim to poczucie, że nurt życia porywa nas i unosi naprzód, zamiast spychać na brzeg.

Niemal wszyscy – raz lub dwa – przeżywaliliśmy podobne marzenia na jawie. Idealna randka, kiedy mieliśmy dwadzieścia lat, magiczne popołudnie w Stambule, kolacja, taniec, spacer wokół jeziora, których nie

zamienilibyśmy na nic w świecie. Gdyby można wrócić do tych doświadczeń i zamknąć się w nich na zawsze...

– O czym myślisz, Danielle? Wydajesz się jakaś nieobecna.

Pierwszy raz, odkąd Danielle pograżyła się w tym wspomnieniu, nie tyle wyobraziła sobie, ile całkiem wyraźnie usłyszała głos Dextera Lewisa. Nie była już dorosłą kobietą przysłuchującą się opowieści nastolatki. Obie zjednoczyły się i znowu były na tej wyjątkowej kolacji w Lotosowym Ogrodzie.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, zamrugła powiekami i popatrzyła na siedzącego naprzeciw niej osiemnastoletniego Dextera Lewisa. Miał niezdrową cerę, ale wyglądał całkiem nieźle. Pamiętała, że lubił niebieskie koszule. Jedną z nich miał teraz na sobie. Dla szpanu porozpinał kilka guzików. Był jednak zbyt chudy, żeby pochwalić się klatką piersiową i karkiem. Danielle poczuła doń nagły przyływ miłości: próbował być dla niej kimś, kim w istocie nie był.

– Myślałam o wypadku– odrzekła machinalnie.– Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Po prostu przeleciała mi przez głowę taka myśl.

Dexter wydawał się zdezorientowany.

– O jakim wypadku?

Tkwiąca w niej nastolatka zadała identyczne pytanie: „O jakim wypadku?”

Kobieta wyprostowała się na krześle, zła na siebie, że chlapnęła bez zastanowienia. Pospiesznie zebrała myśli, aby znaleźć jakieś wytłumaczenie.

– No, o tym niezwykłym wypadku, jakim było nasze spotkanie. Zgodzisz się, że to niesamowity zbieg okoliczności. Jakie było prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie?

Dexter ciągle wyglądał na zakłopotanego.

– Poznaliśmy się na historii Ameryki. Czy to takie niesamowite, że usiedliśmy obok siebie na lekcji?

Podczas gdy Danielle cyzelowała myśli i słowa, by dopasować je do świata, w którym się znalazła, Ben Gould zbliżał się wolnym krokiem do jej mieszkania. Gdy tylko otrząsnął się z wrażenia, jakie zrobił na nim widok tańczącej staruszki, podszedł i zamknął cicho drzwi. Nie miał pojęcia, dlaczego tamta tańczy na golasa, ale domyślał się, że stara kwoka wolałaby nie robić z siebie widowiska. Mylił się. Kobieta zignorowałaby go, ponieważ należała do innego czasu i świata.

Gdyby Ben zajrzał przez drzwi wszystkich mieszkań bloku przy Underhill Avenue 182 i zobaczył, co się w nich dzieje, nie posiadałby się ze zdumienia. Każdy z lokatorów przeniósł się do innego okresu swojego życia. W budynku przebywali jedynie ciałem; Danielle siedziała w Lotosowym Ogrodzie, a staruszka płaśała nago przed swoim chłopakiem.

Gdy tylko Danielle postanowiła bez reszty przenieść się do chińskiej restauracji, urok przeszłości, jaki w sobie uwolniła, rozszedł się po korytarzu i ogarnął cały blok niczym przemożny afrodyzjak. Tych kilkoro ludzi, zajętych zwykłymi sprawami, nie było w stanie oprzeć się jego magnetycznej sile.

Mężczyzna ubrany w sprane do cna bermudy i podkoszulek gapił się tępo w filiżankę kawy. Jego myśli plątały się wokół korpusu piechoty morskiej w Camp Lejeune. Przypomniawszy sobie pewien upalny letni dzień. Miał dwadzieścia siedem lat i był świeżo po ślubie. Kochał swoją młodą żonę i czuł się kochany. Jak zdołał przeżyć bez niej tak długo? Lubił służbę w wojsku i wiedział, że dobrze ją wykonuje. Robił coś chwalebного i

użytecznego, jeśli nic złego mu się nie przytrafi, zostanie w piechocie aż do emerytury, po czym zasili szeregi policji w jakimś małym miasteczku.

Pamiętał zapach powietrza tamtego lata: soczystą, dojrzałą woń Karoliny Północnej w sierpniu. Pamiętał szaro– fioletowy bezrękawnik, który tego ranka włożyła jego żona, kiedy wychodził z mieszkania. Pamiętał kolor jej buteleczki lakieru do paznokci, stojącej na żółtym kuchennym stole.

Jego turkusowy chevrolet impala SS był prawie nowy. Wkrótce dostanie przepustkę i pojedą nad ocean do Outer Banks. Wjadą nocą na plażę, zdejmą dach kabrioletu i będą siedzieć nad samą wodą, patrząc, jak spadające gwiazdy przecierają dla nich szlaki na niebie. Stał na wojskowym parkingu z rękami w kieszeniach spodni i lustrując bławatkowe niebo, snuł marzenia o wyprawie nad ocean ze swoją młodą żoną. O, to wtedy; właśnie wtedy nastąpił kulminacyjny punkt jego życia.

Trzydzieści jeden lat później, gapiąc się w na poły pustą filiżankę mętnej kawy, zatopił się w tym wspomnieniu, uprzytomniwszy sobie, że choć to możliwe, nigdy wcześniej tego nie uczynił.

Skacząc na trampolinie z dawno zmarłą siostrą bliźniaczką, siedząc w domku na drzewie podczas burzy śnieżnej i jedząc mięsną kanapkę wspólnie z najlepszym przyjacielem z dzieciństwa, ucząc się tajników budowy zegarów od belgijskiego zegarmistrza. .. Jak blok długi, szeroki i wysoki, lokatorzy bez wahania oddawali swoją szarą codzienność, byle tylko posmakować znów tej najlepszej chwili z przeszłości i już tam pozostać.

– Na pomoc.

Wołanie doleciało w momencie, gdy Ben miał dotknąć klamki u drzwi mieszkania Danielle. Spojrzał na lewo: niedaleko, w głębi korytarza,

zobaczył skrzącego się migotliwie Pilota. Pies to pojawiał się na dwie– trzy sekundy, to znowu znikał, niczym słaby sygnał radiowy. Raz był, raz go nie było.

– Na pomoc!

– Ale jak? Co mam robić?

Pilot chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył. Gdy zjawił się po chwili, rzucił jeszcze w stronę człowieka „Stwórz verza” i zgasł na dobre.

– Co takiego? Co mam stworzyć?– pytanie Bena zawisło w pustym korytarzu. Czekał wpatrzony w przestrzeń, mając nadzieję, że pies zamigocze tam znowu.

Stwórz verza.

Bezuchego niby– psa z wielkimi oczami. O skórze pokrytej fioletowymi bazgrołami i słowami. Stwórz verza. Kto? Ja?

Obydwie kobiety czekały w napięciu przed budynkiem, nie wiedząc, co począć. Pozbawiona mocy Ling zdawała sobie sprawę z własnej bezsilności. Nie wiedziała, czy to ją irytuje czy podnieca. Odkąd stała się zwykłym człowiekiem, świat ukazywał jej nowe ,fascynujące oblicze.

Raptem drzwi frontowe otworzyły się z hukiem i wypadł przez nie Ben. Przez krótką chwilę kobiety miały wrażenie, że minie je i popędzi ulicą na złamanie karku, tak jak nieco wcześniej zrobiły zwierzęta. On jednak podbiegł do nich, chwycił Ling za rękę i bezceremonialnie pociągnął ją za sobą.

– Co? Co ty robisz?

– Idziesz ze mną. Ale już!– Przystanął i zwrócił się do German.– A ty masz tu zostać. Nie wiem, co się tam kroi, więc proszę, zaczekaj tutaj na nas. Wrócimy po ciebie.

– Niech cię kule biją, Ben. Idę z wami. Chodźmy!– Nie czekając, co jej odpowie, ruszyła przodem.

Ben zbyt długo mieszkał z nią pod jednym dachem, by mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do tonu jej głosu i wojowniczego języka ciała. German Landis spuściła swemu bratu i siostrze niejedno manto. Kiedy wpadała w złość lub była przekonana o swojej racji, nie należało z nią zadzierać.

Widząc ich utarczkę, eksdusich tym mocniej ją pokochał. Co za siła charakteru! Ling nie była pewna, czy warto się pchać do tego bloku, skoro nie wiadomo, co tam się właściwie dzieje– ale nie German Landis. Ta dziewczyna szła całą naprzód!

Wdrapali się schodami na piętro. Po drodze Ben napomknął o tańczącej nagiej kobiecie i znikającym Pilocie. Nie było im do śmiechu. Jego relacja, choć prawdziwa, wydawała się bredzeniem chorego umysłu. Kobiety nie odzywały się. Chciały to zobaczyć na własne oczy.

Na schodach German pomyślała o pączkach. O wielkich, złotych, świeżo wypieczonych pączkach z lukrem. Co za gratka na śniadanie, razem z filiżanką gorącej czarnej kawy!

Skąd przyszły jej do głowy pączki? Patrzyła na plecy idącego przed nią Bena i z jakiejś przyczyny przypomniał jej się incydent z czasów, kiedy mieszkali razem. Któregoś zimowego poranka, w niedzielę, Ben wszedł do sypialni, mając na sobie ciężki płaszcz. W ręku trzymał tacę z dwiema filiżankami parującej kawy i pudełkiem ciepłych pączków, które kupił, podczas gdy ona spała. Poprzedniej nocy, gdy skończyli się kochać, German wyznała, że na śniadanie lubi jeść pączki– i oto zjawily się teraz przed nią. Ben bez słowa położył tacę na łóżku i obrócił w jej stronę. Z wrażenia i

wzruszenia odebrało jej mowę. Otworzył różowy karton i nachylił ku niej jego zawartość. German uniosła oba kciuki i sięgnęła po pączka. Zatrzymał jej rękę, wyciągnął pierwsze z brzegu ciastko i zaproponował je Pilotowi, który tymczasem przyczłapał ze swego legowiska w kącie. Pies nie widział przedtem pączka, więc zgodnie ze swoją naturą zbliżył się doń zaciekawiony i ostrożny. Aby pokazać Pilotowi, że nic mu nie grozi, Ben ugryzł kawałek pączka; pies delikatnie przyjął poczęstunek.

– German?

Głos zdawał się dochodzić z daleka, jakby zza trzech ścian. German nie poznała głosu Bena.

Wszyscy troje stali na schodach, bo German zastygła tam i nie chciała się ruszyć. Ling popatrzyła na Bena i uniosła ręce w geście poddania się.

– German?– powtórzył mniej natarczywie.

Ben i Ling pomyśleli, że dopiero teraz obleciał ją strach, więc przystanąła, aby wziąć się w garść. Mimo dwukrotnego wołania Bena German stała jak wryta, nie poruszając się.

Dlaczego miałyby się stąd ruszać? Zatrzymała się w idealnej chwili: ona, Ben i Pilot zajadali ciepłe pączki w zimny niedzielny poranek. Ich miłość była wciąż świeża, ciepłe łóżko dawało poczucie bezpieczeństwa, a Pilot wyglądał rozkosznie z poważną miną.

Zastanawiając się, co się stało, Ben zobaczył, że German trzyma coś w prawej ręce. Zmrużył oczy, aby wyostrzyć wzrok, ponieważ to, co tam ujrzał, wydało mu się kompletnie bezsensowne. W dłoni German tkwił złotawy pączek. Ben wykręcił szyję, by się upewnić, że to nie przywidzenie. Tak, pączek. Skąd go wytrzasnęła? Miała go cały czas przy sobie? Pączka?

– Ben, ona znika!

Uprzytomnił to sobie dopiero w chwili, gdy Ling krzyknęła. Ręka German stawała się przezroczysta. Jej ręka, pączek, który trzymała, całe ciało odbarwiały się i zanikały. German odchodziła. Ją również dosięgła nostalgia Danielle Voyles. Woląca leżeć z Benem w łóżku i bez końca objadać się pączkami, niż żyć w terażniejszości.

– Co jej jest, Ling?

– Nie wiem. Naprawdę.

Lokatorzy bloku rozmywali się w powietrzu; wracali do szczęśliwszych czasów, do dni, kiedy wszystko miało sens i porządek. Kiedy–choćby na krótko– ich życie było nieskazitelne.

Stwórz verza. Ostatnie słowa Pilota, zanim i on zniknął. Ben nie wiedział, jak się do tego zabrać. Pamiętał jednak, że Ling rozpoznała te stworzenia i powiedziała mu, jak się nazywają, gdy zobaczyli je przed domem Giny Kyte. Zjawa wiedziała, co to jest verz. Czy będzie też umiała go stworzyć?

Spojrzał na nią i w tym przełomowym momencie dostrzegł w niej coś, czego wcześniej nie widział. Zszedł po schodach i położył ręce na ramionach Ling. Zaczęła coś mówić, ale ją powstrzymał. Sza, nie teraz.

Ułamek sekundy później, dotykając jej nagiej skóry, zaczął wybierać z niej wszystko to, co wiedziała. Niczym pszczoła wysysająca nektar z kwiatu, Ben wyciągnął z Ling jej widmową wiedzę, a raczej te resztki, które w niej zostały. Zresztą Ling nie była ich świadoma– leżały uśpione w najdalszych zakamarkach jej umysłu. Ben dotarł do nich i je zabrał. Zdawał sobie sprawę, że zostawia jej niezwykle mało, by mogła odbudować swoje życie, ale wiedział, że robi to w imię wyższego celu.

Opróżnił ją najpierw z tego, co wiedziała jako duch, a potem z tych drobin wiedzy, które tylko co zdobyła w ludzkiej postaci. To, czym była i co z niej zostało, przepłynęło przez ręce Bena. Wszystko trwało kilka sekund. Ben wyprostował się i dotknął czoła drżącą dłonią.

Ling zatoczyła się. Omal nie upadła– Ben zdążył ją złapać i pomógł jej usiąść. Patrzyła na niego pustym wzrokiem. Odwrócił się, wszedł z powrotem na stopień, gdzie stała German, i ugryzł ją.

Chwycił jej dłoń trzymającą paczkę i capnął ją w nadgarstek, na tyle mocno, że zaczęła krwawić. German wrzasnęła z bólu. Wyrwała mu rękę, uderzając go na odlew w twarz. Jej umysł błąkał się wciąż w przeszłości, toteż jego ukąszenie wyrwało ją jakby z głębokiego snu.

Ben zaczekał cierpliwie, póki się nie upewnił, że wróciła ciałem i duszą do chwili obecnej, a potem pobiegł w stronę mieszkania Danielle. Miał nadzieję, że dotrze na czas.

Ling siedziała na schodach jak ogłuszona; German stała obok niej na niepewnych nogach. Obie wyglądały jak bokserzy zbierający się ociężale z desek ringu po nokautującym ciosie.

Stanąwszy przed drzwiami Danielle, Ben spróbował przekręcić gałkę, ale były zamknięte na klucz. Zapukał– bez odpowiedzi. Załomotał w drzwi pięściami. Odpowiedziała mu głucha cisza. Cofnął się o krok, ukrył twarz w dłoniach i przyłożył je do policzków. Po chwili opuścił ręce.

– W porządku.– Zbliżył się do drzwi i tym razem ujął gałkę oburącz. Jedną dłoń przekręcił w prawo, drugą w lewo. Równocześnie naparł przedramionami na drzwi. Ustąpiły. Wszedł do środka.

Do ogrodu: był w restauracji położonej w ogrodzie. Wielką przestrzeń sali zajmowały stoliki, przy których siedzieli goście. Na drzewach wisały

kolorowe lampiony. Kelnerzy w śnieżnobiałych koszulach i czarnych spodniach nosili duże metalowe tace zastawione jedzeniem. Widok ten nie zaskoczył Bena

Napisy na jego dłoniach kazały spodziewać się czegoś podobnego.

– Stolik dla pana?– zapytał uśmiechnięty Azjata w białej koszuli.

Ben pomyślał, że tamten musi być kierownikiem, bo jako jedyny miał rękawy zawinięte na łokcie.

– Właściwie to szukam tutaj przyjaciółki– odrzekł Ben.– Pozwoli pan, że trochę się rozejrzę?

– Proszę bardzo.– Mężczyzna oddalił się zwawym krokiem. W Lotosowym Ogrodzie panował dziś duży ruch i kierownik miał sporo pracy.

Ben nie musiał długo jej wypatrywać. Należała do osób, których twarze prawie nie zmieniają się z wiekiem. A Danielle miała obecnie– ile?– dwadzieścia dziewięć lat? Jako siedemnastolatka wyglądała bardzo podobnie. Podszedł do ich stolika. Dwoje nastolatków spojrzało na niego, ale tylko ona się uśmiechnęła. Poznała go w okamgnieniu.

– Cześć, Ben.

– Jak się masz, Danielle.

– Dexter, to jest mój przyjaciel, Ben Gould.

– Miło mi poznać.– Mężczyźni przywitali się. Dexter uścisnął mu rękę dziesięć razy za mocno. Było to sympatyczne i zarazem smutne, wskazywało bowiem, że chłopak chce zmanifestować swoją dorosłość.

– Jak mnie odnalazłeś?– Miała uroczy, rozluźniony ton głosu. Nie wyglądała na zdziwioną, widząc go w swoim świecie.

Ben pokazał jej swoją dłoń. Zrobił to tak, aby Dexter nie spostrzegł pokrywających ją fioletowych napisów. Obawiał się, że chłopak może zacząć zadawać pytania, na które Ben nie miał teraz czasu.

Danielle domyśliła się sensu napisów i przeszła od razu do sedna rzeczy.

– Zostaję tutaj, Ben. Tak postanowiłam.

– Nie możesz.

– Ależ tak. Mam to zapisane w umowie. Ludzie tacy jak ty i ja mogą się przenieść w dowolny czas i zostać tam. My decydujemy.

– Nie możesz, Danielle. Tu nie chodzi tylko o nas. Stawka jest dużo większa.

Skrzywiła się i odwróciła wzrok. Ben miał rację, ale ona podjęła już decyzję.

– Nie zależało mi na tym, Ben. Nie prosiłam o to wyróżnienie, i ty chyba też nie. Mieszkam sama w żalnym mieszkanku. Mam beznadziejną pracę. Codziennie budzę się z nadzieją, że dzisiaj jest sobota. Wiesz dlaczego? Nie dlatego, że zaplanowałam sobie na ten dzień coś szczególnego, ale że mogę dłużej pospać. Smutne, prawda? A ten świat...– Ogarnęła wnętrze restauracji zamaszystym ruchem dłoni.– To mój wróbel w garści. Rozumiesz? Kiedy patrzę za siebie, widzę, że Dexter był prawdopodobnie miłością mojego życia. Zgodzisz się ze mną, że doceniam go teraz o wiele bardziej niż przedtem?

Siedzący naprzeciw Danielle chudzielec uwielbiał słuchać o tym, że jest miłością jej życia, i zadowolony odchylił się na oparcie krzesła. Wprawdzie nie miał zielonego pojęcia, co łączy Danielle z tym facetem, ale

dwa ostatnie zdania mile polechtały jego próżność i uspokoiły go, że nie ma powodów do niepokoju.

– Pomieszalaś porządki– powiedział głośniejszym głosem Ben, sfrustrowany i zły.– Wykorzystujesz to, czego się nauczyłaś, aby naprawić swoją przeszłość. To wbrew naturze. Powinnaś czerpać z życiowych doświadczeń, żeby być kimś lepszym. Dzisiaj i jutro.

Danielle pokręciła głową.

– Bynajmniej. Przeżyłam wiele dni i wiem, że jeden niczym się nie różni od drugiego. No, chyba że na gorsze. Powiem wprost, Ben: wiem, że będę tutaj umiarkowanie szczęśliwa– na piątkę w skali od jeden do dziesięciu. Ale chcę być kochana. Tylko tyle i aż tyle. Wczoraj nie czułam się ani szczęśliwa, ani kochana. Dzisiaj także nie, i nie sądzę, żeby to się miało zmienić jutro. Dlatego będę realistką i wybiorę wróbla w garści: powrócę do czasu, w którym byłam kochana i szczęśliwa, i zatrzymam się w nim na zawsze. Pogodzę się z życiem. Wiedząc, że przyszłość będzie tylko gorsza, nauczę się cenić to, co mam.

Danielle miała absolutną słuszność, ale to nie znaczyło, że racja leży po jej stronie. Ponieważ Benowi nie przyszedł do głowy żaden przekonujący argument, postąpił tak jak wtedy, gdy znalazł się w lesie koło swego rodzinnego miasteczka i gdy ugryzł German w rękę: zdał się na swoją wolę.

Zamiast– jak dotąd– bezsensownie wyęczać się i zaciskać umysł w pięść, otworzył go na oścież, jak gdyby wypuszczał nadmuchany helem balonik. Zrobił tak, bo tak kazała mu jego wola– pierwszy raz posłuchał jej w Crane's View, kiedy chciał wrócić do teraźniejszości; kilka minut temu, wpatrzony w Ling, położył ręce na jej ramionach. Zjawia miała rację: wola Bena działała szybciej niż jego świadomy umysł i wiedziała bez porównania

więcej od niego. Najlepsze, co mógł w tej sytuacji uczynić, to iść posłusznie za jej nakazami.

Na czym polegała przewaga woli Bena nad resztą jego istoty?

Ona wiedziała, że Ben tkwi w szczegółach. W papierowych latarniach i w białych koszulach kelnerów. Był nawet w kiepskich naleśnikach faszerowanych mięsem i warzywami, które podawano w Lotosowym Ogrodzie. Inaczej rzecz ujmując, wszystko to tkwiło w Benie Gouldzie. Nie wiedział o tym przed śmiercią. Nikt nie wie. Ten rodzaj wiedzy przychodzi po tym, jak ustaje praca serca, dusza opuszcza ciało i wszystko gnije. Ben Gould, Danielle Voyles i garstka im podobnych poznali jednak tę prawdę, a potem zostali wskrzeszeni do życia.

Niestety, człowiek przypomina salę lekcyjną, w której znajdują się różni uczniowie: prymusi, przeciętniaki i zwyczajne matolki. Ludzka wola to prymus siedzący w pierwszej ławce i skwapliwie robiący notatki. Intelkt i emocje zwykle wciskają się pod ścianę i gapią znudzonym wzrokiem przez okno. Przyswajają sobie minimum niezbędne do przeżycia; myślą jedynie o sobie, wyłączając się na resztę lekcji.

Verz nie był tylko dziwnym białym stworzeniem, które przychodzi z pomocą, ilekroć robi się gorąco. Był tym, czego człowiek potrzebuje, aby się rozwinąć. To, że Ben widywał dotychczas tylko „opiekunów”, wynikało stąd, iż znalazłszy się w niebezpieczeństwie, potrzebował pomocy. Przepis na verze znajdował się na ich ciałach w postaci fioletowych hieroglifów. Starczyło dobrać odpowiednie ingrediencje. Skąd pochodziły te składniki? Z niego. Skąd je wziął? Ze swego życia. Kto stworzył z nich takie, a nie inne verze? Jego wola. Ale począwszy od dzisiaj, to się zmieni.

Stojący przed stolikiem Danielle Ben oddał inicjatywę i uwolnił swoją wolę. Wyszła na świat wokół nich i zlustrowała wnętrze restauracji jak architekt przymierzający się do zaprojektowania budowli. Na lewo i prawo brała rzeczy, które uznała za przydatne. Wzięła trochę mdłego zielonego światła płynącego z jednej z latarni. Nie wzgardziła ziarnkiem soli, która wysypała się na stolik. Wyciągnęła ból z głosu kobiety błagającej swego męża, aby jej nie porzucił. Zebrała te składniki– i parę innych– i zapytała Bena: „Chcesz je wymieszać czy ja mam to zrobić?” „Nie jestem jeszcze gotowy”– odparł milcząco Ben. „Będę się przyglądał”.

Musiał jakoś nakłonić Danielle, aby wróciła do teraźniejszości. Musiał wyprowadzić Pilota z tamtego ponurego świata, w którym pies się zapadł. Musiał wykorzystać nowo zdobytą wiedzę i intuicję, które spadły na niego tak nagle. Jak działa

Ojciec powiedział mu kiedyś, że życie jest z natury nieuczciwe, gdyż w chwili przyjścia na świat człowiek staje wobec skomplikowanej gry planszowej, do której nie dołączono opisu. Sam musisz wydedukować wszystkie reguły. Jednocześnie musisz w nią grać. Od razu. Jeśli przegrasz, to po tobie. Nie ma miejsca na żadne „Och, przepraszam, jestem początkującym graczem, czy mogę powtórzyć ten ruch?” Nie możesz. Błąd to błąd. Człowiek uczy się reguł od zera. Kto miałby nie przegrać?

Mimo to...

- Danielle, pamiętasz okoliczności, w jakich umarłaś?
- Nie. Obudziłam się po operacji. To wszystko, co pamiętam.
- Ja też. Uderzyłem głową w krawężnik i poczułem ból. Potem obudziłem się w szpitalu.

– Co on bajdurzy, Danielle? Co to za brednie o umieraniu?– Dexter Lewis nie miał pojęcia, co się dzieje, no i chciał, żeby ten facet w końcu sobie poszedł i zostawił ich samych.

Objęła dłoń swego chłopaka.

– Ben jest przyjacielem mojego ojca z Kościoła. Przedwczoraj przyszedł do naszego domu i zaczęliśmy rozmawiać o śmierci, sensie życia i tak dalej. No, wiesz. Dyskutowaliśmy przez parę godzin, teraz po prostu kończymy rozmowę. Jeszcze minutka.

Ben poczekał, aż Danielle uspokoi swego chłopaka, po czym podjął temat:

– Może nie pamiętamy dlatego, że to nie ma znaczenia. Tak jak nie pamiętamy, co nam się śniło w nocy, bo nasze sny nie mają związku z bieżącą chwilą.

– Jak się tu dostałeś, Ben?– przerwała mu Danielle.– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Po prostu... wszedłem do twojego mieszkania. Otworzyłem drzwi, wszedłem do środka i znalazłem się tutaj.

Patrzyła na niego, zastanawiając się nad tym, co powiedział. Następnie pokręciła głową.

– Niemożliwe.

– Jak to niemożliwe? Dlaczego?

– Nie ma takiej możliwości, abyś mnie tu odszukał. Mnie: siedemnastoletnią Danielle, w Lotosowym Ogrodzie? Akurat! Nikt nie wie o tym wieczorze i o tym, jak ważne jest dla mnie to wspomnienie. Nikt.

– Mówię tak, jak było, Danielle: wszedłem do twojego mieszkania i znalazłem się tutaj.

– Słyszałam, Ben. Tyle że to niemożliwe. Skąd wiedziałeś, że z dwudziestu dziewięciu lat życia wybiorę właśnie ten wieczór? No– skąd?

Ben milczał.

– Ponieważ stałem się tobą?– pisał zakłopotany, jakby odezwał się cudzym głosem. Tyle razy wchodził w jej umysł i ciało, oglądał zabiegi dentystyczne w jej telewizorze, czuł w ustach smak Dr. Peppera– był wtedy zarówno sobą, jak i nią. Okropnie się bał. Może tym razem jego wola umyślnie otworzyła drzwi mieszkania Danielle i wślizgnęła się do jej głowy, żeby ją zlokalizować? I tak pojawił się w Lotosowym Ogrodzie.

Patrzyli na siebie. Kątem oka Ben złowił chuderlawego Dextera Lewisa. Chłopak usiłował rozpaczliwie rozgryźć, ile ten facet ma lat. Czyżby Danielle miała na niego ochotę?

Dexter wstał. Miał już tego powyżej uszu. Cisnął w oboje pogardliwym wzrokiem i odszedł poszukać łazienki. Miał nadzieję, że jego zabójcze spojrzenie poruszy ich sumienia, ale oboje go zlekceważyli.

Obok przemknął kelner. Ben wycelował w jego kierunku myśli i dowiedział się, że mężczyzna się zastanawia, czy kobieta przy „szóstce” spojrzała na niego zachęcająco, podczas gdy jej mąż regulował rachunek. Ben podniósł wzrok na kelnera i zobaczył, że tamten się uśmiecha. Nieopodal kobieta podniosła się od stolika i ruszyła w stronę damskiej toalety. Śpieszyła się, czując, że zbliża się jej okres. Ben zaczerwienił się, bo nagle poczuł się jak podpatrywacz; skierował uwagę z powrotem na Danielle.

– Ty też to umiesz? Wchodzić ludziom do głowy i szperać im w myślach?

Jego pytanie nie zaskoczyło jej.

– Nie. Mogę natomiast podróżować w czasie przez życie – tam i z powrotem. Na przykład wylądować w tej restauracji, obok Dextera. Potrafisz to?

– Nie sądzę. Przynajmniej na razie.

– Albo nigdy, Ben. Może nigdy się tego nie nauczysz. Może każde z nas umie robić rzeczy wyjątkowe, których nie potrafi nikt inny?

Możliwość ta wydała mu się całkiem sensowna.

– Naprawdę chcesz tu zostać? Nie wracasz? Chociaż jesteś nam potrzebna?

Danielle skrzyżowała ręce na piersi. Jej ciało dawało złe sygnały.

– Nam, czyli komu?

– Ludziom takim jak my. Na pewno są też inni, Danielle. Załóżmy, że masz rację: wszyscy mamy wyjątkowe, szczególne zdolności. Tym bardziej chyba powinniśmy trzymać się razem, no nie?– Brzmiało to dość absurdalnie i słowa więzły mu w gardle. Przypomniawszy sobie czytane w dzieciństwie komiksy, w których superbohaterowie zawsze łączyli siły w walce z wrogami grozącymi ludzkości widowiskową zagładą w kolejnym miesiącu przygód.

Coś zaświtało mu raptem w głowie. Wyprostował się na krześle i przybrał poważny wyraz twarzy.

– Kim są nasi wrogowie?– zapytał z zaciekawionym. _ Proszę?

– Pytam: kim są nasi wrogowie? Ci, którzy są przeciwko nam? Którzy próbują nas załatwić? Powstrzymać? Pamiętasz mężczyznę w pomarańczowej koszuli? Tego włóczę? Skąd on się wziął? Kto go wysłał?

– Nie wiem, Ben. Zdawało mi się, że przyszedł po ciebie.

– Zgadza się, ale kim był ten chłopiec, który zaatakował cię w mojej kuchni?

Danielle nie kryła zdumienia.

– Wiesz o nim?

– Oczywiście. Zdawało mi się, że byłem w twojej głowie.

– W takim razie... wiesz. To byłeś ty. Ty byłeś tym chłopcem.

Ben potrząsnął głową.

– Nie. Przebrał się za mnie, aby German wpuściła go do mojego mieszkania. Podstęp się udał. Ale on nie przyszedł ani po mnie, ani po German, tylko po ciebie, Danielle. Kazał ci odszukać w radiu tę jedną piosenkę. Wiedział, że łatwo ją odnajdziesz i uznasz to za szczęśliwy traf. Gdybyś usłyszała tę piosenkę, chłopiec dobrałby ci się do skóry. Powiedział tak do verza, pamiętasz? Chodziło mu o ciebie, nie o mnie.

– Kto przysłał verza, który nas uratował?– spytała. Wycelował palec w jej twarz.

– Ty. Jak tylko chłopiec zjawił się u mnie, w jakiś sposób wyczułaś niebezpieczeństwo. I wezwałaś pomoc.

– Niczego nie wzywałam.

– Owszem. Jakaś część ciebie wezwała wtedy verza.

– Która część?– spytała i pokazała swój łokieć.– Ta część? A może te części?– Dotknęła palcem kolana, a potem nosa.– Skąd wiesz?

– Kim są nasi przeciwnicy, Danielle? Z kim walczymy?

– Już mnie o to pytałeś.

– I zapytam jeszcze raz. Wiesz dlaczego? Bo jesteśmy bohaterami tej historii. Na dodatek nie wiemy, że nosimy w sobie cichych sprzymierzeńców. Więc pytam– kim są wrogowie?

Kto chce nas pozbawić możliwości decydowania o naszym losie? Na razie udało nam się odeprzeć ich ataki... Spójrzmy na fakty: nie umarliśmy, choć powinniśmy byli umrzeć. Po wyjściu ze szpitala mieliśmy coraz bardziej dziwne przygody. Szukali nas podejrzani mężczyźni w pomarańczowych koszulach. Pojawiały się duchy i verze, aby udzielić nam pomocy. Ty w każdej chwili możesz odwiedzić swoją przeszłość, jakby to był twój prywatny Disneyland. Ja wchodzę i wychodzę z twojego umysłu, jakbym miał własne wejście. No i rozmawiam z psami, a także rozumiem, co do mnie mówią.

– Z psami?

Ben poskrobał się po głowie.

– Noo, Przynajmniej z moim psem. A propos, czy widziałaś już różową mgiełkę?

– Jaką różową mgiełkę?

Po chwili zastanowienia uznał, że jego wyjaśnienia bardziej zagmatwiają sytuację, niż ją rozjaśniają.

– Mniejsza z tym. Później ci to wytłumaczę.

Danielle przeszła nad tym do porządku i ciągnęła z namysłem:

– A więc uważasz, że nie umarliśmy w godzinie, która była nam wyznaczona, i wróciliśmy do życia obdarzeni szczególnymi mocami? Że na przykład potrafimy tworzyć te zwierzaki, tak zwane verze, kiedy musimy się bronić?

– Tak. Rozejrzyj się. Popatrz, gdzie jesteśmy. Jak inaczej byśmy się tu znaleźli, jeżeli nie dzięki twoim szczególnym zdolnościom?

– I chcesz wiedzieć, kto nam przeszkadza? Skinął twierdząco głową.

– Wiem, kto nam przeszkadza – oświadczyła rzeczowo.

- Naprawdę? Kto?
- Dlatego nie ruszam się stąd, Ben.
- Kto? Powiedz mi!

Na stole leżała mała jedwabna saszetka wyszywana czarnymi koralikami. Bardzo kobiecy i niepraktyczny przedmiot, w którym mieściły się długopis, trochę banknotów i paczka papierosów. Danielle sięgnęła po nią. Tak wyobrażała sobie „szykowny styl”, gdy miała siedemnaście lat. Dzisiaj, na randkę z Dexterem, zabrała tę torebkę pierwszy raz, odkąd kupiła ją w sklepie z używaną odzieżą. Otworzyła ją i wyjęła białą plastikową puderniczkę. Podniosła klapkę i czule zdmuchnęła kurz, który osiadł na lusterku. Wyciągnęła je nad stołem w stronę Bena.

- Proszę. Zerknij tutaj.

Zaskoczony uniósł rękę, sięgając po białą puderniczkę. Zanim jej dotknął, wokół nich zapadła ciemność. Otoczyła ich smołowata czerń, jaką widzi się pod powiekami, zamknąwszy oczy w środku nocy. Jak w jaskini albo w suterenie.

- Danielle?

Nie odpowiedziała.

- Danielle, jesteś tam?

Siedział bezruchu i czekał, aż świat ponownie zapłonie światłami. Zdawał sobie sprawę, że przyczyną ciemności nie była przerwa w dostawie energii elektrycznej ani przepalony korek. Mrok był zbyt bezdenny i absolutny. Przed momentem siedzieli w rozległym ogrodzie przy restauracji. Noc oświetlały uliczne latarnie, witryny sklepów, światła samochodowych reflektorów. Teraz wszystko zniknęło. Było tak przeraźliwie ciemno, że Ben nie dostrzegłby dłoni trzymanej centymetr przed oczami.

– Danielle?

Pilot runął z hukiem na grzbiet. Ból przebiegł mu po kręgosłupie jak sztafeta ganiająca tam i z powrotem. Leżał i dyszał ciężko, mając kompletny mętlik w głowie. Gdzieś w głębi czuł piekącą wściekłość na to, co się stało. Dosyć już tego!

Czemu wszystko i wszyscy sprzysięgli się przeciw psu, który się z nią. Ale od kiedy drugorzędnych graczy traktuje się w tak haniebny sposób? Ile jeszcze ciosów wymierzy mu wszechświat?

Gdy odzyskał oddech, przekulnął się na bok i ostrożnie stanął na nogach. Po drodze musiał sobie zwichnąć prawą łapę, bo kiedy się podniósł i oparł na niej swój ciężar, ugięła się pod nim boleśnie. Super. Po prostu bomba. Tylko brakowało, żeby okulał.

Zapуścił wzrok w głąb korytarza i ujrzał kobiety. Obie stały odwrócone plecami. Drzwi mieszkania Danielle Voyles były otwarte. Pilot podszedł do nich, utykając, i zajrzał do wnętrza.

Natychmiast owionęła go silna woń chińskiego jedzenia. Pilot uwielbiał chińskie potrawy. Swego czasu, gdy tułał się po ulicach, codziennie przetrząsał kubły z resztkami, wystawione przed dwoma różnymi chińskimi restauracjami. Do szczęścia wystarczył mu pierożek gotowany na parze i krewetki. Mieszkanie Danielle pachniało kurczakiem, rozgotowanymi warzywami, gorącym ryżem i glutaminianem sodu. Poza tym nie różniło się od innych opustoszałych lokali w tym bloku. Pilot obszedł wszystkie pokoje i zbadał każdy zakątek, ale oprócz osobliwego zapachu nie natknął się w mieszkaniu na nic szczególnego.

– Danielle?

Pies struchlał. To był głos Bena. Przecież sprawdził wszystkie pomieszczenia; był pewien, iż nikogo tam nie ma.

– Ben?

– Pilot? To ty, pieseczku? Gdzie jesteś? Nic ci się nie stało?

– Nie. Wszystko w porządku. Ale gdzie ty jesteś?

– Tutaj, Pilot. Tu jestem. Pewnie nie widzisz mnie przez te ciemności.

Pilot przekrzywił głowę na bok.

– Nie rozumiem: jakie ciemności?

– No wokoło. Nic nie widać. Jesteś innego zdania? Hej, czyżby psy widziały po ciemku?

– Nie. Ale tu, gdzie jestem, nie ma żadnych ciemności. Jest całkiem widno.

Na jakiś czas zaległa cisza, jak gdyby Ben próbował dopasować tę nową informację do szerszej układanki. W końcu zapytał dziwnie zmienionym głosem:

– Gdzie właściwie jesteś?

– W mieszkaniu Danielle. A ty?

– Ja też– odparł zdziwiony Ben.– Tak jakby.

– Co to znaczy „tak jakby”? Przecież cię słyszę, musisz być w pobliżu.

– Gdzie kobiety?– dodał ciszej Ben.– Gdzie German?

– Została na korytarzu. Razem z Ling.

– Czy możesz je przyprowadzić?

Pilot rozglądał się po mieszkaniu, przekonany, że lada moment spostrzeże Bena Goulda.

– Pilot, jesteś tam jeszcze?

– Tak.

– Mam do ciebie prośbę. Czy mógłbyś sprowadzić kobiety?

– Dobrze. .

– Dziękuję. Będę tutaj na was czekał.

Pies przypomniał sobie o czymś. Podniósł głowę i omiół wzrokiem sufit. Może Ben tkwi przyczepiony do sufitu, jak ten chłopiec w jego kuchni? Nikogo tam jednak nie było.

– Pilot?

– Słucham?

– Naprawdę u ciebie nie jest ciemno? Ani trochę?

– Mmm, nie. Normalnie. Wszystko widzę.– Pies potoczył dookoła wzrokiem.– Nie, tu jest jasno.

– Okej. Chciałem się tylko upewnić.

Pilot wyszedł z mieszkania po German i Ling. Spowity egipskimi ciemnościami Ben położył ręce na kolanach i czekał.

12.

Puderniczka wymsknęła się z palców Danielle i upadła na stół. Ben już miał ją odebrać, ale nagle zniknął. Danielle rozejrzała się po sali – nigdzie go nie było.

Nie spuszczając wzroku z otwartej puderniczki, Danielle podniosła leżący na talerzu faszerowany naleśnik i ugryzła to na wpół chrupkie, na wpół kleiste ciasto. Gdzie on się podział? Ulotnił się w mgnieniu oka, gdy podawała mu lusterko. I przede wszystkim: dlaczego zniknął? Teraz, kiedy była gotowa opowiedzieć mu o swoim wielkim odkryciu.

– Ben? – Nie spodziewała się, że jej odpowie, mimo to czuła, że powinna go przywołać. Cisza. Co się z nim stało?

– Gdzie twój znajomy staruszek? Skumał aluzję i poszedł sobie? – Dexter wysunął krzesło i usiadł z powrotem. – A w ogóle, co to za gość? Jakiś dawny nauczyciel? Chyba nie mówiłaś mi o nim.

Danielle odłożyła nadgryziony naleśnik i uniosła głowę.

– Słyszałeś? – Co?

– Moje imię. Ktoś mnie zawołał. Nie słyszałeś?

– Nie. – Dexter wzruszył od niechcienia ramieniem. Miał po dziurki w nosie nieznanym mężczyzną witającym się z Danielle. Ten wieczór mieli spędzić we dwoje. A tu raptem okazuje się, że jego dziewczyna jest najpopularniejszą osobą w restauracji. Czy jemu nic się nie należy?

Odchyliła głowę na bok, jakby nasłuchiwała, czekając na coś jeszcze. Dexter trzymał język za zębami, ponieważ był dobrze wychowanym tchórzem i nie chciał się narażać na jej złość, szczególnie dzisiaj.

– Czy to ty, Ben?– Spojrzała na Dextera.– Przed chwilą ktoś powtórzył moje imię, nie słyszałeś?

– Niestety nie.

– Na pewno?– Tak.

– A ja słyszałam. I jestem pewna, że to en.

– Kto?

– Ben. Ten facet, z którym rozmawiałam.

Dexter przełamał niechęć i obejrzał się na boki w poszukiwaniu „Bena”.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem.

– Ależ Dani, jak mógł cię wołać, jeśli wyszedł?

– Tak, ale nie mam wątpliwości, że to był on.

– W porządku. Jeżeli tak mówisz.– Odwrócił głowę. Spuścił wzrok na podłogę. Byle tylko nie patrzeć na Danielle.

– Dexter?

– No?– Miał wyraz twarzy małego chłopca, który pragnie, aby go przytulić.

– Wszystko będzie dobrze. Nie martw się. Wytrzymaj jeszcze kilka minut.

Pilot musiał działać. Jak przystało na dżentelmena, odczekał dłuższą chwilę, zachowując taktowny dystans, aż któraś z kobiet odwróci się do niego, żeby mógł jej przekazać prośbę Bena. Jednak German i Ling nie odwracały się. Stały nieruchomo, pokazując mu plecy.

– Przepraszam.

Bez odpowiedzi.

– Przepraszam– powiedział głośniej. .

Ling zerknęła przez ramię ale nie zareagowała. Wyglądała dość niewyraźnie, jakby była chora. Pilot zapytał ją bezgłośnie, czy dobrze się czuje. Nie odpowiedziała. Sądząc, że go nie usłyszała, powtórzył pytanie. Milczała.

Począł do nich i trącił German w pośladek. Kobieta przesunęła rękami po twarzy, jak gdyby ocierała zasnute mgłą oczy i umysł.

– Pilot!– zawołała.– Hej, wszystko w porządku?

– U mnie tak. Ale co z Ling?

Oboje przyjrzeni się stojącej obok zjawie. Patrzyła przed siebie w jakiś odległy punkt; jej nieruchome oczy połyskiwały jak puste szklane kulki.

German nie widziała tego, jak Ben dotknął ramienia Ling i wyssał jej duchową wiedzę. Nie widziała, jak twarz ducha zmienia się od zastygłej maski poprzez zaciekły opór aż po rezygnację i spuszczone powieki. German przypuszczała, że dziwna apatia Ling bierze się z niezrozumienia wydarzeń, które rozgrywają się wokół nich.

– Nic jej nie jest. Obie jesteśmy trochę roztrzęsione...– Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Zimowy poranek spędzony z Benem w łóżku powoli zamazywał się w jej pamięci, choć wrażenie nadal było silne. Czowała ogarniający ją słodki smutek i tęsknotę, jakie następują tuż po seksualnym spełnieniu z kimś, kogo się kocha.

– Ben chce was widzieć. Mówi, żebyście przyszły do mieszkania Danielle.

– Okej.

Pilot zastanowił się, czy ma ją uprzedzić, iż Ben nie do końca znajduje się w tym mieszkaniu, ale doszedł do wniosku, że lepiej nie. Niech German sama zdecyduje, co robić.

– Ling?– German dotknęła jej ramienia. Ling tkwiła w miejscu, nie dając znaku życia, jakby ktoś wyłączył jej zasilanie. Chwile później drgnęła i popatrzyła na German, by zaraz odwrócić wzrok. Pokonała korytarz i weszła do mieszkania Danielle.

Panujące wewnątrz ciemności najwyraźniej jej nie przeszkadzały. Zamknęła za sobą drzwi i zrobiła parę kroków, po czym stanęła na środku salonu.

– Ben? Jestem tutaj.

– To ty, Ling? Świetnie. Gdzie German?

– Idzie. Jest na korytarzu. Pomyślałam, że najpierw będziesz chciał pomówić ze mną.– Mówiła jednostajnym głosem przywodzącym na myśl nagranie z taniej automatycznej sekretarki.

– Masz rację. Rzeczywiście chciałbym z tobą porozmawiać.

– Wiem, o co chodzi, wal prosto z mostu.– Jej monotony głos budził niepokój, tym bardziej że wiedziała, co ją czeka.

Milczał. Co miał powiedzieć?

– To nieuczciwe, Ben. W żaden sposób nie mogę cię powstrzymać, ale uważam, że to skrajnie nieuczciwe.

– Tak. Słyszę cię.

– To nie jest odpowiedź!– huknęła gromkim głosem.– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?! „Słyszę cię”?!

– A co mam ci powiedzieć, Ling?

– Na przykład: „Przepraszam”. Bo wiesz, że zrobisz zaraz coś parszywego i złego, więc jest ci przykro. Czy usłyszę od ciebie to słowo, Ben?

W jego głosie nie było nawet nuty skruchy.

– Muszę to zrobić. Nie ma innego wyjścia. Muszę wydostać się z tych ciemności. Tylko ty wiesz, jak to zrobić.

– Zgadza się, wiem. Wiedziałam, gdy tylko dotknąłeś mnie na korytarzu. Ale czy pomyślałeś, co będzie ze mną, Ben? Co z moim życiem? Moimi pragnieniami?

– Przez myśl mi nie przeszło, że to się tak skończy. Przysięgam, Ling. Sądziłem, że wezmę jedynie część ciebie. Ale nie mogę. Zdałem sobie z tego sprawę po spotkaniu z Danielle: ta częśćka mi nie wystarczy, żeby zrobić to, co mam zrobić. Muszę mieć wszystko,

– Musisz mieć wszystko.– Powtórzyła za nim, usiłując przybrać ton pogardy i żalu, ale jej słowa budziły tylko litość. Miała rozedrgany, żaloszny głos porzuconej kochanki albo pracownika, który dopiero co wyleciał z pracy.

German sięgnęła do klamki w drzwiach mieszkania Danielle, ale gałki nie dało się przekręcić. Spróbowała jeszcze raz. Nic z tego.

– Zamknięte.

– Co takiego?– zdziwił się stojący za jej plecami Pilot.– Jak to zamknięte?

– Zamknięte i już. Nie mogę otworzyć.– Napała na klamkę, aby pies przekonał się na własne oczy.

– Bez sensu. Przed momentem było otwarte. Przecież wyszedłem stamtąd.

- Było, ale nie jest. Któreś z nich musiało zamknąć drzwi od środka.
- Tylko po co? Ben prosił mnie, żebym was przyprowadził.
- Więc może Ling się zamknęła?
- To nie ma sensu.
- Już to mówiłeś.

Oboje popatrzyli na siebie. Rozmawiam z psem, pomyślała German.
Za drzwiami odezwał się czyjś śpiew.

- To Ben.

Po chwili zabrzmiał następny głos, który również przypominał głos Bena, choć z całą pewnością śpiewano w duecie. German i Pilot wiedzieli dobrze, że Ben uwielbia śpiewać. Gdy był małym chłopcem, dziadek przez lata zabawiał go opowiadaniem historyjek o swoim dzieciństwie spędzonym na rosyjskiej wsi, w okolicach Omska. Podczas śmiertelnie mroźnych syberyjskich zim, kiedy wiał styczniowy wicher, a temperatura spadała poniżej czterdziestu stopni, ludzie uciekali się do prostych rozrywek. Rodziny i zaproszeni goście zbierali się przy kuchennym stole, w najcieplejszej izbie, i śpiewali rosyjskie pieśni ludowe. Tak narodził się zjawiskowy śpiew a cappella, który z czasem zaczęto nazywać „rosyjską muzyką stołową”.

Gdy Ben miał jedenaście lat, wybrali się z dziadkiem do Centrum Sztuk Sceniczných Horace'a Bushnella w Hartfordzie w Connecticut, aby posłuchać, jak sławny rosyjski chór męski Piereswiet wykonuje składankę takich pieśni. Znakomita większość wypełniających widownię słuchaczy znała je na pamięć. Wielu z nich, także jego dziadek, nuciło lub śpiewało wraz z chórzystami. Po każdym utworze wybuchał ogłuszający aplauz.

Kiedy mały Ben zachorował i wylądował w łóżku, cierpiąc na ospę wietrzną i nieznośną nudę, przez parę dni dziadek zachodził do niego i śpiewał mu owe pieśni. Jego ulubiona nosiła tytuł *Młody człowiek poleciał jak ptak*– nieraz znudzony chłopiec wyobrażał sobie, że unosi się znad łóżka i wylatuje przez okno na zdrowy świat. Kilka lat później, w liceum, zobaczył obrazy Marca Chagalla i zaraz przypomniały mu się tamte dni choroby, podczas których mozolnie uczył się długich rosyjskich słów swojej ulubionej piosenki.

Teraz zaś, w innym czasie i miejscu, śpiewał ją ponownie. Uczynił to na prośbę Ling. Był to najlepszy sposób, żeby odejść.

– Pamiętasz piosenkę *Młody człowiek poleciał jak ptak*?– zapytała.

– Tak.– Stojąc w ciemności zaledwie pół kroku od niej, zamknął oczy i uśmiechnął się na wspomnienie rosyjskiej pieśni, której nauczył go dziadek.

– Czy możemy ją zaśpiewać, Ben? Czy możemy ją śpiewać, kiedy...

– Oczywiście, Ling.

– Dziękuję. Będzie mi lżej. Testem tutaj, Ben. Gdybyś nie mógł mnie odnaleźć. Będę mówiła, dopóki mnie nie znajdziesz.

Wtedy poczuła, że jej dotyka, a po chwili znowu położył ręce na jej ramionach. Ling nie bała się tego, co ma ją spotkać, ale było jej smutno. Musi mu oddać wszystko. Tym samym zniknie na zawsze; straci ten zdumiewająco ogromny kapitał ludzkich cech, który polubiła w sobie jako człowiek.

Najbardziej było jej szkoda utracić German. Ktoś, kto nie istnieje, nie może oczywiście tęsknić. Ling była jednak przekonana, że w takiej czy innej formie, cokolwiek stanie się z jej molekułami, gdy Ben dokończy swego

dzieła, ona będzie tęsknić za German Landis. Wiedziała od początku, że nie może liczyć na wielki romans. Ale teraz, gdy jej istnienie dobiegało końca, Ling pocieszała się fantastyczną myślą, że może któregoś dnia magia, która je złączyła, znowu da o sobie znać.

– Żebyś nie wątpił, Ben: kocham German Landis. Uśmiechnął się pod nosem.

– Masz dobry gust.

– Mówię zupełnie serio. Naprawdę ją kocham. Gdyby to było możliwe, odbiłabym ci ją. Pewnie to śmieszne, ale taka jest prawda.

– Okej.– Niewykluczone, że pewnego dnia wyjawi German, iż kiedyś kochała się w niej pewna zjawia– lesbijka.

– Bawi cię to?

– Nie, Ling. Cieszę się. German to najukochańsza dziewczyna na świecie. Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że masz dobry gust.

Ling się rozmarzyła.

– Zawsze się zastanawiam, czy kocham ją dlatego, że jestem tobą, czy dlatego, że mną.

– Nie wychodzi na to samo?– spytał delikatnie Ben. Ling zacisnęła usta.

– Pewnie tak. Strasznie uwierało mnie to, że nie jestem niczym więcej niż częścią ciebie. Odpadkiem po Benjaminie

Gouldzie, wtórnym surowcem użytym do zmagstrowania ducha imieniem Ling. Czy ludzie nie byliby zdumieni, dowiadując się, że duchy to jedynie marne resztki? No, ale dosyć tego bajania. Jestem gotowa, Ben. Możemy zacząć śpiewać? Na korytarzu rozległo się pytanie Pilota:

– Co oni śpiewają?

– Rosyjską pieśń. Ben czasem ją podśpiewywał.

– Co to znaczy „rosyjska”?

German ciągle zapominała, że rozmawia z psem.

– W obcym języku.

– Ludzie używają więcej niż jednego języka?

– Mmm, właśnie, Pilocie.

– Interesujące. Psy mają tylko jeden.

– Ale teraz rozmawiasz ze mną ludzką mową. Pilot podniósł na nią spojrzenie.

– Nieprawda. Mówię językiem psów. German nie uwierzyła mu.

– W tej chwili mówisz do mnie językiem psów?

– Tak.

– Ale przecież ja mówię do ciebie po angielsku, znaczy się– po ludzku.

– Nie. Mówisz po psiemu.

– Nieprawda. Mówię po angielsku.

– Co znaczy „po angielsku”?

Wymiana zdań toczyła się coraz szybciej po równi pochyłej, gdy raptem dochodzący zza drzwi śpiew umilkł. Nastąpiła cisza. German, nasłuchując, przystąpiła do drzwi. Aby zachować równowagę, oparła się ręką o gałkę– tym razem gałka ustąpiła bez oporu.

– Otwarte.

– Więc wejdź.

Wahała się.

– Myślisz, że to dobry pomysł?

– Chyba nie będziemy tu sterczeć?– Pilot ominął ją i wszedł do mieszkania. German wsunęła się za nim. Ben siedział sam na małej żółtej kanapie.

– Gdzie Ling i Danielle?– zapytała.

– Ling odeszła– odparł.– I już nie wróci. A Danielle...– Uniósł rękę z podłokietnika, jak gdyby chciał coś zademonstrować. Zamiast tego zrobił kwaśną minę i opuścił rękę z powrotem.

– Co się dzieje, Ben? Czy zechciałbyś mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

– Najpierw będziesz musiała kogoś Doznać.– Umilkł na moment.– Przez całe życie nienawidziłem tylko dwojga ludzi, głównie dlatego, że się ich bałem. Zresztą bałem się ich z różnych powodów. Jednym z nich był mój szef, którego nazwałem Parrish. Drugim była moja dawna dziewczyna, która miała na imię...

– Alayne– wpadła mu w słowo German.

– Tak jest, Alayne Stewart. Zapamiętałaś.

– Pamiętam wszystko, Ben. Dobro i zło.

– No więc: tych dwoje. O dziwo, po latach nazwisko Parrish uleciało mi z głowy, bo zawsze miałem go za osła. Osioł Carl. Carl Parrish, stary osioł. Alayne Stewart i Carl Parrish. Stewart– Parrish. Czy to nazwisko coś ci mówi, German?

– Nie.

– Ale jego chyba pamiętasz?

Z kuchni Danielle wyszedł włóczęga w pomarańczowej koszuli i zwałił się na kanapę obok Bena, jak gdyby był u siebie w domu. Jadł sandwicza z masłem orzechowym, w ręce trzymał puszkę Dr. Peppera. Mimo woli German i Pilot odsunęli się. Pies zawarczał.

– Nie ma strachu. On jest niegroźny, prawda?– Ben spojrzał pytająco na Parrisha. Tamten przytaknął z obojętną miną

i odgryzł gruby kęs orzechowej kanapki; białe pieczywo miało wykrojoną skórkę.– Nie bójcie się. Stewart stracił pazurki.

– Proszę cię, Ben. Wy tłumacz nam, o co tu chodzi. Co to wszystko znaczy?

Ben skinął głową. Rozumiał jej zakłopotanie; trzeba było spróbować wyjaśnić niektóre sprawy.

– To ja stworzyłem Stewarta Parrisha– od stóp do głów, razem z tą ohydą koszulą, którą ciągle nosi. Moja nieświadomość wrzuciła wszystkie dręczące mnie lęki i obawy do jednej wielkiej misy.– Ręce Bena zakreśliły w powietrzu obszerne koło.– Utała je na jednorodną masę i wstawiła do piekarnika, czyli do mojej głowy.– Przyłożył palec do czoła.– Piekło się to na wolnym ogniu przez... no, prawie przez całe moje życie. Niedawno nieświadomość wyciągnęła z tego piekarnika Stewarta Parrisha, przed którym wszyscy trzęśli się ze strachu.

Oczywiście German go nie zrozumiała. Opowieść Bena wydała jej się dziwaczna. Jej twarz pytała błagalnie: „O czym ty mówisz?” Trudno zresztą się dziwić– jeszcze chwilę temu Ben sam nie rozumiał, co się z nim działo. Słowa nie zdadzą się na wiele.

Rozległo się pukanie do drzwi. Ben wstał z kanapy i poszedł otworzyć. Na korytarzu stał verz, ani mały, ani duży. Wślizgnął się niespiesznie do mieszkania i podszedł do Stewarta Parrisha. Budzący wszem i wobec postrach mężczyzna w jaskrawej koszuli nachylił się i podsunął verzowi resztki swojej kanapki. Zwierzak wyciągnął się ku niemu i otworzył pysk. Najpierw pochłoniął kanapkę, potem rękę Parrisha, a w końcu i jego samego.

Wszystko to przebiegło szybko, cicho i płynnie. Verz wciągnął w siebie mężczyznę, jakby robił głęboki wdech. Nie poruszał przy tym szczękami ani nie przęłykał. Kiedy Parrish zniknął, biały zwierzak odwrócił się i podszedł z powrotem do Bena. Wszedł w jego prawą nogę i tyle go było widać.

Nawet Pilot był pod wrażeniem. Widywał verze całe życie i sądził, że przybywają z jakiegoś odległego miejsca, by pomagać ludziom, którzy mają kłopoty, po czym wracają tam i czekają aż do kolejnej interwencji. Niczym wozy straży pożarnej w remizie. Nie przyszło mu do głowy, że verze są wytworem ludzi. A to ci dopiero. Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, białe stworzenia pojawiały się tylko wtedy, gdy ludzie byli w tarapatkach i potrzebowali ich pomocy.

German stała odrętwiała, podpierając prawy łokieć na lewej dłoni, a prawą dłonią zakrywając usta. Stan najwyższego zdumienia. Jej wzrok śmigał między Benem, Pilotem i pustą kanapą, na której przed chwilą siedział ten straszny włóczęga i zajadał masło orzechowe.

– Słuchasz mnie, German? Słyszysz mnie?– Ben spróbował delikatnie wyrwać ją z otępienia.– German?

Wciąż była w szoku, lecz jej spojrzenie zatrzymało się na kilka sekund na Benie. Patrzyła na niego.

– Nie wiem, ile ci powiedziała Ling, więc przerwij mi, jeżeli zacznę mówić o rzeczach, o których wiesz. Pamiętasz zimę zeszłego roku, kiedy wywróciłem się i rozbiłem sobie głowę? Ja wtedy umarłem. A raczej powinienem umrzeć, bo...

– Wiem– wtrąciła German.– Ling mówiła mi o tym.

– W porządku. Wiesz także o dziwnych przygodach, które mi się zdarzały od tamtej pory. Danielle mówiła, że też jej się przytrafiały takie historie.

– To także wiem, Ben.

– Wobec tego powiem wprost: Ling to ja. Stewart Parrish to ja. Verze również są mną. Wszystkie te szaleństwa, które od jakiegoś czasu działały się dokoła nas, miały swój początek we mnie... Jestem jedynym winnym w tej sprawie.

– Dlaczego?– spytała półgłosem German.

Niewinność jej pytania zbiła go z tropu. Sądził, że German rozplacze się albo będzie krzyczeć, nie spodziewał się, że po prostu zapyta go „dlaczego?” Poczuł się, jakby ktoś uderzył go w pierś. Jego myśli zatoczyły się jak pijane, szukając jakiegokolwiek punktu oparcia.

Dlaczego? Czy chodzi jej o to, dlaczego on? Czy o to, dlaczego zdarzyły się te wariactwa? Na żadne z tych pytań Ben nie miał gotowej odpowiedzi. Był pewien tylko paru rzeczy. Wiedział, że żyje, choć powinien być martwy. Wiedział, że kocha German bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Wiedział, że niewiarygodne wydarzenia, w których uczestniczyli, nie zaistniałyby, gdyby cudem nie przeżył upadku na śniegu.

– Nie wiem dlaczego, German. Wszystko toczy się tak szybko, że nie nadążam. Mógłbym cię okłamać, ale nie chcę tego robić– dosyć kłamstw. Zasługujesz na prawdę. Wskazała na jego nogę. Wiedział, co German ma na myśli: W jaki sposób verz wszedł tam i zniknął, zjadłszy Stewarta Parrisha?

– A to, Ben?– Czy wiesz, co to znaczy?– spytała.

– Tak, wiem.

– Wiesz, jak to się dzieje, że rozumiemy naszego psa, kiedy do nas mówi? Skąd materializuje się duch i jak...

– Tak, wiem.

– Naprawdę?

– Naprawdę?– odezwał się Pilot.

– Tak.

TTLR

13.

Co to jest?– zapytała German, mimo że doskonale wiedziała, na co patrzy.

Ben posłał jej uśmiech.

– Wiesz lepiej od nas. Nasłuchałem się o nich, odkąd się poznaliśmy.

– Samochód wyścigowy.– Pochyliła głowę, aby się przypatrzeć lśniącej maszynie.– Samochód wyścigowy formuły jeden. We własnej osobie.

– Czy mam cię przedstawić?

– Nazywa się ferrari.

Czerwono– żółte ferrari poklejane reklamami sponsorów. Przypominało ogromnego wodnego chrząszcza w czerwono– żółte plamy. Stało zaparkowane na ulicy przed blokiem Danielle.

– Tak jest. Rozpędza się od zera do stu mil na godzinę w trzy sekundy. Ale jeszcze bardziej niesamowite jest to, że wyhamowuje od stu osiemdziesięciu mil do zera w cztery sekundy.

– Cztery sekundy? Nie wiedziałam.– German całkiem nieźle znała się na formule jeden, kiedy bowiem mieszkała w Minnesocie, jej ojciec i brat pasjonowali się tym sportem. Wiele uroczych niedziel spędziła przed telewizorem, patrząc z podziwem, jak te metalowe potwory prują po torach w Monte Carlo, Kuala Lumpur czy Melbourne. Od zera do stu mil w trzy sekundy. Jeden, dwa, trzy.

Bolid stał na ulicy jak fatamorgana. Zdawał się pochodzić z innej bajki, tym bardziej że parkował między malutkim hyundaiem a groszkowozieloną toyotą camry. Przychodzący chodnikiem staruszek

zobaczył go i zamrugał przesadnie. Ben, German i Pilot stali razem na szczycie tych samych schodów, na których jeszcze niedawno siedział Stewart Parrish.

– Co on tu robi, Ben? Ty go sprowadziłeś? Po co się na niego gapimy jak sroka w gnat?

– Bo muszę ci coś pokazać.– Zszedł po stopniach i zbliżył się do samochodu.– Znasz się na tych maszynach, zgadza się?

Stojąca na schodach German zaplotła ręce i wzruszyła niezobowiązująco ramionami.

– Owszem, trochę.

– A jakże! Opowiadałaś mi o nich w nieskończoność. Kochasz wyścigi. Więc dobrze, zrób coś dla mnie: wejdź do tej maszyny i uruchom ją.

– Mam ją uruchomić?

– Tak, a jak ci się uda zapalić silnik, zrób kilka kółek po osiedlu.

German spojrzała na swego byłego chłopaka, jakby mówił od rzeczy.

– Ale ja nie umiem uruchomić auta formuły jeden! Kto miałby mnie tego nauczyć? Poza tym nie jeździ się takimi pojazdami po publicznej drodze. To nie jest skuter, Ben. Tysiąc koni mocy. Do setki w trzy sekundy, pamiętasz?

– Pilot?

– Tak?

– A może ty?

– Co?

– Chcesz zostać kierowcą.

– Co to znaczy kierowca? Dwoje ludzi uświadomiło sobie równocześnie, że psy podróżują samochodami wyłącznie w charakterze pasażerów. Słowo „kierowca” nie figuruje w ich słowniku.

– Mniejsza o to.– Ben obszedł ferrari. Dotknął kilku części, kopnął w oponę, przysiadł na piętach ,jakby się zbierał do wejścia za kierownicę.– Jak się tu dostać? Nie zmieszczę się, wejścia za kierownicę.– Jak tu się dostać? Nie zmieszczę się, kokpit jest za ciasny.

– Najpierw wyjmuję się kierownicę– wyjaśniła German.– Kierowca wchodzi do środka i zakłada ją z powrotem. Fotel robi się na wymiar. Musi być idealnie dopasowany do ciała kierowcy z powodu przeciążeń, jakie działają na niego przy pokonywaniu zakrętów.

– Serio?

– Ben, dlaczego tu sterczymy? O co chodzi? Wyprostował się i położył rękę na srebrnym stabilizatorze.

– Oto najszybszy i najbardziej zaawansowany technicznie samochód na świecie. Wyciąga trzysta mil na godzinę. Absolutny numer jeden, zgadza się?

– Tak, w swojej klasie.

– Jednak nikt z nas nie potrafi go zapuścić, choć przecież ty i ja jeździmy samochodami od lat. A nawet gdybyśmy zdołali go uruchomić, założę się, że w pięć minut byśmy spowodowali wypadek, bo nie poradziłibyśmy sobie z mocą silnika.

– Zwłaszcza na ulicy miasta– potwierdziła German.– Te bolidy nadają się tylko na tor wyścigowy. Jako zwykłe auta są bezużyteczne. To nie jest taki sobie miejski samochód. Różni się od niego, jak samolot różni się od promu kosmicznego.

– Prom kosmiczny– dobre porównanie. Trochę to ironiczne, nie sądzisz? Najwspanialszy samochód świata, cud techniki, nie nadaje się do jazdy ulicą. Służy tylko jednemu celowi, o którym ma pojęcie... może ze stu ludzi na tym świecie.

– No więc?– Do czego on zmierza? German zaczęła się niecierpliwić.

Ben znowu pogłaskał stabilizator.

– No więc wyobraź sobie, że któregoś dnia idziesz do swojego samochodu i odkrywasz, że twój trzyletni ford przemienił się jakimś cudem w tę najszybszą, najpotężniejszą i najszybszą, najpotężniejszą i najszykowniejszą brykę na świecie. Nie masz pojęcia, jak go wyłączyć ani jak nim jechać. Ale musisz stawić się na piekielnie ważnym spotkaniu, sto mil od twojego domu, i żeby tam dotrzeć, musisz pojechać tym autem. Nie możesz do niego wleźć, bo nie wiesz, że najpierw trzeba zdjąć kierownicę... No ale, dobrze, jakoś udaje ci się wgramolić do środka. Musisz jeszcze wydedukować, jak się uruchamia silnik. Potem musisz przejechać te sto mil, nie rozbijając się po drodze. Sto mil na godzinę w trzy sekundy, German. Dodać gazu, żeby nie przyładować w drzewo...

– Zadzwońabym po taksówkę. Albo wynajęła samochód. Nie wiem, Ben. O co ci właściwie chodzi?

Ni stąd, ni zowąd silnik bolidu zawarczał ogłuszająco. Po chwili obroty spadły i motor wydał z siebie seksowne, gardłowe mruccando. Brrum– brrum. Chodził tak przez pół minuty, po czym nagle zgasł. Cisza, która zapadła, wydawała się gęsta i prawie namacalna.

Ben założył ręce za plecy.

– Fajna sztuczka, he? Może sądzisz, że wiem, na czym to polega, ale się mylisz. Jestem ciemny jak tabaka w rogu. Nie wiem o tym samochodzie nic ponad to, co mi powiedziałaś. Ot, umiem włączyć silnik. Jak? Nie mam pojęcia.– Dłuższy czas patrzył na ferrari. Intuicja kazała German czekać, dopóki Ben nie odezwie się pierwszy.– Tak samo było ze mną: pewnego dnia poszedłem po samochód, a w garażu stało to ferrari. Pewnego dnia przewróciłem się i uderzyłem w głowę. Powinienem być umrzeć, a jednak nie umarłem. Gdy odzyskałem przytomność, byłem już... jak ten samochód wyścigowy. Rozumiesz, German?– Dotknął palcami powiek. Starał się mówić jasno i precyzyjnie. Chciał jej przekazać całą prawdę.

– Chyba tak. Nie wiem, Ben. Powiedz coś więcej.

– To dzięki mnie rozumiesz język Pilota. I Pilot rozumie nas. To ja tego dokonałem, German. Jakaś cząstka mnie potrafi wejść do głowy Danielle Voyes i rozejrzeć się po jej prywatnym życiu jak po salonie meblowym. Potrafi wywołać ducha. Ducha Bena Goulda, chociaż ja żyję. Potrafi sprowadzić Ling. Jak dokonuję tych cudów? Nie wiem. Oto mój kłopot.– Jego twarz przeciął uśmiech od ucha do ucha, który natychmiast zamarł.– Mam wrażenie, jakbym stał się tym potężnym ferrari. Ale nie umiem go prowadzić. Większość mnie nie potrafi go uruchomić, a co dopiero bezpiecznie nim jeździć.– Wysunął w górę dwa lekko rozchylone palce.– Umiem tylko włączyć i wyłączyć silnik.

– Kiedy to się zaczęło, Ben?

– Tamtego wieczoru, jak ten facet dostał nożem. Pamiętasz, poszliśmy później do baru? Wtedy po raz pierwszy znalazłem się w głowie Danielle.

– Naprawdę wierzysz, że stworzyłeś Stewarta Parrisha?

– Nie wierzę, German, tylko jestem tego pewien. Widziałaś, co się stało.– Klepnął się w nogę.– To ja zmajstrowałem Parrisha, verze i Ling. Ale „jak” i „po co”? Nie mam zielonego pojęcia.

– Skąd się wziął ten samochód?

W odpowiedzi wskazał na swoją pierś.

– Więc się go pozbadź. Pokaż mi. Pokręcił głową.

– Nie mogę. Próbowałem.

– Dlaczego nie możesz?

– Mówiłem ci: nie wiem, jak to wszystko d z i a ł a. Ja sam już nie wiem, jak działałam. Nie wiem, jak wyczarowałem tę maszynę...– pokazał ferrari– ..nie wiem, jak sprawić, żeby zniknęła. Coś przychodzi mi do głowy i nie wiadomo kiedy staje się realne, ale przeważnie nic się nie dzieje. Nie kontroluję tego. Nie kontroluję samego siebie.

– Przypomniało mi się coś, co powiedziała Ling podczas gotowania– odezwał się pies.

Ben i German spojrzeli na niego. Pilot wyjaśnił, że gdy Ling potrzebowała jakiegoś składnika, wyciągała rękę i pożądanym przedmiotem się tam materializował. Kiedy ją zapytał, czy gdyby wyobraziła sobie, że trzyma słonia, ten również by się tam pojawił, odparła, że tak.

– Jak ona to robiła?

Pilot przestąpił z łapy na łapę i zamknął oczy, aby nie uronić ani słowa.

– Powiedziała: „Gdy człowiek umiera, uczy się go, na czym polega prawdziwa struktura rzeczywistości. Poznaje nie tylko to, jak wygląda i czuje, ale też istotę tego, czym naprawdę jest. Dzięki tej wiedzy można tworzyć różne rzeczy”.

- Czyżbyś ją cytował?
- Owszem. Mam dobrą pamięć.
- Zapamiętałeś to, co powiedziała Ling? Słowo w słowo?
- Tak. Jeśli mi na czymś zależy, zapamiętuję to.
- Niewiarygodne, Pilocie.
- Zwykła rzecz. Wszystkie psy mają fenomenalną pamięć. Nie

zauważyliście?

- Mmm... raczej nie.

Pilot jeszcze raz uprzytomnił sobie, jak ślepe i głuche są istoty ludzkie na to, co w życiu liczy się najbardziej.

Ben wciągnął powietrze. W połowie oddechu zaświtała mu pewna myśl.

– Pamiętasz wszystko?– Okrążył bolid i zaczął się wspinać z powrotem na szczyt schodów, gdzie stali Pilot i German.

– Jeżeli chcę– potwierdził Pilot.– No, może nie wszystko, nie chcę się przechwalać, ale z tego...

– Czy pamiętasz dzień, w którym uderzyłem się w głowę, Pilocie? Kiedy zabrałem cię ze schroniska dla zwierząt?

- Tak.

– Czy pamiętasz dokładnie, co się stało po moim upadku?

– Prawdopodobnie. Musiałbym się trochę zastanowić. Pozbierać myśli.– Ben wspiął się do połowy, schodów, gdy Pilot oznajmił –Tego dnia miałeś na sobie fioletowe skarpetki.

- Nie noszę fioletowych skarpetek.

– Miałeś na sobie fioletowe skarpetki – powtórzył twardo Pilot.– Widziałem je na twoich nogach, kiedy leżałeś na ulicy

Ben przystanął zamyślony. Fioletowe skarpety? Ależ tak matka przysłała mu parę ciepłych wełnianych skarpet, o których zapomniał, bo z powodu ich krzykliwej barwy prawie nigdy ich nie wkładał. Trzymał je tylko dlatego, że w czasie swoich regularnych wizyt matka niechybnie pytała o rzeczy, które mu wysłała. Czy mu się podobają? Czy pasują na niego? Jeśli nie miał czegoś na sobie przynajmniej raz, robiła nadąsaną minę. Przez resztę roku jej ubrania hibernowały w czeluściach jego szafy albo na dnie szuflad. Tamtego dnia, kiedy kupił Pilota, sypał gęsty śnieg i było mroźno. Rano włożył grube wełniane skarpety, żeby nie zmarzły mu stopy. Pilot przypomniał mu teraz, że były to fioletowe skarpety od matki.

– Masz rację, Pilocie. A pamiętasz może, czy coś mówiłem, gdy się poślizgnąłem? Albo jak leżałem na ziemi? Może zauważyłeś coś dziwnego, gdy leżałem plackiem na chodniku?

Pilot coś zwietrzył. Była to woń seksu, młodości, wolności, seksu, jedzenia, zabawy i seksu– wszystkiego naraz. Gdzieś w pobliżu musiała być suczka w okresie rui. Chociaż Pilot wyróżniał się sprytem, elokwencją i zdolnością komunikacji z ludźmi, to był także psim samcem. Toteż pognał na oślep w kierunku niebiańskiego aromatu.

– Pilot! Stój!

Suczka znajdowała się niedaleko. Na tyle blisko, aby zamienić oddech Pilota w dyszącą żądzę. Im dłużej wciągał w nozdrza jej zapach, tym bardziej jej pragnął. Im bardziej jej pragnął, tym dalej odsuwała się cała reszta świata. Sunął w stronę tego, co było najważniejsze.

Ben patrzył bezradnie za pędzącym psem. Dzięki intuicji i wiedzy, jaką zdobył, domyślił się, o co chodzi. Wspomnienia Pilota dotyczące dnia, w którym Ben miał wypadek mogły przynieść odpowiedzi na wiele

jego pytań. Jednak gdzieś w głębi ducha Benjamina Goulda kryła się niechęć, żeby mu pomóc. Ten „drugi” Gould stworzył Stewarta Parrisha ze starych lęków, zabił verza leżącego pod drzewem i nie dopuścił Bena do rozmowy z Danielle w Lotosowym Ogrodzie, gdy chciała mu ujawnić, kogo należy obarczyć odpowiedzialnością za ich kłopoty. Ten „drugi” stawał mu na drodze i mieszał szyki, od kiedy Ben przeżył wypadek, który powinien był zakończyć się jego śmiercią.

Wcześniej Ben doznał dwóch objawień. Po pierwsze, zrozumiał, że Ling jest jego wytworem; że stanowi częśćkę, którą on z jakiegoś powodu utracił albo oddał, a potem o niej zapomniał. Dlatego teraz, bez żalu i bez wahania, przyjął Ling.– i wszystko to, czym była– z powrotem do siebie. Zjawa stała się częścią Bena, ale tylko jedną z wielu. Po drugie, uświadomił sobie, że inna częśćka jego jaźni ciągle mu przeszkadza. Że to on, Ben Gould, jest złoczyńcą. Wrogiem samego siebie.

Ben odczekał, aż Pilot zniknie mu z oczu, goniąc za widmową suczką, po czym zreferował German to, czego ostatnio się dowiedział. Mówił krótko i uczciwie.

Zaledwie skończył, przy krawężniku po drugiej stronie ulicy zatrzymał się jakiś samochód. Kierowca wydał im się jakby znajomy. Niczym towarzysz podróży, obok którego siedziało się kiedyś w dalekobieżnym autobusie. Dla zabicia czasu obaj ucieliście sobie ciekawą pogawędkę. Na koniec rozstaliście się, żegnając się wylewnie. Widziałem już raz tę twarz, prawda?

– Cześć!– zawołał kierowca. Siedział w ciemnoniebieskim, niepozornym aucie. On również był niepozorny. Miał tak pospolitą twarz, że Ben i German odnieśli podobne wrażenie: widzieli ją setki razy u setki ludzi.

Wysiadł z samochodu, popatrzył na lewo i prawo, czy nic nie jedzie po czym przeciął jezdnię i skierował się ku nim.

„Co teraz?” – pomyśleli na jego widok. Był ubrany w czarną koszulę, z podwiniętymi do łokci rękawami, w szare sztruksowe spodnie i czarne buty ze sprzączkami. Czterdziestka z hakiem, wysoki, z brzuszkiem, mocno wyłysiały.

Idąc w ich stronę, uśmiechnął się i był to miły uśmiech; nie miał w sobie nic sztucznego ani zawodowego. Naprawdę cieszył się, że ich widzi. German zerknęła na Bena i uniosła pytająco jedną brew.

– Poczekaj – odrzekł.

Mężczyzna podszedł do schodów i wskoczył na nie sprężyście jak gospodarz teleturnieju na początku występu.

– Pamiętacie mnie? Nie, chyba jednak nie. – Tryskał energią i dobrym humorem. Całe jego zachowanie sugerowało, że jeśli go nie pamiętają, to nic nie szkodzi, nie ma sprawy.

German zaprzeczyła nieśmiało. Ben milczał.

– Wieczór w pizzerii? Jestem tym facetem, którego pchnięto nożem.

Miał w samochodzie butelkę wyborowego wina i trzy kieliszki. Chwilę rozmawiali o owej straszliwej nocy, w końcu jednak zakradła się między nich cisza. Wtedy mężczyzna zaproponował, że przyniesie butelkę. Przez dłuższy czas sączyli wino w luźnej, swobodnej atmosferze. Mężczyzna wydawał się świetnym kompanem. Gdy German spytała go, jak ma na imię, poprosił, aby mówili mu Stanley.

– Stanley? Czy to twoje prawdziwe imię?

– Nie. Naprawdę nazywam się Anioł Śmierci, ale to nieporęczne miano. Stanley brzmi krócej. Stan, jeśli wolicie.

– Naprawdę jesteś Aniołem Śmierci?

– Jak najbardziej.– Nad ich głowami pojawiła się wielka, natrętna, bzycząca mucha. Stanley wycelował w nią palec i owad spadł jak zestrzelony. Stanley uśmiechnął się. — Efekty specjalne– wyjaśnił.

– Anioł Śmierci.– Ben powtórzył wolno, bo chciał poczuć smak tych słów na języku.

– To ja.

– Wtedy w pizzerii towarzyszyła ci jakaś kobieta.

– Ling. Byłem tam z Ling.

– Co tu robisz?

– Nie wiem, Ben. Powiedz mi: co ja tu robię?

– Kto cię przysłał?

– Przyszedłem, bo dopiero co mnie wezwałeś.

– Ja?

– Tak. I ich też.– Stanley wskazał na swój samochód. Wewnątrz siedziała grupa ludzi. Ben i German wybałuszyli oczy, ponieważ byli pewni, że jeszcze chwilę temu nikogo tam nie było.

– Stawiliśmy się na twoje wezwanie, Ben.– Stanley skinął w kierunku samochodu, w którym otworzyły się drzwi.

Pasażerowie wysiedli. Ben nie znał nikogo z nich. Tamci skupili się po przeciwnej stronie ulicy i spokojnie przyglądali się Benowi, German i Stanleyowi.

– Kim oni są?– zapytał.

– Ja ich znam– odezwała się German i ruszyła schodami w dół. Uśmiechała się. Ben spróbował pochwycić jej spojrzenie, ale patrzyła tylko na ciemnoniebieski samochód.

Ben obserwował ją zaintrygowany. Przeszła przez ulicę i pomaszerowała w stronę auta. Pięcioro ludzi powitało ją serdecznie i wesoło. German padła w objęcia kobiety, a potem mężczyzny w zielonej koszuli. Ktoś coś powiedział i wszyscy wybuchnęli śmiechem. German klepała ich po łokciach i ramionach, co oznaczało, że zna tych ludzi i że się cieszy, widząc ich tutaj. Do Bena docierały ledwie strzępy ożywionych rozmów– zbyt nieliczne, aby mógł się domyślić, o co chodzi.

Sfrustrowany odwrócił się do Stanleya

– Kim oni są?– powtórzył. Pytał nie tyle Stanleya, ile cały wszechświat.

– Zastanów się– odparł Anioł Śmierci i pociągnął długi łyk wina.

– Skąd German zna tych ludzi? Dlaczego ja ich nie znam?

– Zastanów się.

Ktoś wsunął się do samochodu i po chwili popłynęła muzyka. Fortepian zagrał kilka pojedynczych, smętnych nut, które powoli przyspieszyły do tempa walca. Ben poznał go już po pierwszych taktach, była to bowiem jedna z jego ulubionych kompozycji: melancholijny walc *Bethena* Scotta Joplina. Mężczyzna w zielonej koszuli otworzył ramiona i German przywarła do niego. Zaczęli tańczyć na ulicy. Pozostali cofnęli się i spoglądali na nich z uśmiechem. Chwilę później kobieta, z którą German uścisnęła się na powitanie, odbiła mężczyźnie jego partnerkę i zatańczyły we dwie.

Ben wlepił wzrok w Stanleya. Anioł pokręcił głową, dając do zrozumienia, że będzie milczał jak grób.

Nie pozostawało mu nic innego, jak podejść do nieznanomych i dowiedzieć się, kim są. Może to asystenci Stanleya– drugorzędne aniołki

śmierci? Albo technicy z jego ekipy, ustawiający sprzęt przed występami anioła? Tego rodzaju myśli kłębiły mu się w głowie, gdy szedł w stronę tańczących kobiet. Nie zdążył tam jednak dotrzeć, bo z grupy wyszła jakaś kobieta i poprosiła go do tańca. Widział ją pierwszy raz.

– Czy my się znamy?

– Zatańcz ze mną.

– Ale czy się znamy?

Bez słowa ujęła go za rękę i powiodła za sobą. German spojrzała na niego przelotnie. Na ulicy wirowały teraz dwie pary. German nauczyła go tańczyć walca, kiedy mieszkali ze sobą, więc Ben dotrzymywał kroku swojej partnerce; oboje milczeli.

Walc dobiegł końca. No, wreszcie, pomyślał z ulgą Ben. Wtedy zabrzmiało *Bay Chabon* grupy Kassav. Radosna karaibska muzyka zouk, którą Ben poznał dzięki Dominique Bertaux. Jej nastrój był jak najdalszy od smutku *Betheny*. Człowiek podrywał się i zaczynał tańczyć. Karaibskie, afrykańskie i południowoamerykańskie rytmy mieszały się z sobą w wybuchowym dźwiękowym koktajlu. Gdy Dominique puściła mu kawałek Kassav, Ben uśmiechnął się jak połaskotany i wysłuchał jej taśmy trzy razy pod rząd. German zareagowała tak samo – od razu zakochała się w zouku.

Pasażerowie Stanleya ruszyli do tańca, sami albo z partnerami. Wyszedszy na jezdnię, zaczęli wywijać rękoma lub skakać z nogi na nogę. Jeden z nich przebierał w miejscu nogami, jak gdyby szedł na czele orkiestry dętej. Inny zataczał wielkie koła, z wyciągniętą ręką, jakby prowadził w tańcu niewidzialną partnerkę. Muzyka pozwalała na wszelkiego rodzaju taneczne ekstrawagancje bez narażania się na śmieszność. Być może

istniał jeden właściwy sposób tańczenia zouka, ale nie miało to znaczenia. Wszystkie hamulce puszczały; nogi podrywały się do płaśów.

Partnerka Bena wyrzuciła w górę ramiona, odchyliła głowę, huknęła radośnie i zaczęła tańczyć. Jej spontaniczność sprawiła, że się uśmiechnął. Cała ta zabawa nie miała sensu i z każdą chwilą stawała się coraz bardziej zakręcona, ale była to nieszkodliwa błazenada, więc okej, niech się dzieje, co chce.

Ben podniósł ręce i zaczął się kręcić jak derwisz podczas rytuału Sema. Choć obracał się zbyt wolno jak na tempo muzyki, nie przyspieszał, idąc za naturalnym odruchem ciała. Nim zamknął oczy, poddając się muzyce i bezmyślnemu wirowaniu, dojrzał przez mgnienie uśmiechniętego Stanleya, obserwującego wszystkich ze szczytu schodów. W jednej ręce trzymał butelkę po winie, w drugiej kieliszek – obydwie puste. Kołysał się wahadłowo na boki w rytm muzyki. Szanowni państwo, oto taniec Stanleya! Anioł Śmierci tańczy!

Kręcący się Ben zamknął powieki. I prawie natychmiast wpadł na innego tancerza. Oddech. Poczul woń czyjś oddechu, tak słodką i znajomą, a zarazem ulotną, że wciąż nie otwierał oczu, próbując ją rozszyfrować, skupiając na niej całą uwagę. Nagle przypomniał sobie.

– Przecież to ful!

Pełna nazwa: Ful Medames. Popularna na Bliskim Wschodzie potrawa, którą się je na śniadanie – dobra, pożywna i bardzo tania. Jej podstawę stanowi bób fava, do którego dodaje się czosnek, oliwę z oliwek, pietruszkę i cebulę. Smaczna i łatwa do przygotowania. Stojący obok Bena tancerz pachniał fulem. W ułamku sekundy, zanim Ben otworzył oczy, by

przekonać się, kto to jest, przypomniał sobie okoliczności, w jakich ostatnio przyrządził ful medames.

Było to na pierwszej randce z German Landis. Zaprosił ją na kolację do swego mieszkania. Poznali się kilka dni wcześniej w bibliotece publicznej. Siedziała sama na kanapie w czytelni, obłożona książkami o Egipcie. Wśród nich był duży tom na temat kuchni bliskowschodniej. German przygotowywała lekcję o sztuce egipskiej dla siódmoklasistów. Urzekła Bena zarówno swoim wyglądem, jak i tym, że czytała egzotyczne książki kucharskie.

Zebrał się na odwagę i podszedłszy do niej, zagadnął ją, czy lubi ful. Spojrzała mu prosto w oczy. „Czy lubię full?” – odpowiedziała pytaniem. „O czym pan mówi?” Wskazał na książkę kucharską. „Chodzi mi o ful”. Zakładał, że każdy, kto się interesuje bliskowschodnią kuchnią, musiał słyszeć o ful medames. To tak, jakby spytać o hot dogi w Ameryce lub sznycel po wiedeńsku w Austrii.

Kiedy wyraz twarzy German przeszedł od zaciekawienia do czujności, Ben podtrzymał rozmowę, wyjaśniając dokładnie, co to jest ful i gdzie spróbował go po raz pierwszy: na aleksandryjskiej uliczce w Egipcie. Zapytała, dlaczego tam pojechał. Odrzekł, że uwielbia *Kwartet Aleksandryjski* Lawrence'a Durrella. Przeczytał cykl jednym tchem – wiedział, że musi zobaczyć to miasto i poczuć je na własnej skórze. Pójść do nowej biblioteki przypominającej gigantyczny latający spodek. Traf chciał, że German studiowała akurat zdjęcia przedstawiające ten gmach. Po chwili zaprosiła go, aby przysiadł się do niej.

Gdy pierwszy raz przyrządził jej coś do jedzenia, postanowił na przystawkę zrobić właśnie ful medames. Trzy razy sprawdził go metodą

organoleptyczną, aby przed przyjściem German upewnić się, że potrawa ma idealny smak.

Wzruszona jego zapobiegliwością German wzięła do ust kęs potrawy. Jej twarz skrzywiła się z obrzydzenia. Ben wpadł w popłoch i zaczął krzyczeć: „Wypluj to! Wypluj!” Mogła „wypluć to” tylko na rękę. Ale German była dobrze wychowana i przełknęła tę ohydną breję, nie dławiąc się przy tym, jak to się zdarzało w przeszłości, gdy przypadkiem zjadła coś niejadalnego.

Ben był wstrząśnięty i zażenowany. Z wrażenia zepsuł resztę kolacji. Chociaż starannie zaplanował sobie wszystko, żałował ostatecznie, że nie zamówił pizzy na telefon. Wszystkie potrawy, które podał po fulu, okazały się albo niedogotowane, albo przegotowane, albo po prostu niesmaczne. Po kolacji uszczknęli kawałek naleśnika z farszem czekoladowym o zbyt silnej nucie zmielonej kawy (sekretny składnik Bena) i zaraz odłożyli łyżeczki, omijając się wzrokiem. Od czasu, gdy Ben wziął się na serio do gotowania, nigdy nie zrobił równie kosmicznego gniota.

German wstała z krzesła. Idzie do toalety, pomyślał najpierw Ben. Nie wychodzi– przeraził się. Jak mam ją zatrzymać? Co robić?

Zamiast tego obeszła dokoła stół i stanęła tuż za jego plecami. Położyła mu obie dłonie na czubku głowy. Pochylił się i ucałowała głośno jedną z nich. Zabrakło jej odwagi, aby pocałować go w usta. „Dziękuję za wszystko”– powiedziała i wyszła z pokoju.

Ben podniósł małą łyżeczkę i potrząsał nią w– górę– i– w– dół– w– górę– i– w– dół w rozdygotanych palcach. Ten niespodziewany pocałunek, a potem jej podziękowanie doszczętnie zbiły go z nóg. Co ma zrobić, żeby została? Jak ją przekonać, że mimo tego fiaska nie jest totalną ofiarą losu?

Niepotrzebnie się martwił. German stała przed lustrem w łazience, zaciskając mocno pięści przy bokach, i gapiła się w swoje odbicie. Hamowała łzy. Dlatego odeszła od stołu. Gdy go pocałowała, zebrało jej się na płacz, a nie chciała, żeby Ben widział jej łzy. Żaden inny mężczyzna nie uczynił dla niej tyle co Ben. I to na pierwszej randce, kiedy właściwie się nie znali. Sałatka była taka piękna. Stół przystrojony kwiatami, dania starannie ułożone na talerzach.

Kim on j e s t? Facet jedzie do Egiptu, bo opis miasta zamieszczony w powieści zachwyca go do tego stopnia, że musi je obejrzeć? German nie знаła nikogo innego— mężczyzny ani kobiety— kto by się zdecydował na taką podróż. Zrobił tę niestrawną potrawę, bo chciał jej pokazać, jak wygląda i smakuje „ful”. Gdy postawił go przed nią, mówiąc, co to jest, na jego twarzy malowało się wzruszające wahanie i łagodność. Co ona teraz zrobi? Jak ma mu powiedzieć, że zanim uporali się z deserem, trzy razy zdobył jej serce?

Poradziła sobie. Tej samej nocy, po tym jak pierwszy raz poszli do łóżka, przytrafiło jej się coś dziwnego, ale zarazem sympatycznego. Kiedy leżeli wyczerpani, budząc się i zasypiając na granicy snu i jawy, German przypomniał się pan Spilke. Uśmiechnęła się— nie myślała o nim od lat. Dlaczego przyszedł jej do głowy właśnie teraz?

Pan Spilke uczył ją geografii w siódmej klasie. Wyróżniał się ogromną gamą zielonych koszul i entuzjazmem, którym zarażał młodzież. Kochał swoją pracę, przyrodę i uczniów. Większość z nich również go kochała, za jego dobroć i pasję, z jaką prowadził lekcje.

German obróciła się w łóżku do swego nowego kochanka. Musnęła mu policzek końcami palców i wymruczała: „Jesteś podobny do pana Spilke'a”.

Ben uśmiechnął się, lecz był zbyt zmęczony, aby spytać, kogo German ma na myśli. Jakie to niezwykle, że w tym momencie, gdy leżała zaspokojona w łóżku, przypomniał jej się nauczyciel z siódmej klasy, a jednak tak było. Nim zasnęła, oparta o ciepłe ramię Bena, uświadomiła sobie, dlaczego tak się stało. Choć słabo знаła Benjaminą Goulda, emanował zeń ten sam rodzaj szczodroblewości i entuzjazmu, którym kiedyś odznaczał się pan Spilke. German uznała to za dobry znak. Nauczyciel był jedną z niewielu osób, które ją zainspirowały i ukształtowały. To, że została nauczycielką, zawdzięczała między innymi Spilke'owi, który pokazał jej, że uczenie się to pasjonująca przygoda, choć jego przedmiot wcale jej nie interesował. Ledwie kilkoro ludzi może liczyć na to, że zachowamy ich w naszych sercach. W ciągu lat wielu przychodzi i odchodzi: kochankowie, członkowie rodziny, przyjaciele. Niektórzy pętają się przez jakiś czas, inni chcą zostać wbrew temu, że kazaliśmy im odejść. Pan Spilke był jednym z garstki mile widzianych ludzi w życiu German Landis.

I to właśnie jego ujrzał Ben, otworzywszy oczy na ulicy przed blokiem Danielle Voyles: pana Spilke'a, mężczyznę w zielonej koszuli, od którego czuć było ful medames.

Mężczyźni popatrzyli na siebie bez słowa. Wokół grała skoczna muzyka. Tańczyli ludzie. Choć Ben widział tamtego pierwszy raz, był pewny, że wie coś na jego temat. Ale co? Dawno temu German opisała mu swojego ulubionego nauczyciela, lecz była to jedna z tysięcy rozmów między nimi— trudno, aby pamiętał wszystko, co powiedziała. German lubiła dużo mówić, a on lubił jej słuchać. Czasem jej słowa wpadały mu jednym, a wypadały drugim uchem i zapewne pan Spilke wypadł razem z nimi. Mimo wszystko Ben był pewien, że wie o nim coś ważnego.

Przeniósł wzrok na Stanleya, tkwiącego wciąż na schodach, i przypomniał sobie, co anioł powiedział mu o ludziach w samochodzie: że stawili się na jego wezwanie. Spojrzał na kobietę tańczącą z German. Na pozostałych tancerzy.

Pan Spilke zerknął na mały zegarek na rękę.

– Lepiej się pospiesz. Zaraz tu będą.

– Przepraszam, czy my się znamy?– zapytał Ben. Ucieszył się, że tamten odezwał się pierwszy.

– Owszem. Jestem tobą. A także on jest tobą, ona jest tobą, no i wszyscy jesteśmy tobą.– Spilke wskazywał na poszczególnych pasażerów.

– Jesteście mną?

– Tak. Jesteśmy tym, co German w tobie kocha. Akurat dzisiaj postrzegasz nas nie swoimi, lecz jej oczami. To tak, jakbyś zamiast patrzeć w lustro, poprosił ją, aby opisała, jak wyglądasz. Ona widzi cię inaczej, niż ty widzisz siebie.

– A więc w zasadzie gadam sam do siebie?

– W zasadzie tak– potwierdził pan Spilke.– Słuchaj, przed chwilą usiłowałeś wytłumaczyć to German, porównując siebie do bolidu formuły jeden. Zorientowałaś się, że nie zrozumiała tej analogii. Toteż świadomie czy nie, w każdym razie postąpiłeś mądrze: uciszyłeś swoje ego i sprowadziłeś nas tutaj, żebyśmy jej to wyjaśnili, ponieważ nas zna.

– Kim jesteście?

– Już ci mówiłem: jesteśmy tym, co German Landis kocha w Benie Gouldzie. Dziś masz okazję zobaczyć to przez jej pryzmat. Dlaczego jesteśmy kochani, Ben? Stawiamy sobie to pytanie, ograniczając się do własnego punktu widzenia. A przecież inni kochają nas za coś, czego sami o

sobie nie wiemy. Na przykład kochają nasze dłonie. Moje dłonie? Dlaczego ktoś miałby kochać moje dłonie? A jednak ten człowiek ma swoje powody. Akceptujesz to. Zdajesz sobie sprawę, że Ben, którego oni znają, nie jest tym Benem, którego ty znasz... Nie pamiętasz tego, ale German nazwała cię kiedyś panem Spilke'em. To ja. Byłem jej nauczycielem. Nazwała cię tak, bo skojarzyła ze mną jakąś twoją cechę. To samo dotyczy wszystkich nas, pasażerów samochodu; pochodzimy z różnych okresów życia German. Każdy z nas odznaczał się czymś, co zachwyciło German, która dostrzegła później w tobie te same cechy.

– Dlatego ona rozpoznała pana, a ja nie?

– Tak.– Spilke spojrział na zegarek i puknął w niego znacząco.

Odpowiedź nauczyciela nie usatysfakcjonowała Bena.

– Jak mogłem was tu wezwać, skoro nie miałem pojęcia, że istniejecie?

– To nie ty, ale German nas wezwała. Ona nas zna. Próbuje zrozumieć, co się z tobą dzieje, ale twoje wyjaśnienia nie trafiły jej do przekonania. Widząc to, wycofałeś się. Pozwoliłeś jej wybrać te cechy Bena Goulda, które wytłumaczą jej twoją sytuację lepiej od ciebie. No i wybrała je.

Spojrzeli na German i jej partnerkę. Obie tańczyły teraz naprzeciw siebie. Kobieta nieustannie tokowała i gestykulowała. German potakiwała głową, jakby starała się za nią nadażyć.

– Ta kobieta jest mną? Nigdy jej nie widziałem!

Spilke wyciągnął przed siebie dłonie i klasnął w nie.

– Nie t o b ą, Ben. Jest znajomą German, która posiada określoną cechę. Może ty nie jesteś świadomy, że ją masz, ale German dostrzega ją

wśród innych twoich cech i dlatego cię kocha. German lepiej zrozumie kogoś, kto również ją ma.

Poruszony Ben zaczął odliczać na palcach.

– Pan, Ling, Stewart Parrish, verze, ci ludzie tutaj– to wszystko ja?

– Owszem, w tej czy innej formie– rozległ się czyjś głos. Ben obrócił się na lewo i zobaczył anioła Stanleya.– Wiedzieliśmy, że to kwestia czasu, zanim ludzie zechcą sami kontrolować swoje przeznaczenie. Jak żyć, kiedy umrzeć, co począć ze swoim życiem? Bez zewnętrznych nacisków, bez ciągłego pouczenia, bez wtrącania się w stylu *deus ex machina*. Wreszcie stało się: dorosła ludzkość wyprowadza się z domu rodziców. Jesteś jednym z pierwszych, Ben.– Stanley umilkł na moment.– Zaczęło się kilka lat temu. O dziwo, w Peru przyszedł na świat noworodek, który powinien był umrzeć. Następnym był pewien albański nastolatek, którego prąd zniósł w morze. Wyłowiono go po trzech dniach, chociaż szalał zimowy sztorm. Obojgu była pisana śmierć, a mimo to przeżyli. Od tej pory liczba cudem ocalonych rośnie eksponentalnie. Na całym świecie ludzie biorą w swoje ręce własne życie, przeznaczenie, śmierć. Alleluja, powiadam wam, najwyższy czas...

– Oszukałeś mnie!– parsknął Ben, ale to Ling przemówiła z głębi niego. Stracił panowanie nad swoim głosem. Czuł się jak kukła brzuchomówcy.

– Przykro mi, Ling, ale tak było trzeba. Nie mogłem ci przedwcześnie wyjawić prawdy. Ben musiał odkryć sam, jak się rzeczy mają. Chyba rozumiesz...

– Nie, nie rozumiem! Powiedziałeś, że zepsuł wam się komputer. Powiedziałeś, że jeśli wrócę i mu pomogę...

Stanley uniósł rękę, aby ją uciszyć.

– Wiem, co ci powiedziałem, Ling. Musieliśmy użyć tego podstępu. Ben jest sumą swoich cech, tak jak wszyscy ludzie. Jest ważniejszy od ciebie, bo ty jesteś tylko jedną z nich.

– Okłamałeś mnie drugi raz!– krzyknęła oburzona Ling.– Powiedziałeś, że jestem duchem...

– Do jasnej cholery, Ling, jesteś duchem! To znaczy drobną cząstką Bena. Do niedawna duchy istniały po to, by po śmierci ludzi pozłatwiać ich sprawy. Ale teraz, gdy ludzie powstrzymują się od śmierci, dopóki osobiście nie załatwią swoich spraw, duchy przestały być komukolwiek potrzebne.

– Wobec tego powinieneś mieć przynajmniej tyle odwagi albo klasy, aby przyznać się do kłamstwa i do tego, że mnie wykorzystałeś.

Oczy Stanleya zogromniały i sypnęły snopami iskier; wyglądały tak, jak owego wieczoru w kinie, kiedy Ling nie chciała spróbować popcornu.

– Licz się ze słowami, duchu! Nie zapominaj, z kim masz do czynienia.

– Jestem w pełni świadoma, z kim mam do czynienia. Już się ciebie nie boję. Jesteś łgarzem i oszustem, Stanley. Zwykłym łgarzem i oszustem.

Wzięty w dwa ognie Ben poklepał się po piersi, jak gdyby chciał powiedzieć: „Jestem niewinny”. Widok płonących, wielkich jak jo– jo oczu Stanleya dowodził niezbicie, że anioł jest tym, za kogo się podaje. Toteż Ben nie chciał znaleźć się po swojej złej stronie.

Zdzielił Stanleya pięścią w głowę. Prawy sierpowy wylądował na anielskiej skroni, zadany z taką siłą i wściekłością, że Stanley zatoczył się i o mało nie upadł na ziemię.

Ben był przerażony. Nie miał nic wspólnego z atakiem. To sprawka Ling. Rozzłoszczona zjawa posłużyła się jego ciałem.

– Hej, ja naprawdę nie...

Stanley skoczył na niego. Gdy tylko ręce anioła zetknęły się z jego ramionami, Ben poszybował w powietrzu jak golfowa piłeczka. Rymnął plecami na kamienny chodnik i poczuł eksplozję bólu w kręgosłupie. Nie zdążył nawet krzyknąć "au" gdy poderwał się na równe nogi i ponownie natarł na anioła. Stanley sprężył się w sobie, gotowy na przyjęcie ataku, ale Ben/Ling dał szczupaka na ziemię i ugryzł go w nogę. Anioł zapiszczał i spróbował go odepchnąć. Ling nie ustępowała jednak, a duchy mają mocny zgryz. Choć Ben opierał się wewnętrznie swemu bezwolnemu ciału, nie zdołał powstrzymać wściekłego ducha przed atakami na dwulicowego anioła.

Gdyby mógł się rozejrzeć, zobaczyłby, że pasażerowie z samochodu Stanleya nawet na moment nie przerwali tańca. Jedni ignorowali bijących się mężczyzn, a inni patrzyli na nich, tańcząc. Rzecz jasna, German ich zauważyła. Jej partnerka dotknęła jej ręki. „Nie przejmuj się nimi”, rzekła, więc German się nie przejmowała.

Stanley objął Bena wpół i próbował go dźwignąć, ale nie mógł znaleźć oparcia dla stóp. Teraz, kiedy walka rozgorzała na dobre, Stanley czuł się za słaby, aby ruszyć człowieka z miejsca. Wprawdzie był aniołem – i to nie byle jakim, bo Aniołem Śmierci – nagle jednak zwątpił w to, czy jest w stanie podnieść tego śmiertelnika z ziemi. Obaj zmagali się z sobą, dysząc i stękając; żaden nie chciał dać za wygraną, podczas gdy tancerze płasali przy dźwiękach zouka.

Jakiś mieszkaniec domu przy ulicy wyjrzał przez okno i zadzwonił po policję. Jednakże policja nie przyjechała, działały się tu bowiem rzeczy wyższego rzędu, do których świat nie miał na razie przystępu.

– O co ci chodzi, Ling?– wysapał Stanley spod lewej pachy Goulda, który tymczasem założył mu nelsona.

– Powiedz, że jesteś kłamcą. Przyznaj, że mnie wykorzystałeś.

– Po co? Przecież jest po wszystkim. Ciebie już nawet nie ma.

Obojętność anioła oraz prawdziwość tego drugiego sądu rozsierdziły Bena/Ling. Podniósł Stanleya z chodnika i trzymał go w powietrzu, nie bacząc na to, że ten wierzga nogami.

– Wyduś to z siebie! Przyznaj, że jesteś kłamcą!

– Puść go, Ben. Idą tutaj. Są już blisko. On będzie ci jeszcze potrzebny– oznajmił Spilke, zachowując bezpieczny dystans.

– Kto idzie?– spytał Ben. Ling nie miała najmniejszego zamiaru wypuszczać Stanleya z nelsona.

– Gandersby, Tweekrat, 1900 Silver i inni. Wiesz, o kim mówię.

Na dźwięk znajomych nazwisk Ben chciał czym prędzej uwolnić anioła, ale Ling pozostała nieugięta. Ben zebrał siły i ryknął do ducha: „Puść go, do diabła! Wypuść go!!!” Siła jego głosu sprawiła, że zjawa usłuchała. Stanley odtoczył się na miękkich nogach, krztusząc się i masując sobie kark.

Ben wyglądał, jakby przed chwilą się dowiedział, że ma raka; podszedł do pana Spilke'a i poprosił, żeby ten powtórzył nazwiska.

– Gandersby, Tweekrat, 1900 Silver i reszta. Dziesiątki.

– Nie mam z nimi żadnych szans.– Ben zwiesił ramiona. Wpatrywał się w pana Spilke'a, ale ten nie odezwał się więcej.

Ktoś poszedł do samochodu i wyłączył muzykę. Przystano tańczyć. German zapytała swoją partnerkę, co się dzieje.

– Zapytaj ich– odparła.

– Ben, co to za nazwiska? Czy to są ludzie? Ben przytaknął krótko.

– To ja. Oni pochodzą ze mnie. Dominique powiedziała kiedyś, że jej ulubiona powieść to *Wielki Gandersby*...

– Gandersby? Chyba Gatsby?

– Tak, ale Dominique nie czytała tej powieści. Chciała mi zaimponować. I przekreśliła tytuł. To głupie przejęzyczenie stało się moim orężem: jak tylko chciałem ją poniżyć albo ośmieszyć, wspominałem o „Gandersbym”. Efekt był murowany.

– Dlaczego, Ben? Dlaczego miałbyś ją poniżyć?

– Dlatego że bywam okrutny, wiesz o tym dobrze. Albo dlatego, że brakuje mi pewności siebie. Czasem po prostu chciałem się na niej odegrać. Zawsze znajdzie się jakiś powód. Czemu robimy sobie świństwa, German? Bo gdy ktoś nas skrzywdzi, chcemy mu odpłacić tym samym. Nikt nie zrobi tego lepiej niż najbliższa osoba, bo nikt tak dobrze jak ty nie zna jego słabych punktów i pięt Achillesa. Im bardziej intymny jest wasz związek, tym bardziej ten drugi ci ufa. Im bardziej ci ufa, tym bardziej się odsłania. Wtedy nawet takie głupstwo jak Gandersby staje się kulą, którą można wystrzelić komuś prosto w oczy.

German mierziły takie rozmowy, ale wiedziała, że Ben powiedział jej prawdę. Czasami trzeba tego wysłuchać.

– A te inne nazwiska, które wymienił pan Spilke? Co to za ludzie?

– Oni wszyscy są mną. To tylko inne nazwy wrednego Bena Goulda.

– Zbliżają się.– Pan Spilke wyciągnął rękę. Na końcu ulicy wyłonił się spory tłumek ludzi.

– Dużo ich.

– Więcej, niż przypuszczałem– przyznał Spilke. German zmrużyła oczy i przyjrzała się idącym.

– Znasz ich, Ben? Jesteś pewny, że to oni? Z tej odległości?

– Nie poddawaj się, Ben. Dobrze się spisałeś. Rozpoznałeś ich o wiele wcześniej niż ja.

Stali odwrócenii plecami do bloku i gapili się z natężeniem w głąb ulicy, toteż nikt z nich nie zauważył podchodzącej z tyłu Danielle Voyles.

– Danielle, ty tutaj! Myślałem, że postanowiłaś...

– Wskoczyłam na chwilę, Ben. Zaraz wracam. Przyszłam ci pomóc, jeśli potrzebujesz pomocy.

– Pomóc?– Ben zrobił gest w stronę ulicy.– Nie widzisz, ilu ich jest? Jak chcesz mi pomóc?

– Dzieląc się z tobą tym, czego się nauczyłam, gdy to samo przydarzyło się mnie na parkingu przed drugstore'em.

Pan Spilke chwycił German za łokieć i pociągnął ją w kierunku samochodu. Spojrzała na niego zaskoczona. Opierała się. Spilke chciał być miły, lecz nie było czasu na subtelności.

– Nie wolno ci usłyszeć tego, co mają sobie do powiedzenia. Oni nie są tacy jak ty, German. To, co ich spotkało, wyłączyło ich z grona zwykłych śmiertelników.

– Ponieważ nie umarli?

– Tak.

– Po co tu przyszli? Czego chcą?

- Jego– odpowiedziała jej partnerka do tańca.
- Chcą go zatrzymać– dodała inna.
- Zrewanżować się– rzekła trzecia.
- Zrewanżować się? Za co?
- Za złamanie obietnic, które sobie złożył.
- Za tchórzostwo, którego mógł uniknąć.
- Za omamianie siebie. Za kłamstwa, które sobie wmówił, aby mieć święty spokój.

Do chóru przyłączyłyby się nowe głosy, gdyby Spilke nie podniósł ręki, nakazując zebrany ciszę.

– Większość ludzi nie lubi siebie z takich czy innych powodów. Tak się złożyło, że powody Bena wyległy na tę ulicę. Ci ludzie to po prostu różne wersje niezadowolonego z siebie Bena.

German przypomniała sobie, że Ben wziął na siebie wcześniej odpowiedzialność za to, co się działo. Nazwał się złoczyńcą.

– Ciągłe sprawiamy sobie zawód– podjął Spilke.– Rozczarowania osadzają się w nas i budują naszą tożsamość. Oto „ja” rozczarowany. „Ja” zgorzkniały. „Ja” niespełniony, sfrustrowany. ..

– I ci ludzie na ulicy to właśnie takie wersje Bena?– upewniła się German.– Tacy źli Benowie?

– Tak. Źli Benowie źli na Bena.

– Co on teraz zrobi?

Spilke wzruszył ramionami i pokazał otwarte dłonie.

– Nie wiem, ale cokolwiek zamierza, musimy mu pomóc Dziękujemy ci, German, żeś nas tu sprowadziła. Dziękujemy że nas kochasz. Dziękujemy, że kochasz jego.

Pozostali pasażerowie skinęli zgodnie głowami i uśmiechnęli się do niej z wdzięcznością. German nie wiedziała, co po wiedzieć. Patrzyła, jak po kolei dołączają do Bena. Moi Benowie, pomyślała. Benowie, których kocham, idą mu z pomocą.

Wydawało się, że ani Danielle, ani Ben nie zauważają zbliżającej się grupy obcych. Oboje byli pogrążeni w rozmowie— ich głowy potakiwały raz po raz, ilekroć zaznaczali jakąś szczególnie ważną kwestię. German złowiła pojedyncze słowa i wyrwane z kontekstu zdania. Była szalenie ciekawa, o czym dyskutują, tym bardziej że obcy podchodzili coraz bliżej.

I w końcu podeszli.

– Hej, wy tam!– Opryskliwy głos ze środka zbiegowiska Ben i Danielle puścili go mimo uszu.

– Hej!!!

Ben uniósł głowę i spojrzał na nich z całkowitą obojętnością. Miesiące wspólnego życia sprawiły, że German wiedziała, kiedy Ben jest spokojny, a kiedy zdenerwowany. W tej chwili sprawiał wrażenie spokojnego.

– Tak? Czego chcecie?

– Cześć, laluu!– ktoś zawołał do niego. Przez grupkę przeszedł chichot.

– Co jest? Mam parę spraw do załatwienia.– W jego głosie słyszało się zniecierpliwienie i irytację. German zaimponowało to, że mimo trudnej sytuacji Ben nie stracił zimnej krwi. Ona struchlałaby ze strachu.

– Ooo, słyszycie? Ooon ma parę spraaaaw do załatwienia. Ważny gość się znalazł.

– Przestańcie zabierać mi czas i mówcie, czego chcecie.– – Ton głosu Bena nie zmienił się: był zarazem stanowczy i zniecierpliwiony.

– Jedno jest pewne, przyjacielu... Nie chcemy tego, co ty.

– O to chodzi!

– Właśnie!

– M– hmm...– W tej sprawie panowała wśród nich jednomyślność.

Ben powiedział coś do stojącej przy nim Danielle. Odpowiedziała mu, a on skinął głową.

– W porządku, no więc– czego chcecie?

Odezwała się kakofonia niewyraźnych głosów, jakby wszyscy zaczęli myśleć na głos i mamrotać coś pod nosem.

– Nie rozumiem.

Na czoło grupy wystąpił szczupły mężczyzna o nijakim wyglądzie.

– Pamiętasz mnie?

– Broomcorn– odparł krótko Ben.

– Brawo! Zgadza się: Broomcorn. Jeśli chcesz wiedzieć, to wciąż cię nienawidzę. Czy już dotarło do twojego łba, że gdybyś mnie posłuchał, mając dwadzieścia lat, twoje życie ułożyłoby się dużo pomyślniej? I jeszcze jedno: to ja wpadłem na pomysł użycia Stewarta Parrisha, jeśli kiedyś zastanawiałeś się, skąd on się wziął.

Danielle stwierdziła ze zdziwieniem, że w odróżnieniu od jej jaźni, które spotkała na parkingu, większość ludzi stanowiących tę grupę nie przypomina Bena Goulda. Owszem, w niektórych z nich można go było rozpoznać. Większość jednak składała się z nieznanymi mężczyzn, kobiet i dzieci, z łysych, długowłosych, Murzynów, Azjatów i starców. Z ludzi w każdym wieku. Danielle wiedziała, że są to wersje Bena, gdyż po pierwsze jej o tym powiedział, a po drugie czuła ich zapach. Wszyscy pachnieli

identycznie. Nie zdawała sobie jednak sprawy– bo o tym nie wspomniał– że ci ludzie ucieleśniają najgorsze cechy osobowości Bena Goulda–

– Pytam po raz trzeci: CZEGO ODE MNIE CHCECIE?

Broomcorn obrócił się ku stojącym za nim ludziom i zaczęli się naradzać. Było widać, że brakuje im dyscypliny; każdy wyrywał się do głosu. Po jakimś czasie Broomcorn stanął ponownie przed Benem i począwszy od kciuka, zaczął wyliczać ich postulaty na palcach prawej ręki.

– Nie chodzi o to, czego chcemy, tylko czego nie chcemy. Nie chcemy, żebyś był szczęśliwy. Żebyś zaznał spokoju, jesteśmy tymi aspektami Goulda, które kwitną w nieszczęściu, strachu i przygnębieniu. Dlatego będziemy o nie zabiegać tak długo, jak długo żyjesz. Jest nas wielu, więc to nie będzie trudne. Nigdy zresztą nie było... Czy ci się to podoba czy nie, ludzie pragną żyć w sposób dramatyczny. Codziennie budzą się z taką nadzieją. Ale w szczęściu nie ma miejsca na dramat.

– To nieprawda!– zaprotestował Ben.– Nie lubię czuć się nieszczęśliwy i przestraszony...

– Ależ tak, lubisz.– Broomcorn wyszczerzył się wraz z innymi. Triumfalny uśmiech po wygranej wyścigu. Zwyciężyli. Spodziewali się, że Ben powie coś podobnego.– Kawa na ławę, Ben– kontynuował przyjaźnie Broomcorn.– Dzięki nieszczęściu i strachowi twoje życie nabiera rumieńców. Budzisz się z życiowej drzemki. Koniec z półgwizdkami, wygaszacza– mi ekranu, dryfowaniem na automatycznym pilocie. Ludzie syci zapadają po jakimś czasie w sen. Zadowolenie wywołuje nudę, to jedna z paskudnych tajemnic życia. Natomiast złamane serce czy niepewny wynik badania krwi pompują nam do organizmu starą, dobrą adrenalinę i poczucie winy. Nagle czujemy się wspaniale! Żyjemy na sto procent. Człowiek czuje,

że żyje dopiero wtedy, gdy się zakocha albo przewróci na chodniku.– Broomcorn umilkł na chwilę, po czym dodał zmienionym głosem:– O, Stanley. Witaj w naszym gronie.

Anioł Śmierci podszedł nieco bliżej, pilnował się jednak, aby za bardzo nie zbliżyć się do Bena, w razie gdyby Ling znów

się na niego uwzięła. Anioł nie miał już nad Benem żadnej władzy. Do utraty kontroli doszło w pizzerii, gdy Stewart Parrish dźgnął go nożem w ramię. Obecnie Stanley był świadomy, że to Ben Gould, a nie Parrish, jest odpowiedzialny za tamten atak. To było objawienie. Ludzie rzucali się z nożem na anioły. Stare zasady i hierarchie rozpadły się. Śmiertelnicy, duchy i anioły wkroczyli na nowy, nieznany teren.

German przyglądała się rozmowie trzech mężczyzn i Danielle. O wiele bardziej jednak interesowali ją zgromadzeni obok ludzie, jeśli naprawdę stanowili różne części psychiki Bena, pragnęła z nimi porozmawiać. Może podsuną jej jakieś pomysły, jak pomóc Benowi. Albo przynajmniej pomogą jej go zrozumieć. Może nawet ujawnia jej tajemnice, których nie zdradził jej Ben, kiedy byli ze sobą.

Odepchnęła się od samochodu i ruszyła w stronę grupy. Przywitała się z pierwszą napotkaną osobą. Nastolatek wzruszył ramionami, obmacując wzrokiem jej biust. Gdy każde jej pytanie spotykało się z markotnym wzruszeniem ramion, pożegnała się z nim i powędrowała dalej.

Zerknęła na Bena i jego rozmówców, ale nic się nie zmieniło: Ben, Danielle, Stanley i Broomcorn wciąż dyskutowali zawzięcie. Wszyscy byli rozzłoszczeni albo skwaszeni. German wiedziała, że rozprawiają o losie ludzkości, ale z miejsca, gdzie stała, wyglądali jak czwórka ponuraków wtrącających swoje trzy grosze na spotkaniu samorządowym. Tak czy siak,

nie miała prawa słyszeć tego, co mówią, toteż wróciła do sondowania Bena pośród zebranych na ulicy ludzi.

– Tak bardzo cię kochałam– odezwał się ktoś tuż za nią.

German zatrzymała się i odwróciła. Kobieta miała około trzydziestki, była ładnie ubrana i umalowana; stała z rękoma splecionymi na piersi i przytupywała jednym bucikiem w chodnik. German musiała sobie przypomnieć, że patrzy na cząstkę jaźni Bena obleczona w ludzka postać. W przeciwnym razie prowokacyjne wyznanie nieznajomej musiałoby ją porazić.

– Tak bardzo cię kochałam, a ty odeszłaś ode mnie– powtórzyła kobieta.

German nie pozostała jej dłużna.

– Odeszłam, bo życie z tobą było nie do zniesienia. Ciągłe jeszcze mnie obwiniasz? Próbowalesz kiedyś żyć z szaleńcem?

– Z szaleńcem? Noo, dzięki za dobre serce. Dzięki za wrażliwość i wyrozumiałość. Ja umierałam ze strachu, German! Myślałam, że dostaję bzika, i nie chciałam wciągać cię w ten koszmar. Ale okazało się, że niepotrzebnie się martwiłam– w chwili, gdy najbardziej cię potrzebowałam, odeszłaś ode mnie.

– Nie bądź śmieszny, Ben! Wałkowaliśmy to setki razy. Kobieta zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

– Mów za siebie. Rzuciłaś mnie. Pokazałaś, jaka jesteś naprawdę.

German bezwiednie skrzyżowała ramiona.

– Dostyc tego! Poszłam za tobą w ogień – w ogień i obłąd. Wytrzymałam z tobą dłużej, niż wytrzymałby ktokolwiek inny na moim miejscu. Nawet kiedy zacząłeś zachowywać się jak wariat.

– Mów, co chcesz. Po prostu uciekłaś.

– To nieprawda.– Podrażniona German zerknęła znów w kierunku czworga dyskutantów, łudząc się nadzieją, że Ben pochwyti jej spojrzenie. Nic z tego, tamci nie widzieli poza sobą świata. Gdy obróciła się z powrotem, kobieta strzeliła ją otwartą dłonią w twarz.

German była tak wstrząśnięta, że na moment zamgliło jej się przed oczami. Kiedy doszła do siebie, zobaczyła, że do kobiety przyłączyło się dwoje innych ludzi: starszy mężczyzna i młoda Azjatka. German rozpoznała staruszkę jako tego, który przybłąkał się kiedyś razem z Pilotem do mieszkania Bena i powiedział, że choruje na alzheimera. Azjatka podrzuciła w górę pięść.

– Jeszcze raz, koleżanko– zaczęła podjudzać.– Inaczej ja jej przyłożę, jak amen w pacierzu.

Staruszek milczał, ale najwyraźniej dobrze się bawił. Młoda kobieta złożyła dłoń w trąbkę i przytknęła ją do ust.

– Chodź tutaj!– zawołała do kogoś w grupie.– Zobacz, kto nas odwiedził.

Z grupy wystąpił dwudziestoparoletni Ben Gould i zatrzymawszy się przy staruszku, oznajmił uroczyście:

– Panno Landis, wykazała się pani sporą odwagą, przychodząc tutaj.– Zerknął na starca.– Baranek odwiedził lwy, no nie?

– Czego ode mnie chcecie?

German miała powody do niepokoju. Od grupy odłączało się coraz więcej osób i przychodziło zobaczyć, co się dzieje. Młoda Azjatka przybrała wojowniczą pozę.

– Powiem ci, czego chcemy– syknęła.– Chcemy odzyskać nasze życie. Chcemy odzyskać godziny, które strawiliśmy na siedzeniu w kuchni i gapieniu się w łyżeczkę. Chcemy odzyskać dni, które strawiliśmy, wypłakując oczy i usychając z tęsknoty. Chcemy odzyskać szacunek, który nam skradłaś, odchodząc. Żegnaj, szacunku! Żegnajcie, miłe dni, kiedy cieszyłam się tym, co mam. Nie chcę nic więcej: tylko cieszyć się tym, co mam. Czy mogę prosić o oddanie mi tej radości?

– Nie, bo to nieprawda– skontrowała German.– Poczucie zadowolenia z siebie? Nikt nie może ci go zabrać. Oprócz ciebie.– Wskazała kciukiem na własną pierś i pokręciła głową.– Niewinna.

Kobieta machnęła ze złością ręką, sygnalizując, że wszystko, co powiedziała German, uważa za nonsens.

– To, co zabrałaś, odchodząc, nie należało tylko do ciebie.

Zbudowałyśmy to razem, nie dwoma rękoma, ale czterema .Nie miałaś prawa tego zabierać. Kobieta zawahała się.– Kiedy odeszłaś, miałam ochotę dać ci w twarz...

– Naprawdę?– wykrztusiła ochryple German.– Chciałeś mnie uderzyć? Tak strasznie mnie nienawidziłeś?

Jak gdyby w odpowiedzi na to pytanie, coś twardego uderzyło ją w nogę. German zatchnęła się i chwyciła za kolano. Spojrzała w dół. Koło jej stopy leżała ostra bryła różowego kwarcu wielkości kałamarza. Ktoś z grupy Benów rzucił w nią kawałkiem skały.

Popatrzyła na młodą Azjatkę, lecz napotkała tylko jej zimny wzrok. Kątem oka spostrzegła jakiegoś chłopca zamachujące– go się do następnego rzutu. Prędko uniosła rękę i zasłoniła się przed lecącą grudą ziemi.

– Ben! Na pomoc!

Momentalnie zrozumiał, co się dzieje, i przybiegł. Kolejny kamień śmignął obok niej. Ben stanął przed German i osłonił ją własnym ciałem.

– Co wyprawiacie, do cholery?!– wrzasnął w stronę grupy.– No? Co robicie, do jasnej cholery?

– Dokładnie to, co chciałeś z nią zrobić, jak od ciebie odeszła– oznajmiła spokojnie Azjatka.

Ben zeszywniał.

– Nigdy! Nigdy nie chciałem zrobić German krzywdy. Za nic!

– Kłamca!– zawył pyzaty mężczyzna.

– Nie kłam!– skarcił go chłopiec, który rzucał kamieniami. German dotknęła pleców Bena.

– Czy to prawda? Czy naprawdę chciałeś mnie uderzyć?

– Nie, to nieprawda. Nigdy.

– Łżesz!

– Po co ją okłamywać? My wszystko wiemy– przecież jesteśmy tobą!

Czyżby to była prawda? Czy rzeczywiście chciał spoliczkować German po tym, jak go zostawiła? Nigdy nie podniósł

na nikogo ręki, nawet jako dzieciak. Jednak zarzuty własnych jaźni naruszyły jego pewność siebie. Poszperawszy głębiej w pamięci, musiał przyznać, że owszem, niewykluczone, iż przez kilka egoistycznych minut, może godzinę, a może cały dzień byłby prawdopodobnie zdolny zbić swoją dziewczynę, mszcząc się za to, że go porzuciła. Nie panował wtedy nad sobą. Może istotnie jakaś zła siła wypełzła z ciemnej studni jego psychiki, aby ukarać German za opuszczenie go w potrzebie. Czy tak było? Czy ta zła siła tkwiła w kodzie genetycznym Bena Goulda?

– Odsuń się– rozkazała Azjatka.

– Co?

Odsuń się, nie zasłaniaj jej.

Ben poczuł, jak German przylgnęła do niego.

– Nie. To wy odejdźcie. Skoro jesteście częścią mnie, rozkazuję wam zostawić nas w spokoju.

Tamci nie poruszyli się.

– Za to, co zrobiła, należy jej się kara – zawyrokował mężczyzna o krągłej twarzy.

– Nic jej się nie należy – odparł Ben. – Odeszła przeze mnie. To moja wina. Zachowywałem się jak wariat. Nie życzę sobie, aby German stało się coś złego. Kocham ją.

– Teraz tak mówisz. A wtedy nie wahałeś się...

– Nie dotykajcie jej. Odłóżcie kamienie i zostawcie nas w spokoju.

Zignorowali Bena i nadal się przybliżali. Nie mógł ich zatrzymać. Nie mógł zatrzymać samego siebie. Napływało coraz więcej ludzi.

– Nie chcę was widzieć! Przecież jesteście mną: rozkazuję wam wynosić się stąd!

– Nie możesz nam rozkazywać, skoro nas uwolniłeś – odrzekła Azjatka. – Nie możesz cofnąć swojego gniewu. On uniezależnił się od ciebie, My również. Nie da się zatrzymać złości, lęku i pogardy, kiedy staną się niezależne. Nikt nie może tego uczynić.

– Moje życie należy do mnie! – zaprotestował Ben. Strach ścisnął mu żołądek.

– Ma się rozumieć – zgodziła się Azjatka. – Odpowiadasz w nim za wszystko. Ty postanowiłeś otworzyć tę puszkę i nas wypuścić. W tej samej chwili utraciłeś nad nami władzę. Każdy człowiek ma swoją przeklętą

puszkę Pandory, Ben. Tylko od niego zależy, czy ją otworzy czy nie. Co zawiera ta puszka? Twoje najgorsze cechy. Zło, słabość i zazdrość Bena. Jego strach, mściwość i egoizm... Znasz nas dobrze. Tyle że teraz będziesz musiał stawić czoło całej naszej grupie, dopóki nie umrzesz. Wszystkim Gouldom naraz, tu i teraz. Poprzednio mogłeś ich sobie wybierać, ale to się już skończyło.– Urwała na moment.– Twoja moc bierze się stąd, że wszyscy jednocześnie zjawili się w domu Goulda i włączyli światła. Ale to nie musi oznaczać nic dobrego.

Gdzieś niedaleko rozległo się przeciągłe, głębokie warknięcie i chwilę później ukazał się Pilot. Warcząc i spoglądając na tłum, stanął obok Bena.

– Cześć, Pilot. Wróciłeś.

– Och, Pilot!– zawołała uradowana German. Schyliła się, by go pogłaskać, ale odsunął się od niej.

– Czuję ich woń. Wszyscy mają twój zapach, Ben.

– Wiem.

– Czuję też ich nienawiść. Ben opuścił wzrok na psa.

– Jak to? Nienawidzą mnie?

– Oczywiście, że cię nienawidzimy– potwierdziła Azjatka.– Bo żyjesz w czasie, który jest naszą przyszłością. Bo drugi raz nie popełnisz tych samych błędów. Najbardziej jednak nienawidzimy cię za to, że poznałeś rzeczy, które nam nie były dane, rzeczy, które mogły nam ułatwić życie. Oszczędzić bólu, którego doświadczyliśmy.

Jej argumenty brzmiały całkiem sensownie. Ben miał wrażenie, że słucha nieznanego fragmentu siebie, która miała dotąd zakneblowane usta. Jej słowa oszołomiły go i wzruszyły. W końcu przestał jej słuchać. Zaszył się w

odległym zakamarku własnego umysłu, żeby zebrać siły i na nowo ocenić swoje szanse. Gdy się stamtąd wyłonił, doszły go słowa Azjatki:

– Tak więc posłaliśmy Stewarta Parrisha, żeby cię zatrzymał. I nie pozwolimy, abyś postawił na swoim, bez względu na to, jak długo będziesz żył.

– Dlaczego?– spytał zdumiony.

– Dlatego, że cię nienawidzimy, Ben. Życzymy ci jak najgorzej.

Ostatnia wypowiedź wzbudziła aplauz stojącej za nią grupy. Wielu zaczęło klaskać.

– Jak możecie tak mówić? Przecież jesteście mną!

– Czas przeszły. Byliśmy wczoraj. Ty zaś będziesz żył jutro– bez nas. Ben starannie dobierał słowa, jakby zwracał się do głupiego dziecka.

– Wy to ja. Jeżeli ja będę żył jutro, to wy także będziecie jutro żyli.

Broomcorn pomachał przecząco palcem.

– Podczas naszej tury życia byliśmy tobą w stu procentach. Ale wszyscy, tak jak tu stoimy, odeszliśmy w przeszłość i stanowimy ułamek procenta dawnego Goulda. Staliśmy się wspomnieniami i dawnymi czynami, przebrzmiałą środą, kiedy miałeś trzydzieści lat. Albo niskimi żądzami, które przychodzą i odchodzą, nie mając możliwości się spełnić. Większość wspomnień to ledwie kilka komórek w twoim ciele, nieważnych, zwyczajnych komórek. Po co one komu? Kiedyś byliśmy całym Gouldem. Całą złością Goulda. Jedną wielką raną.

Domagamy się tego z powrotem, a jeśli to niemożliwe uprzykrzymy życie każdemu Benowi Gouldowi żyjącemu w tej chwili. Możesz być tego pewien.

Zanim Ben zdążył odpowiedzieć, Pilot ugryzł go w nogę.

Choć Pilot nie był już młody, seks wciąż na niego działał. Gdy wyczuł w powietrzu elektryzującą woń suczki w rui, pognał za nią jak szczeniak za cudem– niewidem. Psy mają jednak tak czuły zmysł węchu, że milę dalej dotarło do niego, iż to, co tak go odurzyło, nie jest aromatem pudła, tylko zręczną namiastką. Pilot powąchał ją badawczo i stwierdził brak górnych i dolnych nut zapachowych. Zatrzymał się w biegu; musiał się upewnić. Stał całkiem nieruchomo na chodniku, zamknął oczy i wciągnął głęboko powietrze. Zero wątpliwości: to nie była suczka w rui.

Znajdował się blisko półtorej mili od bloku Danielle. Nie widząc powodów do pośpiechu, zawrócił i potruczał w tym kierunku. Pierwszy raz w życiu poczuł zapach fałszywej suczki. Jak to w ogóle możliwe? Kiedy się nad tym zastanawiał, coraz mniej podobało mu się to, że ów słodki aromat zbiegł się w czasie z wydarzeniami rozgrywającymi się przed domem Danielle. Pilot uznał, że nie była to przypadkowa zbieżność, i zaniepokojony przyspieszył kroku.

Po drugiej stronie ulicy pojawił się ciemnoszary manks. Rzucił Pilotowi wzgardliwe spojrzenie pełne wyższości i szpanu, którego pies nie cierpiał. Za kogo te koty się uważają? Ale pogoń za nimi nie sprawiała mu satysfakcji. Miały ledwie tyle rozumu w głowie, aby nabrać co niektórych na swoją tajemniczość. Akurat! Zwierzak, który pół godziny bawi się wiszącym sznurkiem, nie jest ani tajemniczy, ani wart tego, żeby gonić go i zabić.

Gdy parę minut później natknął się na leżącą pośrodku chodnika wielką wołową kość, ciepłą i soczystą, uprzytomnił sobie, że ta seria przynęt i pokus nie jest dziełem przypadku. Ktoś próbował go wyprowadzić w pole, skierować jego wędrówkę pielgrzyma na fałszywą ścieżkę, odciągnąć go od

miejsca, w którym powinien się znaleźć. Czyli u boku Bena i German. Pilot nie znosił sztuczek. I nie znosił, gdy ktoś go nabierał. Był coraz bardziej pewny, że ktoś zagrał mu na nosie, skłaniając go do pogoni za tą aromatyczną widmową pudelczycą. Ruszył biegiem.

Powrót do pana i pani okazał się jednak dosyć trudny. Jak gdyby siła, która wabiła go na pokuszenie, zorientowała się już, że pies rozumie, co się dzieje, i nasłała na niego pędzącego na srebrnym skuterze Razor młodzieńca, który kopnął go w bok. Pilot zaskomlał i zatoczył się, ale kopniak nie zdołał go powstrzymać. Nieco dalej jakiś samochód odbił nagle z jezdni i o mały włos go nie rozjechał. Kiedy Pilot przebiegał pod dębem, siedzący na jednej z gałęzi wielgachny kruk poderwał się i runął mu na głowę, mierząc prosto w oczy.

Mógłby zapytać ptaka, kto go przysłał. Nie była to jednak odpowiednia pora na przesłuchiwanie obcych gatunków zwierząt znanych z nieprawdomówności. Poza tym najgorsze miało dopiero nadejść.

Ściślej rzecz ujmując, nieświadomy niczego pies zbliżał się z każdym krokiem do swojego Waterloo. W następnym kwartale ulic wpadł w przygotowaną zasadzkę. Był w połowie chodnika, gdy wściekła na rodziców nastolatka otworzyła okno swojej sypialni, wystawiła głośniki na ulicę i puściła na cały regulator okropną piosenkę Neila Younga *Serce ze złota*, raniąc uszy przechodniom. Co gorsza, był to fragment, w którym Young gra solo na harmonijce ustnej.

Taktyka sprawdziła się. Pilot stanął jak wryty, zapominając nagle o swojej misji. Nie przepadał za zduszonym falsetem Younga, ale wprost pasjami nie znosił dźwięków harmonijki.

Część ludzi martwieje, słysząc szum dentystycznego wiertła, skrzypienie paznokci na tablicy czy zgrzyt noża o porcelanowy talerz. Niektóre psy reagują podobnie na dźwięk harmonijki. Gdy Pilot pierwszy raz, przed laty, usłyszał ten instrument, doznał czegoś w rodzaju paraliżu.

Tego dnia jego ówczesny właściciel zagrał tę samą piosenkę Neila Younga. Gdy tylko śpiący szczeniak usłyszał solo na harmonijce, zerwał się na równe nogi, jakby ktoś podłożył mu ogień pod brzuchem. Instynktownie odrzucił głowę do tyłu i zawył przeraźliwie, protestując przeciw tej muzycznej torturze. Od tamtej pory harmonijka ustna doprowadzała Pilota do stanu, w którym tężał w bezruchu, zadzierał głowę i skowyczał, błagając bogów o litość.

Ktokolwiek zaplanował dzisiaj tę strategię, wykazał się sporą dozą sadyzmu, nie dość bowiem, że nie dał wybrzmieć piosence do końca, to jeszcze zapętlił ją diabelsko, tak iż harmonijkowe solo powtarzało się w kółko. Niczym promienie śmierci w kiepskim filmie science fiction, nieustanna muzyka wprawiała Pilota w psią demencję. Jego skowyt przypominał coś między pianiem koguta o poranku a wołaniem licytatora na targu świńskim w Arkansas.

Dzięki bogu za seks. Ledwie harmonijka zaczęła trzecią rundę, Pilot znów poczuł, równie silnie jak przedtem, ów niebiański zapach. Mrużąc oczy i potrząsając głową, zdołał uwolnić się spod wpływu harmonijki i ruszył pijanym krokiem wzdłuż chodnika. Im bardziej oddalał się od muzyki, tym stawała się ona głośniejsza, jak gdyby szła za nim. Odległość, którą normalnie pokonałby w pięć minut, teraz zajęła mu kwadrans. W końcu jednak harmonijka stopiła się z odgłosami ulicy, natomiast zapach suczki stał się potężny i wszechogarniający.

Szedł już prawie równym krokiem, gdy na końcu ulicy ujrzał znajome białe zwierzę. Zanim pokonał połowę drogi, jego umysł rozjaśnił się na tyle, że rozpoznał w nim verza.

– O raju, długo kazałeś na siebie czekać– wysapał biały zwierzak w sine esy– floresy.– Szybciej, idziemy.

– Sekundę. Co jest grane? Co tam się stało?

– Powinieneś się domyślić. Nie chcieli, żebyś wrócił do Bena i German. Prawie im się to udało.

Pilot zdał sobie sprawę, że woń, która go tutaj sprowadziła, właściwie ratując mu życie, ulotniła się.

– Zapach... znikł.

– Nigdy go nie było– wyjaśnił verz, ruszając w drogę.– Wymyśliłeś go sobie, aby się stamtąd wyrwać.

Pilot oniemiał z wrażenia.

– Ja stworzyłem ten zapach? I dziewczyny też nie było?

– Tylko w twojej wyobraźni. Prędzej– ponaglił verz.– Musimy się spieszyć.

– Jak to zrobiłem?– Pilot, niespotykane spokojny pies, którego mało co ruszało– z wyjątkiem harmonijki– podekscytował się jak dzieciak, któremu pokazano czarodziejską sztuczkę.

– Zapytaj Bena. On dał ci moc czynienia takich rzeczy.

– Ben dał mi moc?

Verz podkreślił tempo. Biegli.

– Tak. Podzielił się z tobą i swoją dziewczyną mocami, którymi jest obdarzony. Na razie sam o tym nie wie. Ty mu o nich powiesz. Ale najpierw go ugryziesz.

14.

Danielle, mając powyżej uszy paplaniny trzech mężczyzn, posłała swojego verza z nakazem odszukania Pilota. Widać było, że Spilke i Stanley chcą ugrać swoje, podczas gdy Ben stał tam i słuchał ich z zachwytem. Nie miał zielonego pojęcia, co robić, i był gotów przystać na wszystko, co mu zasugerują. A to byłby fatalny pomysł. Dzięki temu, czego nauczyła się na pikniku, Danielle wiedziała, że Ben Gould musi sam podjąć decyzję; w przeciwnym razie poniesie porażkę, której skutki dotkną German i Pilota.

Kierując się tymi pobudkami, Danielle postanowiła, że nie chce tu zostać. Zbyt często życie było okrutne, niesprawiedliwe i niezrozumiałe. Pismo Święte, które czytała od czasu wypadku, nie przyniosło jej ani pociechy, ani zrozumienia. Ciągły ból głowy przypominał jej, że w każdym momencie może się zdarzyć— i zdarza się— coś okropnego. Szczęście to rzadkość, a nieszczęście nie sposób policzyć. Danielle przetrwała w myślach to, co usłyszała na parkingu, i zdecydowała, że pomimo mocy i możliwości, którymi teraz dysponuje, nie będzie próbowała nic zmieniać w swoim szarym życiu.

Chciała być tylko szczęśliwa, nic więcej. Wiedziała, że przyszłość nie zapewni jej szczęścia. Jako nastolatka, siedząc z Dex—terem Lewisem w restauracji Lotosowy Ogród, była szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem i potem w swoim dwudziestodziewięcioletnim życiu. Nic dziwnego, że zdecydowała, iż wróci do tamtego czasu i zostanie w nim na zawsze. Wołała

wrócić do tamtego szczęścia, znajomego i pewnego, i przeżyć swoje siedemdziesiąt lat, niż łudzić się nadzieją na niepewne szczęście w przyszłości, która była nieprzewidywalna jak pogoda i nie gwarantowała niczego poza śmiercią.

Już po tej decyzji postanowiła, że najpierw zjawi się tutaj i pomoże Gouldowi. Wiedziała, że Ben chce pozostać w teraźniejszości ze swoją sympatyczną dziewczyną i starym psem. To, czego dowiedziała się na pikniku, mogło mu się przydać. Nie wróciła tu jednak po to, aby podziwiać jego odwagę i determinację w zwalczaniu przeciwności losu. Ben po prostu dokonał wyboru, tak jak wybiera się fason butów w sklepie. Choć jej wybór był inny, Danielle nie sądziła, by któreś z nich postąpiło dobrze lub źle: dwa zawodne słowa, jakże często nadużywane.

– Gdzie pies?– zapytała, dołączywszy do grupy.

Ben odparł, że Pilot pobiegł za jakąś suczką. Danielle nie wierzyła w jej istnienie, ale milczała. Gdy nadeszła odpowiednia pora, daleko, na skraju przecznicy, wyczarowała swojego verza i w myśli wydała mu polecenie. Biały psiak ruszył zaraz przed siebie.

Wkrótce potem zobaczyła, jak German podchodzi i zagaduje kogoś ze stale rosnącej grupy „Benów”. Gdy spotkała swoje jaźnie na parkingu, każda z nich przypominała ją w różnych okresach jej życia. Ci „Benowie” natomiast różnili się między sobą płcią, wiekiem i posturą. Danielle doszła do wniosku, że każdy doświadcza tej przygody na swój sposób.

German rozmawiała z kobietą, która po chwili wymierzyła jej policzek. Danielle ani drgnęła. Nie zareagowała nawet wtedy, gdy chłopiec cisnął w German grudą piasku i gdy tamta zawołała na pomoc Bena. Przybiegł bronić swojej dziewczyny przed podminowanym tłumem.

Danielle obróciła się ku dwójce mężczyzn i oznajmiła im, co o nich wie i co myśli. Anioł Śmierci imieniem Stanley spuścił głowę jak uczeń przyłapany na ściąganiu. Zdał sobie sprawę, że go rozszyfrowała.

Danielle wycelowała palcem w Spilke'a.

– Jesteś skończonym idiotą, który niczego się nie nauczył! Ciągłe upierasz się przy swoim, nie dając Benowi możliwości wyboru. Ben starał się całe życie być sobą. Ale nie jesteśmy pojedynczymi ludźmi! Właśnie tego dowiedziałam się na pikniku: nasza tożsamość składa się z wielości. Nie da się jej wygładzić i uformować w jedną osobę. Popatrz, jak Ben walczy o swoją dziewczynę. Ale tchórz także w nim siedzi.– Wskazała na Stanleya.– No i Ling, która nie może ci darować bezczelnego kłamstwa... Musimy nauczyć się żyć ze świadomością, że nie jesteśmy jedną osobą. Że robimy czasem dziwaczne, nietypowe rzeczy. Człowiek składa się z mnóstwa różnych jaźni, które bez przerwy ścierają się i rywalizują ze sobą. Musimy je nakłonić do zgody w paru fundamentalnych kwestiach. Wyperswadować im nieustanne spory. Każda jaźń domaga się czegoś innego. Jedna pragnie bezpieczeństwa, a druga przygody. Chcę być kochana. Chcę być sama... To nie są ścierające się przeciwieństwa, ale suwerenne jaźnie wołające chęć i żądam! Musimy stworzyć w naszych wnętrzach coś w rodzaju Narodów Zjednoczonych.– Danielle położyła obie ręce na piersi.– Nasze „ja” powinny współpracować, aby osiągnąć...– Machnęła ręką, jakby chciała pochwycić właściwe słowo w powietrzu.

– Consensus?– podsunął łagodnie Spilke. Danielle ukloniła mu się nisko.

– Tak jest: consensus! Niech wszystkie jaźnie się wypowiedzą, niech przedstawią swoje żądania, a potem pracują nad porozumieniem. Ty!–

Wymierzyła palcem w Stanleya.– Od razu się na tobie poznałam. Jesteś gorszy niż Spilke, bo jako anioł wiesz od nas więcej. Mimo to chcesz, aby ludzie funkcjonowali tak samo jak przez ostatnie eony. Hoola, czas na zmiany! Ludzie przestali umierać według waszego terminarza. Wzięliśmy sprawy w swoje ręce. Przynajmniej niektórzy z nas, a reszta dołączy z czasem. Wasze prawa już nie obowiązują. Straciły moc. Więc może byście się tak wynieśli i dali nam spokojnie działać?

– A co z tobą?– zapytał uprzejmie Stanley. Danielle nie wahała się.

– Tutaj nie znajdę tego, czego chcę. Uszanujcie mój wybór i pozwólcie mi żyć tak, jak zdecyduję. Nie wtrącajcie się– niech ludzie odnajdą własne przeznaczenie. Mają dosyć kłopotów z samymi sobą. Popatrz, jak biedny Ben dwoi się i troi, żeby obronić ukochaną kobietę przed swoimi jaźniami. Czy to nie wariactwo? Ben Gould walczy z Benem Gouldem o kobietę, którą częściowo kocha, a częściowo chce ukamienować...

Przybiegł Pilot i stanął obok Bena i German. Zewsząd otaczał ich już spory tłum ludzi. Danielle i mężczyźni milczeli, czekając, co będzie dalej. Ben powiedział coś do psa. German dodała coś od siebie. Wtedy Pilot ugryzł Bena w nogę.

Pies rzucił się na Bena i zatopił zęby w jego łydce. Rozległ się okrzyk bólu i zdumienia. Pilot nie poluzniał uścisku. Z tłumu wyskoczył raptem jakiś mężczyzna i kopnął psa w żebra, aby oderwać go od nogi Bena.

– Nie kop psa!– wrzasnął Ben, choć zęby Pilota wciąż tkwiły w jego łydce. Mężczyzna odchylił się do tyłu, aby wymierzyć następnego kopniaka. Zanim spełnił swój zamiar, podbiegła do niego kobieta z żółtą parasolką i dźgnęła go szpicem w stopę. Stracił pewność siebie oraz równowagę. Podskoczył, potknął się i wywrócił, uderzając łokciem w ziemię. Pilot

odczuł siłę jego kopniaka– to już drugi, jaki dziś dostał– ale nie rozluźnił szczęk.

Siny na twarzy mężczyzna pozbiierał się z ziemi i kopnął kobietę w kostkę. W odpowiedzi rąbnęła go w głowę parasolką. Ktoś krzyknął: „Damski bokser!” i popchnął mężczyznę. Ten uderzył pchającego, który czym prędzej mu oddał, i rozpętała się bijatyka.

Po chwili w ruch poszły pięści. Bójki wybuchały to tu, to tam, wszczynane przez złe jaźnie Benjamin Goulda. Stojący z boku nie przyglądali się beczynnemu kibicowali lub wymyślali bójkowiec. Wciąż wybuchały nowe pojedynki, bo jedni pytali drugich, czemu X popiera Y–ka, skoro to Y zawinił, a drudzy odpowiadali im ciosem w nos. Ponieważ wszyscy oni byli Benami Gouldami, więc mieli identyczny temperament i znali swoje słabe i mocne strony. Bęc!

Sytuacja przybrała obrót zgodny z przewidywaniami verza, kiedy biegli z Pilotem w stronę bloku Danielle. Pies wypuścił nogę Bena, gdy tylko miał pewność, że kocioł wokół nich jest nie do zatrzymania. German natychmiast podniosła Pilota, mając zamiar wynieść go z oblężenia. Za późno. Nie uszła więcej niż dziesięć stóp, gdy mężczyzna, który przyszedł w sukurs Benowi, chwycił jedną z dyndających z tyłu łap Pilota i kazał jej wypuścić to cholerne zwierzę, żeby mógł mu przetrzepać skórę.

Ranny i obolały Ben podkuśtykał do German i oznajmił Broomcornowi, że jeśli się nie wycofa, to on, Ben, rozkwasi mu gębę.

Mężczyzna uśmiechnął się i nadstawił podbródek.

– Serio? Nie wydaje mi się. Jak tam twój żołądek, Ben? Nie podchodzi ci przypadkiem do gardła?– Pytanie było okrutne, ale skuteczne. Broomcorn to Benjamin Gould ogarnięty furją, strachem albo podnieceniem.

Gould, któremu serce wali w piersi, ilekroć życie stawia mu twarde warunki, i którego żołądek zawodzi w chwilach stresu. Nie panował nad tym zupełnie. Czasem łapały go tak silne skurcze, że musiał pędzić do toalety, zanim będzie za późno. Przypadłość ta dokuczała mu przez całe życie, ale najbardziej wstydził się jej jako człowiek dorosły. Starał się do niej przygotować lub ją zamaskować. Uważał ją za symptom niedojrzałości i nerwicy, a nawet za skazę na charakterze. Gdybym był silny, dorosły, bardziej pewny siebie, miałbym spokój.

Do tej pory, w ferworze walki, ranny Ben nie myślał o żołądku. Gdy tylko mężczyzna mu o nim przypomniał, poczuł nieprzyjemny ucisk.

Tłum, ból, krew, skurcz, zgiełk, ciągły stres – osaczony ze wszystkich stron Ben wyrzucił z siebie pierwsze, co przyszło mu na myśl. Słowa wypłynęły z niego, z miejsca, którego istnienia w sobie nie przeczuwał. Były tam intuicja i jasność, które dotąd pozostawały ukryte i nieuświadomione. Natychmiast wiedział, że te słowa są zarazem chybione i słuszne.

Patrzył na Broomcornę, swego wroga i nemezis, na Benjamina Goulda w najgorszym wydaniu: mściwego, chwiejnego, zgorzkniałego, pełnego nadziei, ale bezradnego... Stojąc przed nim, Ben powiedział dwa proste słowa:

– Pomóż mi. – Spojrzał mu prosto w oczy, w sam środek swoich najgorszych wad, i powtórzył dobitnie, w razie gdyby przeciwnik nie usłyszał jego prośby: – Pomóż mi. Wiem, że nie znikniesz. Choćbym wyłaził ze skóry, nie uwolnię się od ciebie. Wiem o tym. Nigdy nie zostaniemy przyjaciółmi. Ty chcesz, abym żył w strachu i zamęcie, żebym był słaby i zły. Przyjmuję to, bo jesteś częścią mnie. Ale proszę cię z głębi

serca, naszego serca, o pomoc. Pomóż mi przez to przejść, jeśli mi pomożesz, znajdziemy sposób, aby żyć razem, nie niszcząc się wzajemnie. Wynegocjujemy porozumienie. Przysięgam, że nam się uda. Obiecuję nie walczyć z tobą więcej. Nie będę się ciebie wypierał i udawał, że nie istniejesz. Ale teraz proszę cię– pomóż mi.

Bójki ustały. Większość tłumu gapiła się na Bena wyczekująco, zastanawiając się, co jeszcze powie, czego będzie chciał.

Jego milczenie zaskoczyło wszystkich: tłum Benów, German i Pilota. Nawet anioła Stanleya. Na kilka sekund zapadła pełna napięcia cisza, po czym dał się słyszeć głos Broomcorna:

– Nie. Nie pomożemy ci, prawda?– Powiódł wzrokiem po twarzach w tłumie, ale większość nie zareagowała.– Fakt, że nie umarłeś, Ben, nie zmienia tego, co do ciebie czujemy. To, że masz nowe moce, nie znaczy, że my się zmieniliśmy. Wciąż cię nienawidzimy. Będziemy z tobą walczyć, bo tacy jesteśmy. Dopóki żyjesz, będziemy ci bełtać w głowie. Nienawiść do siebie umiera ostatnia. Czy znasz wielu ludzi, którzy lubią się za wszystko?

Wiele głów przytaknęło na znak zgody. Broomcorn miał rację: jeżeli pomogą Benowi, sprzeciwią się sami sobie. Nie, nie zrobią tego.

Patrząc w ziemię, Ben próbował zachować zimną krew. Gdy Broomcorn skończył mówić, w jego umyśle pojawił się nagle Pilot. Kiedy go ugryzł, Ben chciał tylko, aby przyjaciel go puścił. Nie był na niego zły ani nie zamierzał go karać. Chciał, aby Pilot uciekł, bo wiedział, że w tłumie są osobnicy gotowi skrzywdzić psa z powodu ataku na niego.

Ben uczeplił się pewnej nadziei. Zbyt nikłej, aby zwyciężyć w bitwie, którą będzie musiał do końca życia prowadzić z tkwiącymi w nim ciemnymi siłami. Ale czuł się pokrzepiony tym, że kochał i troszczył się o coś, co bez

powodu sprawiło mu ból. Owszem, zawsze już będą go prześladować kłopoty. Ale miał też dobre cechy; co ważniejsze, niektóre spośród nich były spontaniczne i instynktowne.

Tłum zaczął się zwierzać wokół Bena, German i Pilota. Nie wiedzieli, jakie tamci mają wobec nich zamiary.

- Dajcie nam psa, a zostawimy was w spokoju– zawołał ktoś.
- Na razie– dodał ktoś inny, co wywołało ogólną wesołość.
- Dajcie nam German– rzucił jakiś spryciarz i zarżał ze śmiechu.

Tłum ruszył. Ben i German stali naprzeciw nich. German nadal trzymała w rękach Pilota. Pies leżał spokojnie.

Zaabsorbowany wydarzeniami Stanley nie zauważył nawet, kiedy Spilke wymknął się z tłumu. Anioł zdawał sobie sprawę, że obserwuje ewolucję człowieka, i nie chciał przeoczyć ani chwili. Tym bardziej że nie miał pojęcia, co się zaraz stanie. Prawda była bowiem taka, że odkąd ludzkość zaczęła odzyskiwać przeznaczony jej los, Bóg i Jego sługusy mogli jedynie biernie przyglądać się poczynaniom ludzi, niczym widzowie na meczu piłki nożnej.

Danielle Voyles nie była równie spokojna. To ona sprowokowała tę konfrontację i teraz nie umiała jej w żaden sposób zaradzić. Za jej namową verz kazał Pilotowi ugryźć Bena. Przypuszczała, że mimo różnic dzielących rozmaitych Benów Gouldów, każdy z nich odczuje identyczny ból i– chwilę później– identyczną ulgę. Zrozumieją, że stanowią jedność i że dla własnego dobra muszą ze sobą współpracować.

Tymczasem wszystko poszło na opak. Wydawało się, że rozjuszony tłum lada chwila pożre Bena, German i ich psa. Danielle odwróciła się do

Stanleya i poprosiła go o wstawiennictwo. Pokręcił głową. Była rozczarowana, ale rozumiała go. Przed chwilą kazała mu się nie wtrącać.

– A gdybym się pomodliła?

Anioł drgnął i spojrzał na nią.

– Że co?!

– Gdybym pomodliła się do Boga, aby im pomógł? Stanley uśmiechnął się z przekąsem i potarł czoło.

– Musisz się na coś zdecydować, Danielle. Lepiej pomódl się o to, żebyś wyciągnęła ich z tej kabały.

Bezsilna Danielle zamknęła oczy i zacisnęła ręce w pięści. Nie otwierała ich przez jakiś czas, ale w końcu ciekawość i obawa zwyciężyły, nawet jeżeli miała zobaczyć wykolejający się pociąg.

Ben nie miał pojęcia, co wzburzony tłum zamierza z nimi zrobić. Zagryzł zęby, przygotowując się na każdą ewentualność. Tamci znajdowali się dwadzieścia stóp od nich. Stanie i czekanie nie wiadomo na co doprowadzało go do szaleństwa

Powiew powietrza przyniósł znajomą woń. Ben poznał ją od razu. Był to zapach Pilota, którego trzymała German: psi, naturalny, wieczny. Tak dobrze znany i pociągający, że Ben spontanicznie pogłaskał psa po głowie, wkładając w ten gest całą swoją miłość. German zadrżała, chociaż ich sytuacja nie poprawiła się. O dziwo, kiedy Ben głaskał Pilota, zwierzak stęzał jak rażony prądem.

Czterdzieści sekund później pojawił się pierwszy pies: koślawy czarny mieszaniec z domieszką krwi setera. W każdym schronisku dla psów są ze trzy takie psiny; gdyby były ludźmi, nazywałyby się Smith albo Jones. Prawie nikt z tłumu nie zwrócił na niego uwagi, gdy nadbiegł chodnikiem.

Tylko Pilot go wypatrzył. Seter usiadł obok ludzi i momentalnie napotkał jego wzrok. Dość przekonująco udawał, że liże się po brzuchu. Pilot odwrócił wzrok i zaczął się mobilizować.

Po chwili zza żywoplotu wyczłapała stara suka rasy basset. Najlepsze dni miała już na pewno za sobą; jedno ucho było pogryzione, a pysk zdążył jej posiwieć. Zajęła miejsce po drugiej stronie tłumu i zaczęła skwapliwie obwąchiwać ziemię, jak gdyby szukała czegoś do jedzenia. Tylko raz uniosła głowę, by pochwycić spojrzenie Pilota. Zrozumieli się.

W ciągu następnych minut zjawilo się, nie wiedzieć skąd, piętnaście psów i otoczyło ludzi szczelnym kordonem. W końcu ktoś je zauważył i szturchnął łokciem towarzysza. Gruchnęło: około trzydziestu ludzi zaczęło się nagle dopytywać, skąd tu tyle psów.

Jedna z kobiet ruszyła na stronę, aby zapalić papierosa, gdy płowy pitbull o łbie jak kubeł na śmieci warknął morderczo, patrząc jej prosto w oczy. Przerazona kobieta zamarła w pół kroku; z wyciągniętymi na boki ramionami wyglądała jak linoskoczek.

Chłopiec, który rzucił przedtem w German grudą, piasku, podszedł pogłaskać małego corgi, ale piesek rzucił się na niego z obnażonymi zębami. To samo działo się w całym tłumie. Jaźnie Bena uprzytomniły sobie, że zostały otoczone przez sforę wyjątkowo groźnych psów.

– Ben?

Nie od razu dotarło do niego, że Pilot wymówił jego imię.

– Tak?

– Pamiętasz? Kilka tygodni temu zachorowałem, a ty wyprowadzałeś mnie w nocy, żebym się przeszedł? Na drugi dzień nie chciałem jeść, więc ugotowałaś mi kawałek mięsa?

Ben uśmiechnął się.

– Pamiętam.

– Ja też pamiętam– powiedział Pilot.

– Ja też pamiętam– zawtórował pitbull, nie spuszczać wzroku z bladej jak ściana kobiety.

– Ja też pamiętam– syknął corgi głosem Petera Lorre'a.

I tak dalej. Psy zwracały się kolejno do poszczególnych osób w tłumie. Chociaż mówiły różnymi głosami, żli Gouldowie zrozumieli skierowaną do nich przestrożę. Ręce precz od Bena i German. Już my dopilnujemy, aby nie stała im się krzywda.

– Taak?– postawił się jakiś głupiec.– Odświeżę ci pamięć, Fido...– Podniósł rękę, chcąc uderzyć owczarka niemieckiego. Owczarek i dwa inne psy skoczyły na mężczyznę i ugryzły go. Upadł z wrzaskiem na ziemię, próbując osłonić głowę, ale psy pokasały go również po rękach.

Zapanował szum i rozgardiasz– nikt nie spostrzegł, iż w czasie ataku na mężczyznę nadeszli nowi ludzie i zaczęli sobie torować drogę przez tłum. Psy rozstąpiły się przed nimi, dopuszczając ich do środka.

Ponownie zrobiło się ciszej, słyhać było tylko pochlipywanie rannego mężczyzny leżącego na ziemi.

– Ja też pamiętam, Ben – odezwała się German.– Ale Pilot mnie wyprzedził.– Wskazała na nowe twarze wśród tłumu. Zdumiony Ben wyłuskał je wzrokiem: pomachały mu albo uśmiechnęły się ciepło. Nie znał żadnej z nich.

– Nie rozumiem– przyznał. German i Pilot popatrzyli na siebie.

– Ty mu powiedz– rzekł pies.

– Wszyscy oni są nami, Ben. Te psy i ci ludzie to jaźnie moje i Pilota, które cię kochają. Sprowadziliśmy je tutaj, żeby cię bronić. Ty sprowadziłeś tylko te jaźnie, które cię nienawidzą. Nie pozwolimy im cię skrzywdzić.

– Nie pozwolimy ci skrzywdzić siebie– poprawił ją Pilot.

Gwar wzmógł się. Ludzie Bena, znalazłszy się w mniejszości, zaczęli protestować. „Zrobimy z nim, co chcemy”, krzyknął ktoś. „Nie powstrzymacie nas!”, ale odpowiedziały mu trzy warczące psy i ostrzyżony na zero dwumetrowy dragal, który pchnął podżegacza w pierś.

– Odczepcie się, to my jesteśmy Benem!– wyjęczała inna jaźń, po czym wzięła nogi za pas. Nikt nie próbował jej zatrzymać.

Ponownie zapadła cisza; wszyscy byli w kropce.

– Nie żyje!– rozległ się niedaleko czyjś głos, podrywając zebranych.– Nie żyje!

Ben, German i Pilot pośpieszyli we wskazanym kierunku. Widok, jaki zastali na miejscu, zaniepokoił ich: na ziemi leżał wyciągnięty na wznak mężczyzna z fryzurą a la Elvis Presley, w szarym prążkowanym garniturze i patrzył w niebo szklistymi, martwymi oczami. Ben podszedł i kucnął koło ciała. Przytknął otwartą dłoń do ust i nosa mężczyzny, starając się wyczuć oddech. Nic. Spojrzał na German i potrząsnął głową.

– Znasz go, Ben?– spytała.

– Tak. Był moją jaźnią, która nie uwierzyła, że mnie kochasz.

Pan Spilke stał daleko z tyłu. Dołączył do reszty pasażerów, która wtopiła się w grupkę ludzi German, gdy ci przyszli w sukurs Benowi. Stary nauczyciel wysunął się teraz na czoło; po drodze zamienił parę słów z ładną czarnoskórą kobietą. Tamta skinęła głową i odpowiedziała mu coś szybko.

Spilke, dziękując, dotknął jej ramienia, po czym ruszył dalej w stronę ludzi zebranych wokół ciała.

– Ta kobieta, z którą sekundę temu rozmawiałem? Zjawiała się tuż po śmierci tego mężczyzny. Widziałem, jak się materializuje.

Ben zerknął na czarną kobietę i od razu rozpoznał w niej nowe zmartwienie, które narodziło się w nim wkrótce po tym, jak German udowodniła, że go kocha. Czasem lęki rzeczywiście umierają, a czasem z nich wyrastamy. Zawsze jednak zastępują je inne, nieznane strachy; najnowsze modele.

Ben przypomniał sobie wieloletnią, bezsensowną walkę z rakiem, jaką stoczył jego wuj. Nowotwór pojawił się wpierw na jego skórze i usunięto mu go. Kilka lat później rak zaatakował gruczoł krokowy. Jego także wycięto, lecz po pół roku nastąpiły przerzuty do wątroby, które spowodowały śmierć wuja. Pod koniec życia mężczyzna zapytał zrozpaczonym głosem: „Po co było to całe leczenie i szarpanie się z chorobą? Żebym poznał różne rodzaje cierpienia?”

– Nigdy nie będziemy żyć z sobą w zgodzie– odezwał się teraz Ben podobnym tonem.– Nigdy nie zaznamy prawdziwego spokoju. Jak tylko coś znika albo udaje nam się pozbyć jednego zła, które w sobie nosimy, na jego miejscu pojawia się zaraz inne paskudztwo.

– Pytasz czy stwierdzasz?– zainteresował się pan Spilke.

– Stwierdzam– odparł Ben i zwrócił się ku tłumowi.– Chyba się nie mylę, prawda? Nawet jak się uporam z częścią moich wad i lęków, na ich miejsce i tak przyjdą inne. Nigdy was nie zabraknie– rzucił i wpatrzył się w obmierzłą postać Broomcorn, który przyznał się do stworzenia Stewarta

Parrisha – I co teraz?– zapytał go bezpośrednio.– Musimy jakoś ułożyć sobie to życie, czy nam się ono podoba czy nie.

Otoczony przez ludzi German i psy Pilota, Broomcorn powiódł wokół niezadowolonym spojrzeniem. To, za co inni ludzie (i zwierzęta) kochali Bena Goulda, przewyższało liczebnie jego wady i słabości. Broomcorn wiedział, że konfrontacja zakończyłaby się jego porażką, choć za nic by się do tego nie przyznał.

– Tak jak mówiłeś: trzeba negocjować.

– Nie jesteś głodny?– zapytał Ben z głupia frant.

– Głodny? Dziwne pytanie w tej sytuacji. Ale owszem, jasne, wrzuciłbym coś na ruszt.

– Czy mogę was zaprosić do siebie? Moje mieszkanie jest za małe, aby ugościć wszystkich, ale jeśli wybieriecie pięciu czy sześciu przedstawicieli, pójdziemy do mnie. Zrobię coś do jedzenia. Porozmawiamy.– Popatrzył na German.– Twoi ludzie też. Wybierzcie kilka osób, zjemy wszyscy razem i pogadamy.

Broomcorn nieco się wahał, zanim przyjął zaproszenie. Pilot odczekał, aż tamci się dogadają, a potem spytał bez mrugnięcia powieką, czy Ben zechce rzucić psom na ulicę kilka ochłapów na odczepne. Zakłopotany Ben zapewnił go natychmiast, że psy też są mile widziane. Pilot wbił stalowe spojrzenie w swego pana i poszedł się naradzić we własnym gronie.

– Ben, wracam do Lotosowego Ogrodu, ale chcę ci jeszcze coś powiedzieć.– Danielle podeszła w towarzystwie Stanleya. Anioł bezskutecznie próbował ją namówić, żeby pozostała w tym czasie i przekonała się, czy jej życie ulegnie zmianie. Stanowczo odmówiła,

dodając, że chce przed odejściem zamienić z Benem kilka zdań. Anioł nie miał prawa jej tego zabronić.

Ujęła Bena za rękaw i odciągnęła go na bok, aby mogli porozmawiać na osobności.

– Ja nie dałabym rady, Ben. Oddałeś swoje moce German zabrać. Dowiedziałam się paru rzeczy, ale o czymś takim nie mam pojęcia.

– Ani ja, Danielle. To się po prostu stało. Jak? Nie wiem. Skinęła głową na znak, że się z nim zgadza.

– Podobnie było z nami. Nie wiem, jak i kiedy zaczęłam cię nagle widzieć. Pojawiłeś się znienacka i tak już zostało.

– Może dlatego, że chciałem, abyś mnie ujrzała– zauważył niemal mimochodem Ben.– Gdy zrozumiałem w końcu, o co w tym wszystkim chodzi.

Danielle ożywiła się, jakby tknięta nagłym domysłem.

– W przypadku German i Pilota może nawet nie zrobiłeś niczego. Może to ich zasługa. Twoja miłość dodała im tylko sił. Czasami kocha się innych za coś, czego oni sami nie są świadomi. Masz rację: nigdy nie uwolnimy się od naszych słabości i błędów. Czasem jednak inni mogą nas uratować od nas samych. Nie zawsze, czasami. German i Pilot kochają cię. Stając się częścią ich życia, darowałeś im coś cudownego i potężnego, czym posłużyli się jak orężem w walce z twoimi demonami. Kiedy kochamy, często nie wiemy, co sobą dajemy ukochanej osobie. Mój ojciec zwykł mówić, że najwspanialszą cechą mojej matki było to, że czuł się przy niej kochany. Wiesz, co mu odpowiadała? „Naprawdę?!” Mówiła całkiem poważnie– nie zdawała sobie z tego sprawy. Tato powiedział coś jeszcze:

Człowieka szczęśliwego można poznać po tym, że jest kochany przez tych, których najbardziej szanuje i podziwia.

– A co z ludźmi samotnymi?– zapytał delikatnie Ben. Danielle zastanawiała się chwilę.

– Takimi jak ja? No cóż, nie wszystkich można uratować. Oboje o tym wiemy. Zresztą nie tylko człowiek nas ratuje. Niektórym udaje się znaleźć miłość w przyjaźni, polityce albo w sporcie... Ja odnalazłam moją miłość w Dexterze Lewisie, jak miałam siedemnaście lat. Teraz nie jestem zakochana. Nie kochałam nikogo od lat. Dlatego nie mogłabym im pomóc tak jak ty. Wracam do Dextera: chcę znowu żyć w tym stanie umysłu, gdy chłonie się każdą sekundę życia. Tylko miłość potrafi cię tak obudzić i natchnąć radością... Dowiadujesz się o sobie dużo dobrego i dużo złego. A wiedza zawsze poszerza horyzonty.– Ujęła go pod ramię.– Nie wiem, co z nami będzie, ale jestem dobrej myśli, Ben.– Schyliła się i ucałowała go w policzek. Ruszyła w stronę swojego mieszkania. Ben odprowadził ją wzrokiem.

Jeden z psów Pilota towarzyszył jej do budynku, a potem wszedł za nią. Czemu nie? I tak nie miał co robić. Był głodny. Pominęto go przy wyborze gości zaproszonych do Bena. Miał nadzieję, że kobieta da mu coś do jedzenia. Jaminik nie przeczuwał, że zaraz wstąpi do chińskiej restauracji o nazwie Lotosowy Ogród.

Popłynęła muzyka. Fanfare Ciocarlia, ulubiony zespół Bena i German, zagrał jeden ze swoich szybkich, zakręconych cygańskich kawałków. Ktoś w niebieskim aucie podkręcił głośność. Samochód rozkołysał się na boki; pasażerowie tańczyli na siedzeniach w rytm *Asfaltowego Tanga*.

– Właśnie sobie przypomniałem, że miałem kupić jedzenie– powiedział Ben.– Będę musiał najpierw udać się do sklepu.– German i

Stanley stali w pobliżu auta. Ben uśmiechnął się z nostalgią. Celowo nie słuchał płyty z muzyką Fanfare Ciocarlia, odkąd German wyprowadziła się od niego. Nie chciał myśleć o szczęśliwych chwilach, które razem spędzili. Słuchając tej muzyki samotnie, wpadłby w głębokiego doła.

– Pójdziemy z tobą. Pomożemy ci– zaproponował Stanley i zerknął pytająco, czy German się zgadza.

– Ty idziesz do mojego domu?

– Oczywiście, jeśli pozwolisz. Pierwszy raz byłem świadkiem tego, jak człowiek odbywa spotkanie na szczycie z samym sobą. Historyczne wydarzenie.

Ben zadarł podbródek, jak gdyby nasłuchiwał.

– Ling mówi, że mam cię nie zapraszać– oświadczył aniołowi z całą kurtuazją, na jaką było go stać.– Mówi, że jesteś kłamliwym skunksem i że nie będzie dla ciebie gotować.

– A gdybym zaprosiła go jako mojego gościa?– odezwała się German.– Czy Ling by go wpuściła?

Ben i jego duch byli pod wrażeniem jej naturalnej, spontanicznej szczodroblewości. Właśnie za to ją kochali. Gdzieś w głębi Bena Ling postukała nogą, wzięła głęboki oddech, a potem wymruczała:

– No już dobrze. Niech przyjdzie.

O tej porze miasteczko było zwykle pogrążone w marazmie. Toteż gdy policyjny dyspozytor przyjął zgłoszenie o zakłóceniu porządku w supermarkecie, natychmiast wysłano tam patrol. Dwaj weterani nie spodziewali się niczego poważnego. Dyspozytor wspomniał coś o ludziach rzucających w siebie żywnością. Gliniarze uznali, że chodzi pewnie o

grupkę pijanych studentów, którzy urządzili sobie bitwę na jedzenie. Zdarza się.

Po przybyciu na parking przed supermarketem policjanci zobaczyli tłum ludzi gapiących się przez szybę do środka. Zdziwiła ich liczba psów warujących przed drzwiami wejściowymi, zupełnie jakby ich pilnowały. Jeszcze dziwniejszy był widok biało umaszczonych, najwyraźniej bezuchych psów, które tu i ówdzie przebijały się przez tę sforę.

Jeden z gliniarzy podniósł rękę.

– Popatrz no. Co to za pies?

– To verz– odparł jego partner.– Verza nie widziałeś?

– A niech mnie, Bob. To bydłatko nie ma uszu. Pierwszy raz widzę psa bez uszu.

Jego partner, Bob, który dwa lata temu uratował mu życie podczas strzelaniny, dostając przy tym postrzał w pierś, momentalnie zorientował się, o co chodzi. Stłumił uśmiech; cokolwiek działo się w sklepie, musi zachować zimną krew i potraktować to jak drobny incydent. W gruncie rzeczy Bob cieszył się, widząc verze, ponieważ będzie mógł porównać z kimś notatki. Tb wspaniale, że liczba właścicieli tych psów ciągle rosła.

– Nazywają się verze, tak? Skąd się wzięły?

– Z Norwegii. Z jakiejś norweskiej wyspy. Ta rasa ma teraz wzięcie w Hollywood. Wszyscy chcą się pochwalić verzem.

– Serio? Jest ich tam z sześć sztuk. Może powinniśmy złapać kilka i sprzedać.

Policjanci ruszyli w stronę supermarketu. Podszedłszy bliżej, zobaczyli biegających po sklepie ludzi, którzy ciskali w siebie produktami żywnościowymi branymi wprost z półek. Większość śmiała się do rozpuku.

Bardzo wysoka kobieta, trzymając w obu rękach mrożone kurczaki, dostała w twarz tortem z bitą śmietaną. Mężczyzna, w którym jeden z gliniarzy rozpoznał anioła Stanleya, poślizgnął się na mokrej od soku z papai podłodze i rąbnął czołowo w masywną półkę z przekąskami. Sekundę później zasypała go lawina kolorowych paczek chipsów, chrupek, prażonej kukurydzy, fritosów, cheetosów, tostitosów, doritosów i innych– tosów.

Mały pyzaty człowieczek, wściekły, jakby go osa użądliła, szturchnął w pierś Bena Goulda, który śmiejąc się, odpowiedział mu tym samym. Pызaty natarł na niego, obaj upadli na podłogę i zaczęli się mocować. Policjanci zobaczyli, że jeden z psów (jak on się tam dostał?) goni chłopca. Rozbawieni ludzie pędzili na złamanie karku wzdłuż alejek, z towarem w rękach, gubiąc przedmioty i tańcząc (czyżby w środku grała muzyka?). Żywność furczała w powietrzu. Nigdzie natomiast nie było widać sprzedawców– prawdopodobnie wszyscy się pochowali.

Obserwując tę dantejską scenę, policjant, który nie słyszał o verzach, przypomniał sobie pewne uroczne zdarzenie z dzieciństwa. Kiedy był małym chłopcem, jeden z lokalnych programów telewizyjnych dla młodzieży zorganizował doroczny konkurs w okresie Bożego Narodzenia. Zwycięzca zostawał przez dziesięć minut sam w największym sklepie z zabawkami w mieście. Wszystko, co zdołał w tym czasie wpakować do wózka, stawało się jego własnością. Chłopiec i jego trzech najlepsi przyjaciele w nieskończoność rozprawiali o rzeczach, które by sobie wzięli, gdyby wygrali. Na parę dni przed konkursem nie mówili o niczym innym. Pewnego popołudnia cała czwórka wybrała się tam, aby zbadać teren. Obeszli sklep wzdłuż i wszerz, szukając najkrótszego szlaku łączącego zabawki w alejce „A” z innymi obiektami pożądanymi. Na koniec narysowali mapkę ze strzałkami

wskazującymi kierunki, w razie gdyby któremuś z nich trafiło się kiedyś te cudowne dziesięć minut. Każdy z chłopców odrysował mapkę na swój użytek i długo jeszcze trzymał ją w domu. Po rekonesansie w sklepie poszli do swojego ulubionego baru i uraczyli się najpyszniejszymi cheeseburgerami na świecie.

Wspomnienie to wróciło teraz do policjanta. Z perspektywy czasu był to jeden z kilku kapitalnych dni jego dzieciństwa, który zagrzebał się w bałaganie późniejszego życia. Coś ścisnęło mu pierś, gdy dawne szczegóły odżyły w jego pamięci. To był dla niego trudny okres. Tamten dzień w sklepie U Toma i Tima, kiedy razem z przyjaciółmi snuł plany i marzył, i potem, kiedy objadali się cheeseburgerami, należał do pięknych wyjątków. Czyż nie byłoby wspaniałe i wariackie, gdyby się okazało, że na dnie szuflady w jego domu leży wciąż tamta mapka ze sklepu z zabawkami? Było to całkiem możliwe. Poszuka jej, jak wróci wieczorem do domu. Na bank– poszuka.

Może przez sekundę, dwie, a może nawet dłużej, patrzył na goniących się po supermarkecie ludzi, jakby to oni byli na jego miejscu, gdyby jako zwycięzca w konkursie buszował po sklepie z zabawkami. Biegł długimi susami, porywał wymarzone rzeczy i zaśmiewał się ze szczęścia, jakie go spotkało. Wypłynął na powierzchnię i uśmiechnął się szeroko, ściskając w rękę to bezcenne wspomnienie, które odnalazł na dnie swojego morza.

Wiedział, że będzie musiał zachować się jak policjant i zaprowadzić ład i porządek. Ale jego podejście do tych ciskających się po sklepie ludzi– pijanych czy szurniętych, wszystko jedno– zmieniło się. Nieśmiało, bo nieśmiało, musiał jednak przyznać, że tak jakby ich kocha.